1889. XII. 59.

Pamia X D.
Osuchowski.

WYCHOWANIEC
NATURY

z FRANCUSKIEGO
PRZETŁUMACZONY

CZĘSC PIERWSZA

w SUPRASLU
1785

WYCHOWANIEC NATURY DO PODOLANKI.

W tymże ſtanie natury wychowaney.

Przypadki w rownym nas ſtanie poſtawiły; ktore tym naturalnieyſze zdaią ſię być Czytelnikowi, im ſzczegulniey z zrzodła natury ſą wyczerpane. Gdym czytał hiſtoryą Jey wychowania, o mało com nie pomyślał, o iakomże ſzczęśliwy! znalazłem wychowanicę natury, ſądząc, żem to ſam tylko na Swiecie temu loſowi był poddany; ale kiedym ſpoyrzał w wyznanie W. Mść. Pani, iż piſząc o ſobie, wiele myśli brałaś z iednego bezimiennego Autora, wpadłem w te ſprawiedliwe wnieſienie;

iż nie znaydę w niey ſtanu natury, a ktòraś zbierała potym myśli cudze, niepodobna żebyś one pierwiey praktykowała. O moich zapewnić mogę W. Mść Panią, żem nie więcey z nich piſał, iak tylko te, ktòrych doświadczałem, i nieradziłemſię żadnych Autorów, pròcz natury, która nayobfitſzym ieſt zrzódłem myślenia i prawidłem niewinnych poſtempków.

Pierwſze Jey wyobrażenia poczynały ſię od ſmrodu, i nie dziwuięſię, zmyſł to ieſt w iey płci nad inne czulſzy, niedziwować ſię też, iż on zaleciał Sendomierzankę i Paryżankę, a co było przyczyną kłòtni po między W. Mść. Panią i niemi; moie ſą daleko inne, a przeto nie ſpodziewam ſię tych ſkutkòw dla ſiebie.

Dal-

Dalſzy ciąg W. Mść. Pani przypadków nie ieſt, tylko zbiorem krytyk, i nie ku innemu zmierzał końcowi, iak tylko abyś wielu ſkrytykowała, dla tego też od wielu zoſtałaś ſkrytykowaną; może ſię to ſtać i zemnę, boć trudno każdego guſtowi dogodzić.

Co do mnie: myśl WMść Pani o Francuzach, nad wſzyſtko mię zaſtanowiła, i dla tego niechciałem ſię iey pokazać w tym ſtroiu, nie przeto iednak, abym ſię bał Jey przeſądów, ale przebrany w ubior Polſki okazał ſię milſzym w Jey oczach, i wyrozumianym, ieśli będzieſz ciekawą przeczytać Hiſtoryą mego wychowania.

WYCHOWANIEC NATURY

Meare
De cœlo ad terram, de terrâ ad ſidera mundi.
Lucre: Li: I.

Pierwſze moie poznania.

Miałem lat dwadzieścia i trzy, kiedymſię dowiedział, że prócz mnie ſą ludzie inſi; że trwałość i rozległość, mierzą ſię podług prawideł pewnych i ſtanownych; że rozległość ma trzy wymiary, a trwałość tylko ieden &c. &c. Dowiedziałem ſię o tym wſzyſtkim od iednego ſtarca, którego znalazłem w iednym uſtroniu wyſpy, gdzie ten Pamiętnik piſzę, niewidząc nikogo, nieznaiąc ia-

kem się tam dostał, niesłysząc żadney mowy, prócz tych słów i to raz tylko *dać mu pokóy, dać mu pokóy*; niewidząc nic, tylko moią wyspę, i niektòre zwierzęta, a przedtym (przez piętnaście moich lat pierwszych) wnętrze iedney wielkiey drewnianey zewsząd zamkniętey klatki, iedną muchę, kilka garści słomy, mięsa, chleba, owocu i wody (*) co niewidziałem iak do mnie przychodziło przez iakąś rzecz, ktòrą w tym większym miałem podziwieniu, że była dla mnie kanałem życia; mniey zaś ią szacować zaczołem, gdym się przyzwyczaił do Cudow. Było to to, co w Klasztorach Panieńskich nazywaią kołem.

Powiem na swoim mieyscu, dla czego od lat kilku nauczyłem się pisać. Powiem, iakim szczęśliwym zdarzeniem dowiedziałem się o moiey historyi. Powiem, dlaczego

(*) Ta woda była w naczyniu, drewnianym łańcuszkiem przykutym.

go przedſięwziąłem podróż do Kraiu polerownego, i dla czegom ſię, ilem mògł, iak nayprędzey powròcił do mey kochaney wyſpy. My niektòrzy co ieſzcze nieco trzymamy ſię natury, nielubiemy gługich przedmòw. Zaczynam.

Opiſanie mey Klatki i ſpoſobu mego życia.

Od czaſu, iak ſię poznałem, aż do lat prawie piętnaſtu, kiedym przenieſiony zoſtał natę Wyſpę, (ktòra na òw czas była puſta, a teraz mam roſkoſz widzieć ią zaludnioną ludzmi nowego rodzaiu, mało podobnemi do tych, ktòrych gdzie indziey widziałem) hiſtorya moia nie może ani ſię obſzernie opiſywać, ani czytelnika obchodzić, przeto pierwſze moie lata ſzybko przebiegnę.

Tak młodym byłem, kiedy mnie w wſpomnioną klatkę zamknięto, że nic nie pamiętam, co ſię ze mną dzia-

działo przed tym. Byłem nagi, ale piec rofpalony, przez całą zimę, ogrzewał więzienie mey klatki. Sypiałem na ſłomie, która, przynaymniey przez lat dwanaście, była zawſze iedna. Niemożna było iey odmienić, chyba podnoſząc przykrycie mey klatki i wchodząc do niey, a było przykazano (jak dowiedziałem ſię potym) żebym nikogo ani widział, ani ſłyſzał.

Klatka, troche ſłomy, koło, naczynie drewniane, było to i pomieſzkaniem i wſzelkiemi moiemi ſprzętami. (*) Niewiedziałem zkąd ſię wzieła ta ſłoma, te naczynie, ani, co to było; a niemaiąc

(*) Zebym nic niezrozumianego niezoſtawił moim Czytelnikom, ktòrzy chcą być uwiadomieni o wſzyſtkim a przez to pokazali, że z uwagą czytaią, ſądzę, iż mi należy ich przeſtrzedz, że miałem także mieyſce od potrzeby, w ſpoſobie Angielſkim, ale bez ſtolca, to ieſt: kamień wycięty i na ſpodzie mey klatki ułożony.

iąc nic,doczegobym ie przyròwnywał, a zatym nię maiąc ſpoſobu poznania tych rzeczy, niechciałem o nich i myśleć. Ztąż ſamą prawie oboiętnością na moie koło patrzałem. Widziałem co ranek napełnione żywnościami; i niezaſtanawiałem ſię uwagą zkąd one pochodziły. Wielu ieſt co tak poſtempuią, choć nię ſą wklatce. Sama tylko potrzeba przymuſzą ich do rozumowania, i otwarcią oczòw; ona otworzyła i moie.

Nieſzczęście ktòre mi ſię przytrafiło, rodzi w myśli mey wyobrażenia.

Jednego dnia zapomniano o mnie. Obudziwſzy ſię rzuciłem podług zwyczaiu oko na przedmiot mych żądz, na moie koło: nic na nim niepoſtrzegłem. Rozumiałem żem ſię oſzukiwał. Wſtałem więc porywczo, poſzedłem zobaczyć, i znalazłem, że nic na nim nie było. Czekałem

przez

przez kilka minut, ſpodziewaiąc ſię być świadkiem cudu, który niedział ſię nigdy, tylko pod czas ſnu mego. Nic ſię nieſtało, a głòd we mnie co raz ſię bardziey wzmagał. Nieſpokoyność moia zamienia ſię w gniew; zaczynam płakać, krzyczeć, i bić ile ſił, koło. Uſłyſzano mię i przynieſiono mi mòy obiad; ale zaledwie potrafiono obròcić machinę, ponieważ ią ze wſzyſtkiey mocy trzymałem, iak ſkoro poſtrzegłem, że ſię ruſza. Tak to niewiadomość ſprzeciwia ſię właſnemu ſwemu dobru. Na koniec poſtawiwſzy potrawy, puſzczano zwolna ſtronę, ktòrom zwielką trudnością pociągnąć dopuścił, i ktòrąm ieſzcze w iednym końcie przytrzymywał.

Pochwyciłem w garść część żywności z wielką radością. Poſtrzegli to ci, co ią przynieśli, a będąc z liczby tych, ktòrzy z cudzego nieſzczęścia maią dla ſiebie rozrywkę, chcieli znowu prze-

 cią

ciągnąć koło na ſwoię ſtronę. Trzymam go rękami i zembami, krzyczę przeraźliwie, ſłyſzę ſmiech, i choć niepoymuię z kąd on pochodzi, zdaie mi ſię iednak, że wyraża iakąś weſołość. Rozgniewało mię to mocno, zaczynam znowu ieſzcze głośniey krzyczeć; w tym głos mocny zdaleka, ale wyraźnie wymawia te ſłowa. *Dać mu pokoy, dać mu pokoy*, i dano mi pokoy.

Aż do tego przypadku, ktòry był przyczyną wielkiego wſzyſtkich mych członkòw wzruſzenia, roſłem tylko w mey klatce iak drzewko, nie iak ſtworzenie żyiące. Stałem ſię na ten czas nowym ieſteſtwem; poczułe w ſobie władzy. Do tego czaſu nigdy niewydałem głoſu, tylko bezſłòwny. (*) Wtedy przedſięwziołem ſmiało powtòrzyć to, co uſłyſzałem; rzekłem *dać mu* - - to było wiele na pierwſzą pròbę, ale ośmielony pomyślnym ſkutkiem, w tym ſamym

(*) Miałem na òw czaś, iak mi ſię zdaie, bliſko lat dwunaſtu.

mym prawie momencie przydałem, *dać mu pokoy, dać mu pokoy*, -- i zaraz zaczołem się śmiać, samemu sobie dziwować się, i nie ustannie powtarzać, *dać mu pokoy, dać mu pokoy*! Ten dzień był dla mnie dniem uroczystości. Aż do tąd ledwiem się kiedy uśmiechnoł, i to, iak mówią, sposobem niezgrabnym; czy kiedy igrałem z memi palcami, lub słomą; czy, gdysię obudziwszy że snu,postrzegłem na kole zapasy żywności; od tąd zaś zaczołem się śmiać wsposob oznaczaiący poznanie.

Aż do tąd nie uważałem słonecznych promieni, choć ukośnie przez spary w gorze mey klatki umyslnie na to zostawione w chodzących, tylko nieco z podziwieniem zmieszanym z głupstwem, odtąd zaczołem domyslać się, że tey swiatłości przyczyna, musi być rzecz iakaś bardzo piękna; podobnie iak z sceny, ktora się dopiero odprawiła, wnosiłem, że muszą być procz mnie żyiące iestestestaaaa

ste-

ſteſtwa, ale bez wątpienia odemnie niżſze, wyiąwſzy te, na ktòrego głos, poprzeſtano mię przesladować. Aż do tąd piiałem zawſze wodę, nie uważaiąc że odbiia swiatło, i że ſię w niey mogę widzieć. Wtenczas to dopiero zaczołem ſię wpatrywać w naczynie, i gdy zobaczyłem moie wyobrażenie, przeſtraſzyłem ſię go z początku, ale potym kiedy oſmieliłem ſię przypatrywać mu ſię z bliſka, niewypowiedziane w nim miałem upodobanie. Ale co to było com widział? nic nie rozumiałem. Nie wiedziałem czy woda odbiia tylko przedmioty, czy też tworzy tych, ktòrych wyobraża. Podobieństwo i wniosek nauczyły mię com miał trzymać w tey mierze.

Bliſko osoby, ktòrey z upodobaniem przypatrowałem ſię, poſtrzegłem sciany mey klatki, i wierzch koła, na ktòrym ſtało naczynie. Nie było między naczyniem i wierzchem koła, tylko

ko moia głowa, wnioſłem więc, że to była moia głowa, co widziałem w wodzie. Patrzałem na nią z podziwieniem, i miałem tego ſłuſzną przyczynę, gdyż głowa ludzka, nowym i nie pomieſzanym, iak był mòy, widziana wzrokiem, prawdziwie ieſt rzeczą piękną. Chciałem widzieć ieſzcze bliżey, i wygodniey; pociągnołem ſilnie naczynie, łańcuſzek, ktòrym było uwiązane urwał ſię, a ia okrokow dwa lub trzy, padłem wznak na ſłomę. Nowy ten trafunek był przyczyną dwoiakiego dla mnie odkrycia. Dał mi wyobrażenie choć ciemne praw ruchu, i czucie roſkoſzy pochodzącey z kompieli, gdyż za wywròceniem ſię wiadra wraz zemną, woda lunęła mi na pierſi, z kąd aż do nog pociekła, co zdałomi ſię być rzeczą arcy przyiemną. Od tego więc czaſu zawſze ſię myłem.

Ten dzień, w ktòrym tak wielki uczyniłem poſtępek, tak wiele

pięknego rozumowania, tak wiele odkrycia, zdał mi ſię bardzo kròtki. Gdy nadſzedł wieczor, nie mogłem prędko uſnąć. Gdybym był na òw czas czytał, iak czytywałem potym ~~piękne~~ *Fontaina* baieczki, powiedziałbym był ſobie ſłowa wieśniaka, ktòry owocem mierzy drzewa.

Trudno zasnąć kiedy kto ma tyle dowcipu.

Nakoniec zaſnołem dosyć ſpokoynie, i nieobudziłem ſię, aż na uderzenie młota, ktòre nie długo trwało, potym znowu ſpałem aż do iutra.

Niepoſtawiłem naczynia znowu na kole, niewiem, ieżeli nie dla zayzdrości, żebym miał ſprzęt, ktòregobym był zupełnie Panem, i dlatego zawſzem go trzymał przy łòżku: nic nierozumiem iednak, że bym na òw czas miał te głupſtwo. Còżkolwiek bądź, obudziwſzy ſię znalazłem nowe naczynie przykute na kole, i co mnie bardziey zadziwiło, znalazłem obok mnie drugie pełne wo-

dy. Bez wątpienia muſiano u-
ważać nie kiedy przez ſzparę z
góry mey klatki, widziano iak
ſię myłem wodą, i żeby mnie na
tym ukontentowaniu niezbywało,
zapewnie ſzparą przez rurkę na-
łano mi wody. Wſtałem i napi-
łem ſię.

Nie myśląc iakim ſpoſobem
mogła przyść woda do mego na-
czynia odwiązanego, zdało mi
ſię, iż łatwieyby go było napeł-
niać, gdyby ſtało na kole, poſta-
wiłem go tedy, i choć nie wie-
działem, iak, i iakie ieſteſtwa mi
uſługowały, czułem iednak nieia-
ką przyiemną roſkoſz w umniey-
ſzeniu przykrości tym, ktòrzy
uſługowaniem mi byli obciąże-
ni, i ſzczyciłem ſię z tego moie-
go czucia. (*) Dawano mi po-
tym zawſze wody i do picia i do
umywania ſię.

Spic-

(*) Umysliłem był z początku trzy-
mać zawſze naczynie, przy moiey sło-
mie,

Spiewam.

Do tych moich roſkoſzy przydałem ſobie roſkoſz ſpiewania, ktòra była dla mnie nową, ale zdawałomi ſię na ten czas, żem ſię doſkonalił. Dobierałem ſpoſobem moim tonòw; chciałem czegoś więcey, przykrzyłami ſię Muzyka bez ſłòw, zaczołem więc tonami ſpiewać, *dać mu pokoy*. Możeſz miarkować iak ſię to wydawało. Być iednak mogło, że ſię czasem ten zgodził z ſłowami, ale iaka kolwiek tam znay-

mię, dla zadawania większey pracy mym ſługom, i dla zemſzczenia ſię za to, że przed kilko dniami, chcieli mi byli odebrać żywność, ktòrą mi dali, ale nakoniec ludzkość i wdzięczność w ſercu moim przemogły.

Kòżdy z Czytelnikòw moich, niech z ſiebie ſądzi o mnie. Szczęsliwy! komu te i inne ktòre mam opiſywać zdarzenia, zdaią ſię być naturalne i prawdziwe.

dowała fię zgodność, iam z tego zawfze był kontent.

Spiewałem, przeglądałem fię w wodzie, gadałem iak papuga, zoftawałem częftokroć głemboko zamyślonym, nie mysląc o niczym, dni moie upływały, i ieślim nie był zupełnie fzczęśliwym, niebyłem także i niefzczęśliwym. Naywiękfzą zabawę miałem z moim zwierciadłem, byłem nakoniec przekonanym, żem to famego fiebie widział w wodzie; brałem fię za brodę, za nos, za ufzy, czasem twarz wykrzywiałem, czasem ufmiechałem fię z przymileniem, wymawiałem, albo też fpiewałem *dać mu pokoy*, i mocnom fię ciefzył żem tak zabawny.

Przenofzą mię w moiey klatce.

Jednego dnia, gdym fię podobnym fpofobem bawił, poftrzegłem, że moia klatka przechy-

liła

liła ſię na iedną ſtronę; w momencie potym zaraz na drugą, i zaraz zaczeła ſię zwolna podnośić i poſtempować. Przeſtraſzyłem ſię, ale w krotce zoſtałem uſpokoionym, a niewiedząc, ani że mnie nieſiono, ani co to ieſt być nieſionym, czułem z tąd iakieś ukontentowanie. Zaczołem ſpiewać moią pioſnkę, ktorą przerwałem dla przyſłuchania ſię iakiegoś chrapliwego głoſu, ktorego ſzemranie nieſpokoyności mię nabawiło. Nieſłyſzałem nic wyraźnie, ale iak ſobie przypominam potym, kiedy mowić umiem, zdaiemi ſię żem ſłyſzał, iż na ow czas głos te wymawiał ſłowa. *Dobrze, idź, ſpieway, ſpieway*. A tak nie przeſtawałem ſpiewać, aż poczułem, że ſię moia klatka zatrzymuie. Nadſtawiłem ucha, uſłyſzałem huk, klatka znowu ſię zaczeła unoſić, a huk bardziey ſię wzmagać. Już więcey nieſpiewałem, nawet lękałem ſię. Boiażń moia bardzo ſię

po-

powiękfzyła, kiedy zatrzymany powtòrnie, poczułem że mnie ſpuſzczono na doł potym, niewiem naczym, potoczono zwielkim głuchim hukiem, nakoniec ieſzcze niżey opuſzczono. Nieprzyiemny iakiś zapach wnos mię uderzył, a rozliczne głosy iedne od drugich żywſze, obiły ſię o moie uſzy, co wſzyſtko ſprawowało we mnie iakiś ſmutek. Zamyślałem ſię, płakałem, trzeba mnie było cieſzyć, ale nie było komu; ſzukałem pociech wſobie ſamym. Pierwſzy raz od tąd, iak ſiebie poznałem, uczyniłem na ten czas uwagę porządną dla uſmierzenia mey nieſpokoyności, a to oſzukuiąc ſamego ſiebie, i na òw czas doſyć mi było na tym.

Uſpokaiamſię rozumowaniem przeciw boiaźni pochodzącey z hałaſu, ktòry bliſko ſiebie ſłyſzałem.

Jeſtem (mòwiłem do ſiebie ięzykiem wnętrznym, ktòry wſzyſcy

ſcy ludzie maią, i ktòry do pewnego ſtopnia ſame zwierzęta mieć zdaią ſię) ieſtem iednym ieſteſtwem (*) koniecznie potrzebnym; reſzta wſzyſtko ieſt dla mnie. Prócz mnie, ieſt rzecz inna, iak mi ſię zdaie. Czynią mi poſługi, a ia nie czynię nic dla tych, którzy mnie ſłużą. Obawiaią ſię mnie a ia nikogo ſię nieobawiam. Raz mi uſłużyć zaniedbano, rozgniewałem ſię, iuż więcey zaniedbania tego niema. Jeśli ſię to ieſzcze

(*) Niewiedziałem tych ſłòw, ieſteſtwo, klatka, las, naczynie, koło, ani żadnego innego: ale widziałem, albo przypominałem rzeczy przez te ſłowa oznzczone, a ich widzenie, lub przypominanie, były ſłowami w moim ięzyku wewnętrznym. Teraz wiem ſłowa rzeczom nadane, i używam ich w tym moim Pamiętniku. Z tym wſzyſtkim, dla pokazania iakim ſię ſpoſobem rodzą wyobrażenia, ktòreby choć ſłabo wyrażały wnętrzny ięzyk duſzy, będę ieſzcze nazywać człowieka ieſteſtwem, a inne rzeczy wyrażać okrążeniem ſłòw, i nazwiſkami ogòlnemi, aż pòki nie przydę do tey Epochi, kiedym ſię nauczył ięzyka Francuſkiego.

przytrafi, użyię teyże ſamey broni, i co ztąd może wyniknąć? Kto może ſię dobyć do tey twierdzy które mnie otacza? Ona mnie zawſze okrążała. Ktoby mógł wniyść do niey inną drogą, iak przez te koło, które mi co dzień przynoſi żywność? Jeżeli tędy wniydzie, będzie mnieyſzym odemnie, to go pokonam - - Nakoniec, nigdy mi ſię nie przytrafiło nic złego, więc ſię nigdy nieprzytrafi.

Kontent, żem w ſobie znalazł taki grunt *Loiki*, poprzeſtałem na tych rozumowaniach (czaſem ſię przeſtaie na tak ſłabych) i bez wielkiego wzruſzenia, ſłuchałem powſzechnego zamieſzania, które ſię około mnie działo. Nieſkończyło ſię aż za nadeyściem nocy, i ta noc była pierwſza którą bezſennie przepędziłem.

Ledwie ſię noc ſkończyła, uyzrzałem takie obracanie ſię koła, iakiemu nieco dawniey, uſilnie opierałem ſię. Nieprzeſzkadza-

łem

łem temu bynaymniey, wiedziałem co ztąd dla mnie naſtompi. Po kilku chwilach potym, odwróciło ſię na zad pełne pokarmòw. Dla nadgrodzenia ſobie zle przepędzoney nocy, chciałem podieść, ale w kròtce odechciało mi ſię, i powinno ſię było odechcieć.

Widzę ieſteſtwo żyiące.

Gdyby moie kawałki chleba i mięsa, a nawet i naczynia zwodą zaczeły ſię znagła ruſzać, z mieyſca na mieyſce przechodzić i tańczyć, to by mię było niezadziwiło, iak tylko pomiernie. Widziałem, że moie palce, i wſzyſtkie członki moie czyniły to, i iużem ſię do podobnego cudu przyzwyczaił. Ale zobaczywſzy, że iakieś ſtworzenie czarne, małe, z ſetną cząſtką iednego kąſka chleba ròwnać ſię nie mogące, biega, ſkacze, na powietrzu chodzi, pogardza mną, i uſiada mi

na

na ręku i twarzy, to mi tak wielkie ſprawiło podziwienie z mieſzane z boiaźnią, że nie mogłem przyiść do ſiebie.

Co za okazałe, może mi rzeczeſz opiſanie muchi? - - Tak ieſt, ale możeby ci ſię niezdawało tak bardzo okazałym, gdybyś ſię poſtawił na mieyſcu człowieka, ktòry niewidziawſzy nic żyiącego, zobaczył muchę - - - Niewiem czy to przypadkiem, czy dla iakowey przyczyny, że nigdy przedtym nie wleciała żadna do moiey klatki, ale ta była pierwſza. Gdyby były przed nią weſzły do klatki moiey inne, byłbym ie widział, ponieważ nic ſię przed okiem moim nie kryło. Umyſł mòy chciwy umieiętności, wyſyłał uſtawicznie zmyſły moie dla odkrycia tego wſzyſtkiego co ſię wściſłym moim pomieſzkaniu zawierało. (*)

Zna-

(*) Co to mòwię nieprzeciwi ſię temu co powie-

Znalazłem dla siebie towarzyszkę: trzeba mi było ubeśpieczyć sobie posiadanie tego skarbu. Mucha moia maiąc nogi i skrzydła, mogła w nocy wyiść tąż samą drogą, którą do mnie weszła. Był to ieden sposob naypewnieyszy zatrzymania iey, odebrać iey skrzydła i nogi. Ale nieumiałem tyle, ile *Sowa Fontaina*, potym, cóż by była mucha bez nóg i skrzydeł? Przyday do tego, że nie śmiałem się prawie tknąć, tego biednego malutkiego zwierzątka, bo choć niewiedziałem co to iest śmierć, czułem iednak, że należałomi się o nią lękać, ieślibym na iey subtelność i szczułość nie miał względu.

Zebym iey był pewnym przez noc (wdzień pilnowałem iey) w wie-

---

powiedziałem wyżey, że oboiętny byłem na przyczyny zdarzeń. Postrzegałem z ochotą przypadki, ale niechciało mi się ich przyczyn dociekać, bo i leniwy byłem, i miałem te poznanie, że nie podobne do mego poięcia.

wieczor poſtanowiłem łapać ią i główką ſadzać powoli wſłomianą rurkę, którąbym co ranek dla iey uwolnienia rozdzierał. Ta myśl była dobra, ſzło tylko o przyprowadzenie iey do ſkutku, to ieſt: iak muchę złapać? Używałem różnych ſpoſobow, nakoniec dokazałem ſwego, ſpoſobem którego poſpolicie używaią. Złapałem ią z tyłu wgarść poſunowſzy za nią ſzybko ręką popłaſzczyźnie po którey łaziła. Tak więc łapaiąc ią co wieczor, zachowałem aż do dnia, któregom, po niey wyſzedł z mey klatki.

Zamiaſt pierwſzego mego zamyſłu, to ieſt: wkładania iey w ſłomkę, coby ią mogło uduſić a przynaymniey zranić, myślałem trzymać ią co noc wgarści, iakem ią na ten czas trzymał; ale poznałem natychmiaſt, iż to było rzeczą cale niepodobną, i że nie mógłbym ſpiący mieć pilności, żebym trzymał rękę zawſze zamkniętą. Poſtrzegłem także, że te

małe

małe zwierzątko, ruszało się w mey garści, i zdawało się być w niewygodzie, zlitowałam się nad nim. Pomyślałem sobie, iakbym ia był biedny, gdyby moia klatka tak mnie ucifkała, iak ucifka muchę ta, w ktòrey zamkniętą ią trzymam. Takowe uwagi powodowały mnie do wynaydowania inszego sposobu, który na koniec wynalazłem. Wylałem z iednego naczynia wodę w drugie pròżne, przewròciłem go dnem do gòry, i wsadziłem pod nie szybko moią muchę. Te naczynie przewròcone trzymałem przy sobie, ale mnie mocno obchodziło, ieżeliby nie dano mi dla mycia się, naczynia z wodą trzeciego. Oderwałem te co stało przykute. Już mi się to dawniey raz udało. Obudziwszy się ze snu znalazłem na kole naczynie nowe, na ktòrego widok, poczułem w sobie nie iakie słodkie, ku iestestwom, które mi usługowały, poruszenie wdzięczności; byłem także kon-

tent z ſamego ſiebie, z przyczyny żem był z nich kontent, i ſtawiłem co wieczor na koſe dwa naczynia, a trzecie chowałem dla moiey muchi.

Przyzwyczailiſmy ſię iedno do drugiego, ona ſię oſwoiła, i mieliśmy z ſobą nie iaki gatunek przyiaźni prawdziwſzey, niż czaſem między ludzmi bywa. Poſtrzegłem że iadała, i to utwierdziło mię w rozumieniu, ktore iuż miałem, że pokarmy utrzymuią i zachowuią życie. Uważałem ią z taką pilnością, z iakąby iey nie uważał naydoſkonalſzy Naturaliſta. Kiedym widział, że ſię przyczepiła do kawałka chleba lub mięſa, nieruſzyłem nic co było przy niey, ſtałem iak wryty, dech w ſobie zatrzymowałem obawiaiąc ſię, żeby nieporzuciła ſwey małey uczty,

Zdawało mi ſię, że ponieważ iadła, powinna była i pić, ale uważałem oraz, że niebezpieczno było dla niey pić z mego naczynia,

nia, bo na nią było na zbyt wielkie. Przykrywałem ie ręką i odpędzałem ią, kiedy ſię do nich zbliżała. Rzuciłem dla niey kilka kropel wody na koło, pokazałem ie; i kiedy przypadkiem do nich ſzła, drżałem z radości, i nie ſmieiąć ruſzyc ſię, mòwiłem, albo po cichu nuciłem, *dać mu pokoy*.

Odprawuię Podròż.

Już było kilka dni, iak przyzwyczaiwſzy ſię do hałaſu, ktòry około ſiebie ſłyſzałem, byłem ſpokoynym. Zaczołem cieſzyć ſię ſobą ſamym, a ta roſkoſz tak czyſta ieſzcze ſię powiękſzyła bardziey widzeniem drugiego żyiącego ieſteſtwa --- Dnia iednego, gdy pierwſze ſwiatła promienie tylko co mi otworzyły oczy, gdy z ukontentowaniem patrzałem na koło zapaſem obcią-

żo-

żone, i gdy ſzedłem wypuſcić na wolność, moią kochaną towarzyſzkę, cóś, czegom nie mógł z niczym porównać, zdawało ſię iakby mnie uderzyło w głowę, i klatkę moią wywróciło. Zemdlawſzy upadłem, i nie przyſzedłem do ſiebie, aż na nieuſtanne ważenie ſię klatki. Zdałomi ſię, iakbym ſię z głembokiego ſnu obudził. Teraz wiem, że to, co mnie na ów czas tak bardzo przeſtraſzyło, był to huk ſtrzelenia z armaty. Byłem wſadzony na okręt, i płynołem.

Chwianie ſię mey klatki trwało przez czas długi bo przez ſześć niedziel, i trudno mi było do niego ſię przyzwyczaić. Naywięcey mię to martwiło, że częſto w wieczor, nie mogąc dobrze przyłożyć ręki do ſcian klatki, dla uſtawicznego iey w tę i ową ſtronę ważenia ſię, nie podobna mi było złapać muchi, a kiedy ona nie zoſtawała w mieyſcu beſpiecznym, ia noc przepędzałem w wielkiey nieſpokoyności. Pod-

Podczas iedney z tych nocy, usłyszałem swistikrzyk okropny -- okropny przynaymniey dla tego kto wiedział, co to było. Mało mnie to pomieszało, owszem nie czułem nic względem siebie, tylko politowanie nad temi iestestwami, ktòre sądziłem być przeznaczone do mey usługi, i w ktòrych głosie w tym momencie coś żałosnego rospoznawałem. Wiatr, grad, pioruny, rozbianie się wałòw, przykre klatką rzucanie, wszystko to zdawało mi się rzeczą nową, ale nie tak wemnie boiaźń, iak bardziey podziwienie sprawuiącą. Niewidziałem w tym wszystkim, czegobym się miał obawiać. Moia mucha, ia, i inne zwierzęta, ieżeli się iakie znaydowały na okręcie, byliśmy sami, ktòrych nie przeraziła nawałność; i słusznie. Jnne to bowiem zwierzęta, nie iak one, albo iako ia (*) wynalazły sztukę gardzenia

---

(*) Na òw czas ieszcze, że tak rzekę, nie na-

morzem, i pływania po nim, a zatym ani one, ani ia, niepowinniśmy byli być za to karani, przynaymniey boiaźnią, bo co ſię tycze utonienia, iesliby ſię było przytrafiło, nie było by dla nas ukaraniem, ale złym nie uchronnym, na ktòre nie moglibyśmy ſię więcey żalić, iak na ſpotkanie ſię z lwem zgłodniałym, albo na iaki inny przypadek.

Burza trwała do białego dnia, i aż dopiero w ten czas przynieſiono mi moie zapaſy. Zaczynałem ſię gniewać, i choć dorozumiewałem ſię, że to, com ſłyſzał, mocno ſług moich zatrudniało, poczytywałem im iednak za złe, że tak mała rzecz była przeſzkodą iſtotnemu ich obowiązkowi uprzedzenia mych potrzeb. Wmomencie mòy gniew uſtał, ſkoro zobaczyłem, że koło, iak innych czaſów, zaczyna ſię obracać; i gdybym był zobaczył rękę, ktòra mi

leżałem do rodzaiu ludzkiego.

mi usługowała, byłbym ią sposobem moim pieścił, bo my ludzie naturalni, nie iesteśmy mściwi. Serce nasze iest iak tablica, na ktòrey zwierzchu są napisane dobrodzieystwa, a ze spodu krzywdy, i nigdy tey tablicy nie przewracamy na drugą stronę (*)

Po kilku dni ieszcze hałasu i rzucania --- Wielki Boże! ktòrego po nieiakim czasie, miałem szczęście poznać, bo w nieco czasu potym, poznałem moię duszę, i naturę, a w nich poznałem ciebie.

(*) Możnaby mi zarzucić na przeciw tego, co mòwią o ludziach naturalnych, przeciwne doświadczenia; naprzykład, że *w Ameryce*, człowiek dziki przez osim dni czeka za drzewem na Hiszpana albo Portugalczyka, żeby go zabił, przez samą tylko nienawiść iego Narodu. Ale Amerykanie sąż ieszcze oni ludzmi naturalnemi? -- Niewyprowadziliż ich z tego szczęśliwego stanu Hiszpani i Portugalczykowie? -- I mogąż oni dostatecznie te dwa Narody ukarać, za złe, ktòre od nich poniesli? ---

bie. Co za Epocha dla mnie, i ſmiem powiedzieć dla Ciebie ſamego, dla Twoiey chwały! Epocha, od ktòrey dalſze mey Hiſtoryi opiſywanie zaczynam.

Jeden Sen mnie przeſtraſza.

Przepędziłem noc iedną ſpokoynie, klatka ſię moia nieruſzała, hałaſu około ſiebie więcey nieſłyſzałem. Zdałomiſię weśnie, niby mnie ieſzcze nieſiono, iak przed moim puſzczeniem ſię na morze; ale obudziwſzy ſię rozumiałem, że to mogło mi ſię ſnić, ponieważ częſte ſny miewałem, i te troche przedmiotòw, ktòre wchodziły w moię imaginacyę, odradzały ſię w niey, zgromadzały, iedne ſię do drugich ſtoſowały, i częſtokroć wyſtawiały ſię w poſtaciach bardzo dzikich. Naprzykład, tey ſamey nocy ſniłomi ſię, że moia mucha ſtała ſię tak wielka iak ia, że wziela ieden kawałek chleba, i ziadła

go,

go, a mnie drugi podała, że potym wlazła pomnie aż na ramiona, i tym ſpoſobem doſtała wierzchu mey klatki, i zrzuciła go. Tak mnie to wſzyſtko przeraziło, żem ſię porwawſzy ze ſnu, z łòżka ſkoczył. Uważano mnie i czekano, aż ſię obudzę, żeby mi ſprawić podziwienie, iakiego nikt nigdy niedoznał.

Dziwne rzeczy w oczy mi wpadaią.

Poſtrzegłem w kole odmiany bardzo ròżne od tego, co w nim zwyczaynie widywałem. Rozumiałem, że to była iaka nowa potrawa, myśliłem ſobie przyſadzić ſię do niey, znalazłſzy pierwey muchę, bo nie mogłem iey złapać z wieczora, ponieważ klatka nie przeſtała ruſzać ſię, aż w nocy. Szukałem iey oczyma, ſpiewałem niedbale *dać mu po* - - -- i nie kończyłem. Poczułem że ſię moia klatka wywraca, to co było w ko-

w kole upadło na mnie; funołem fię okrakem wkąt mey klatki, iefzczem niezapełzł, a oto przykrycie z niey fpadło, a ia uyzrzałem Niebo. Boże! co za widok! żeby go dobrze uczuć, potrzeba go widzieć raz pierwfzy w wieku, który ia na ten czas miałem. Mucha moia uleciała, a ia bynaymniey nie dbałem o zatrzymaniu iey, owfzem anim o niey pomyslił. Nieobchodziło mię także ani to co fpadło z koła, ani co fię około mnie działo. Widziałem Niebo - - - ftałem iak wryty. Dwa ftrumienie łez popłyneły mi z oczów --- Ach iak te łzy były flodkie! - - widziałem Niebo. Jeżeli ia fam ieden ieftem człowiek, com go zobaczył tak poźno, ia fam tylko ieftem, któremu fię pokazało tak piękne.

Za podziwieniem naftompiła chęć widzenia i poznawania. Poftąpiłem, i wyirzałem zklatki, ale cofnołem fię z boiaźni na widok drzew, fkał, i gór które mnie otaczały. Nie żeby te wfzyftkie

wi-

widoki nie ſprawowały we mnie także podziwienia, ale że wielka ich bliſkość, ſtrachu mnie nabawiła. Poſtąpiłem znowu, wyciągnołem ręce moie ku Niebu, chciałem ſię do niego podnieść, ale upadłem na kolana; przemogły mnie cięſzkość i ſłabość moia. Udałem ſię ſmutnie ku brzegowi mey klatki chcąc zobaczyć, ieżeli mnie przynaymniey ziemia na ſwoie łono przyimie. Moia klatka nie ze wſzyſtkim była wywròcona, ale tak oſtry z płaſzczyzną ziemi, kiedy ſię nachiliła uczyniła anguł (*) że mogłem z niey na ziemię wyſkoczyć bez wielkiego niebeſpieczeńſtwa. Gdym ſię mamyslał, co miałem czy-

(*) Gdzie ten Człowiek dziki, powiedzą może niektòrzy czytelnicy, nauczył ſię, co to ieſt Anguł, co płaſzczyzna? -- Podròżowałem, i znalazłem między ludzmi, cztery piękne ſztuki, to ieſt piſania, ſpiewania, malowania, i rachunku albo rozmiaru. Nieumiem tylko te, ale ie dobrze umiem.

czynić, poftrzegłem, że fię moia klatka bardziey nachylała, fkoczyłem z niey i upadłem rękami na ziemię, a klatka znowu fię podniosła do tey wyfokości co była pierwey. Ufłyfzałem za fobą iakiś fzeleft, alem na niego nie uważał.

Wftałem podfkoczywfzy z radości, widząc fię być przenieflonym z klatki tak małey, tak ciemney, tak nieprzyiemney, do klatki tak obfzerney i piękney. Ograniczało ią na około morze, bo to była iedna wyfpa, ale ziemia tak fię daleko rościągała w tę ftronę, w ktòrą na òw czas patrzałem, że morze zdawało fię tylko, małym błękitnym przedmiotem, widok i horyzont kończącym. Obròciwfzy fię, niewidziałem nic, prócz tylko fzczupłe więzienie, z ktòrego wyfzedłem, a za tym więzieniem drzewa. Ale z obfzerney części Nieba, ktòrą widziałem z tey ftrony, wnofiłem fobie, iż ten las mufiał zaflaniać część ziemi

mi ròwną tey, co była przed moiemi oczyma. Zboczywſzy nieco w prawo dla oddalenia ſię od laſu, poſtrzegłem morze, ktòre z tey ſtrony daleko było bliżey, niż z owey, w ktòrey go naypierwiey zobaczyłem. Nowy dla mnie cud! nowe zachwycenie! - - - Powracałem koleyno od Nieba do ziemi, od ziemi do morza, od morza do Nieba, a ani moie ſerce, ani oczy nie mogły ſię niemi naſycić. Małe przedmioty natenczas niewpadały ani w oczy, ogromnym ſię tylko przypatrowałem. Niebo, ziemia, morze, las, i łańcuch gòr, to tylko mogło mòy wzrok zaſtanawiać.

Z tym wſzyſtkim, gdy ſię moie pierwſze ukontentowało pragnienie, ciekawość moia zaczeła ſię rozprzeſtrzeniać i na drobnieyſze części dzielić. Chciałem widzieć rzeczy iedne po drugich. Zobaczyłem troie zwierząt biegących ku brzegom Morſkim. Z przyczyny odległości, zdawały mi ſię być nieco mnieyſze ode-

mnie-

mnie, ale inne podobieńſtwa znaki, dały mi pobudkę do mniemania, iż były tegoż co ia rodzaiu, i w rzeczy ſamey uczyniłbym im ten honor, gdyby były nie miały na ſobie odzienia. Probowałem ich dogonić, ſkoczyłem dwa razy, a za trzecim upadłem na ręce. W takowym ſtanie czułem ſię być mocnieyſzym, maiąc cztery podpory, ale trudniey mi było poſtępować; ponieważ, bądź że przed wſadzeniem mnie do klatki przyzwyczaiono chodzić, bądź że nie ieſt naturalna człowiekowi łazić na czterech łapach, zawſzem ſię trzymał na nogach. Wſtałem więc, i poſtanowiłem iść zwolna aż do Morza. Była to dla mie podròż, bo morze było odległe na ſzeſcioro ſtrzelenia z karabina.

Poſtawiono bliſko mey klatki wiele koſzòw pełnych zapaſu. Roſtropność i głòd doradziły mi pòyść, i wziąć z nich ieden. Znalazłem na drodze kiy, który zdał mi ſię także ku pomocy; u-

żyłem go, i mocnom ſię cieſzył z tego docieczenia.

Nie co daley od tych trzech ludzi, ktòrych widziałem biegących, to ieſt na brzegu morza, był Okręt, na ktòrym mnie przyprowadzono, i do ktòrego ci ludzie powracali. Otoż, mówiłem, widząc go zbliſka, otoż klatka daleko większa niż moia: na co ſię ona może przydać? .... Czyniłem w tey mierze wiele innych uwag ciemnych, ale ſię te w czaſie powoli obiaſniały. Ci trzey ludzie, co mnie w klatce nieśli, przybyli do ſwych Towarzyſzów, i gdy ia nad tą ich klatką rozumowałem, poſtrzegłem, że ſię od brzegu oddalała. Zaſtanowiłem ſię zpodziwieniem, myśląc czy to nie ziemia odpływała, ale nie długo zobaczyłem; że to okręt, i ſzedłem daley. Już byłem bliſko brzegu morza, zawſze weń maiąc wlepione oczy, kiedy z niego wyſzedł bałwan płomienia z ſtraſznym hukiem, na ktòry padłem na ziemię, rozumie-

iąc

iąc żem umarł. Toprawda, żem iuż ſłyſzał raz ſtrzelenie z armaty przy moim wyieździe, ale ſą to rzeczy do których Człowiek naturalny nie przyzwyczaia ſię za dwóma razami.

Przyſzedłem nieco do ſiebie z mego przeſtrachu, wſtałem, i wziąwſzy mòy kiy i koſzyk, ſzedłem daley ku morzu. Słońce mi świeciło w oczy, blaſk iego i gorącość przenikały aż do mey duſzy. Miałem go wpodziwieniu, i padałem przed nim na twarz. (*) Chciałem widzieć te piękne światło, ale przeraziło me oczy, na co iednak nie ſzemrałem, owſzem mu oddawałem cześć wewnętrznie. (*) Zbliżałem ſię do morza

(*) Sam inſtynkt nas naucza, że padanie na ziemię, ieſt znakiem uſzanowania. Płaſzczyć ſię przędkim na ziemi, ieſt to uznawać ſwoią niżſzość, ieſt nieiako ſię niſzczyć.

(*) Jeśliby ſię kto dziwował, że podług prawideł inſtynktu niegniewałem ſię na

rza, gdym uyrzał chròſt chwieiący ſię od wiatru. Łatwo go można było zobaczyć, ponieważ ſtał na mieyſcu czyſtym, i niewiem iako òn mògł wkorzenić ſię na piaſku. Czułem powiewanie łagodne i ciepłe, które twarz moią i całe ciało przyiemnie pieściło. Wątpić nie trzeba, że ten dobroczynny dech ſłońcu przypiſowałem. Widziałem, że chróſt wtę ſię nachylał ſtronę, w którą bym ſię ia ſam nachylał, gdybym był tak iak on ſłabym. Nie co większe zioła, i krzewiny, które w nie iakiey od ſiebie widziałem odległości, chylały ſię wtęż ſamą ſtronę; wnioſłem z tąd, że ſłońce tak

na ſłońce, ktòrego blaſk oczy moie przerażał, powinien ſobie przypomnieć, że nie byłem, do widzenia go przyzwyczaionym, żem go zobaczył pierwſzy raz w tym wieku, w ktòrym byłem zdolny czuć i rozumować; a zatym niepodobna żebym na widok ſłońca niepowziòł ku niemu podziwienia iuſzanowania, ktòrego nic nie mogło naruſzyć.

tak na nich powiewało, iak i na mnie. (*) Jch cień powtarzała zupełnie ruſzanie ſię ich liści; to mnie bawiło. Obròciłem ſię w tył, i zobaczyłem coś wielkiego na ziemi rozciągnionego. Skoczyłem ze ſtrachu w tył, a to ſkoczyło za mną --- uſpokoiłem ſię widząc że mi nic złego nieczyni. To coś, miało iak ia, kiy i koſzyk w ręku. Jam poſtawił mòy koſzyk na ziemi, i one ſwòy poſtawiło. Dla doświadczenia, ieżeli miało te wſzyſtkie co ia władzy, rzekłem, *dać mu pokoy*; ono ſię nieodezwało. Był to dowòd moiey nad nim wyżſzości. Rzuciłem ſię

(*) Wielkie wiatry ktòrych doznawałem potym, ſtały ſię dla mnie pobudką do odmienienia moiego zdania. Widziałem iż one nie mogą być tchem ſłońca, ponieważ zdarzaią ſię i w ten czas, kiedy ſłońce ieſt ukryte, a nawet i w nocy. Ale nie mogłem wiedzieć co było, i dopiero niedawno niektòrzy mnie wielcy Fizycy nauczyli, że to ſą ſkutki powietrza.

ſię na nie żebym go złapał i macaiąc rękami, mògł dociec, co to było. Jłem ſię ia ſchylał, tyle ſię i ono ſchylało, a gdym padł na ziemię, znikło z mych oczów. Ja wſtałem i to coś wſtało --- Przypadek ten zdał mi ſię być trudny do poięcia, odłożyłem dochodzenie go do mego powrotu od morza.

Kąpię ſię i pływam.

Ze trzech wielkich przedmiotów, które na ten czas cały mòy zaymowały umyſł, ziemia nayprzyiemnieyſze mi czyniła wrażenie, ale naymnicy żywe. Kochałem ią, iak dziecie kocha ſwoią Matkę. Jnaczey było zdwòma innemi, to ieſt: z morzem i niebem, oſobliwie ten przedmiot oſtatni porywał mnie w zachwycenie, ale z boiaźnią tylko nań poglądałem.

Gdym przyſzedł na brzeg, gdy zobaczyłem bliżey porządny ruch

i wſpaniałe wòd fale, zoſtałem przeniikniony boiaźnią i uſzanowaniem. Morze zdało mi ſię być Niebem ruchomym; rozumiałem nawet że Niebo drogi ſwòy i pyſzny lazur, ktòrym ſię zdobiło, iemu było winne. Jm bardziey zbliżałem ſię do morza, tym mokrzeyſzy znaydowałem piaſek. Lgnołem wnim nie co, ale mnie to razem i zadziwiało i bawiło. Zebym był lekſzym, zoſtawiłem, mòy koſz i ſzedłem daley z kiiem. Stanowſzy bliſko wody uważałem znowu ten żywioł. Poznałem go że ten ſam który piiałem, i w ktòrym przeglądałem ſię. Poſtrzegłem oraz, że Niebo ſwoią błękitność nie od niego miało, iak ſądziłem pierwiey. Zbliżałem ſię z boiaźnią dla przeyrzenia ſię w nim, gdyż od nowego mego urodzenia, to ieſt od iedney lub dwòch godzin, wątpiłem prawie, żebym ten ſam ia był, co pierwiey. Poznałem ſię w wodzie morſkiey, nawet zobaczyłem ſię

cały

cały, z kąd niewypowiedzianie byłem kontent. (*) Położyłem się potym na brzegu dla napicia się wody, alem ią natychmiast z ust wyrzucił, skoro poczułem, że mnie gryzła w podniebienie i ięzyk. Jeżeli nie była dobra do picia, przynaymniey była dobra na kompiel. Położywszy więc kiy na piasku, wszedłem w nią aż po szyię, potym głembiey, tak, że woda aż wyżey głowy mi zabrała.

Na ten czas zaczołem pływać, bo natura wszystkich zwierząt nauczyła tey sztuki, tak łatwey, tak przyiemney, a czasem tak potrzebney. Wdałbym się był daleko, i przez długibym był czas pływał, gdybym był niezobaczył iakieyś wielkiey ryby, która się zdawała za mną gónić. Dorwałem brzegu, wziołem mòy kiy

 i ko-

(*) Człowiek naturalny pospolicie iest z siebie kontent; i słusznie. Miłość bowiem własna, iest dla niego dobrodzieystwem opatrzności.

i koſzyk, i podiadłſzy nieco, powròciłem z nieſpokoynością do mey klatki, dla zobaczenia czy ſię tam co nowego nie przytrafiło.

Dochodzę przyczyn cienia.

Miałem na tenczas ſłońce z tyłu; zobaczyłem znowu moią cień powracaiąc do Morza: iuż nie lękałem ſię iey więcey, łatwiey ſię do niey przyzwyczaiłem niżeli do ſtrzelenia z armaty. Chciałem dociec coby to było ta cień? iakie ſą iey przyczyny? Obeyrzałem ſię na około ſiebie, poznawałem bowiem, że tylko przez poròwnanie rzeczy iednych z drugiemi, do poznania ich, i ſądzenia o nich przyść można. Widziałem, że każde drzewo miało, iak ia cień ſwoią, że wiatr ktòry z wolna ruſzał gałęzie i liście, iednakowymże ſpoſobem razem ruſzał gałęzie i liście tych drzew fałſzywych. To mnie zaczeło

czeło obiaśniać. Rozumiałem na czas, że powierzchowność ziemi ieſt zwierciadłem iak woda, i tylko z przyczyny, ktòrey domyślałem ſię (ſwey nieprzezroczyſtości,) wyraża przedmioty w kolorze ciemnym, zamiaſt co woda wyobraża ie w kolorach naturalnych. Ale widziałem ſiebie w wodzie na ktòrąkolwiek obròciłem ſię ſtronę, a czemu nie mogłem podobnież widzieć ſię na ziemi? Czemu niewidziałem ſiebie idąc do Morza, (*) a czemu powracaiąc od niego z ſtrony przeciwney zobaczyłem ſię? To mi dało pobudkę do nowych uwag. Poſtrzegłem że cienie tak drzew iako i moia, wſzyſtkie nachylone były na ſtronę przeciwną ſłońcu i morzu; wnioſłem więc, że ich przyczyną było albo ſłońce, albo-

(*) Kiedy mòwię o Morzu, to ſię ma rozumieć część tylko morza, mey klatki naybliżſza, ktòra była na wſchòd Wyſpy.

liteż morze, ale bardziey to przypiſowałem ſłońcu, ktòre większego podziwienia aniżeli morze zdawałomi ſię być godne. Ten mòy przeſąd poſpieſzył weſprzeć mòy rozum. Jakoż płaſzczyzna morza, była daleko niżſza, niżeli płaſzczyzna ziemi. Przeciwnie zaś ſłońce z gòry mniey lub więcey ukośnie rzucało na ziemię ſwoie promienie, a ztąd powinno było wynikać, że ciała o ktòre ſię te promienie obijały, czyniły większe lub mnieyſze cienie, podług punktu, z ktòrego świeciło ſłońce. Widziałem z nieiaką radością, że ten piękny ſkutek ſłońcu przypisywać należało; i czegobym ia mu nie przypiſywał? - Przyſzła mi na ten czas iedna mysl z ktòrey ſię potym częſto ſmiałem.

Jedną z mych władz przyznaię Słońcu.

Jesteſtwa, mòwiłem, ktòre mi uſługowały, te ieſteſtwa niżſze, ktòre dopiero woda wnioſła z ich klatką, bez wątpienia głoſu innego nie maią, tylko bezſłòwny, ponieważ ia, Pan ich, innego nie mam. Zkądże więc pochodził ten głos, co wymòwił te ſłowa, ktòre ia tak dobrze powtarzam? -- Ach! zapewne był to głos ſłońca. - - Umyśliłem więc natychmiaſt zabrać z nim przyiaźń. One ſame tylko zdałomi ſię być przedmiotem mey przyiaźni godnym. (Mniey ia byłem hardym, kiedy nie widziałem, tylką iednę muchę.) Obróciłem ſię więc do tego ſwiatła, i padłſzy na ziemię, (gdyż cześć moia dla niego bynaymniey ſię nieumnieyſzała) rzekłem poważnym i pełnym uſzanowania głoſem, *dać mu pokoy, dać mu pokoy.* Rozumiałem, że

że na tychmiaſt do mnie z ſtompi, albo że mnie do ſiebie pociągnie, albo mi odpowie. Ale widząc że nic z tego wſzyſtkiego nie naſtompiło, to zapewnię mòwiłem do ſiebie, dla tego, że nieſłyſzy mnie, bo ieſt zbyt daleko. Bez wątpienia nierównie natenczas bliżey mnie było, kiedy wymówiło ſłowa, które ia dopiero powtòrzyłem. Ale może ſię zbliży, to ſię w tedy znim rozmòwię.

Przynoszę z morza małe rybki i slimaki.

Czekaiąc nim ſię ſłońce zbliży, umysliłem nabywać innych wiadomości. Moia mucha, natchneła mnie ſkłonnością do ſpołeczeńſtwa, albo raczey ſpołeczność była mi wrodzoną, i tylko iey zbywało na okolicznościach wyiawienia ſię. Znaydowałem drzewa i ſkały bardzo przyſtępne, podobały ſię, miałem ich wpodziwie-

dziwieniu, ale nię znaydowałem w nich, coby moim chęciom dogodziło. Chciałbym, żeby były miały władzę krzyczenia i ruszania ſię. Już em ſię do niektòrych z nich przypytywał powracaiąc od morza; popychałem ich, chciałem poruszać z mieysca, mówiłem do nich po przyiacielſku i śpiewałem, *dać mu pokoy:* (*) ale nic z nich wyczerpnąć nie mogłem.

Troche więcey miałem ukontentowania z rybek i ślimakòw, których zobaczywszy na brzegu morſkim, nabrałem w koszyk iak naywięcey, bo mnie te przynaymniey trzepiotaniem ſię i łażeniem ſwoim bawiły, brałem ich iednak z oſtròżnością; ledwiem ſię odważył wziąść ich w rękę, i lęka-

(*) Jeżeli tego wszyſtkiego nie czynią dzieci, to z przyczyny, że od niemòwlęcego wieku ſą przyzwyczaione rozpoznawać ieſteſtwa żyiące od nie żyiących.

lękałem ſię ich nawet, niewiedząc że mogą kąsać. Boiaźń ieſt naylepsza bròń w którą nas opatrzyła natura.

Powracam do mey klatki.

Tak zawsze w badaniach, zawsze w filozofowaniu, nie wiedząc co ieſt Filozofia, powracam do mey kłatki, i zaczynam ią uważać z wierzchu, bo wychodząc z niey, byłem czym innym zaprzątniony. Naypierwsze miałem ſtaranie poznać koło i zrozumieć iego obròt. Była to rzecz proſta, prawie go zrozumiałem, wyiąwszy bieguny, których nie mogłem poiąć. Reszta powierzchu ſkładaiąca ſię z cżterech ścian i tyleż węgłòw, nie zatrzymała mnie, bo aż nadto miałem czasu przypatrzenia ſię wewnątrz ścianom i kątom.

Obeyrzałem potym zapasy, które poſtawiono przy mey klatce.

ce. Nie było ich iak tylko na dni kilka, a zatym rozumiałem, że po upłynionym tym czaſie, znowu mi iak zwyczaynie będą przynoszone. Nie co daley zobaczyłem pod drzewem kupę ziela, korzenia i owocòw. Te owoce były podobne do tych, co na drzewie, a tego drzewa gałęzie poginały ſię prawie aż do ziemie. Skosztowałem owocu leżącego na ziemi, ten dla mnie nie był nowym; chciałem z drzewa ſkosztować, a boiąc ſię, żeby mi drzewo ſwego owocu nie odmòwiło, ieslibym go mu nie wydarł gwałtem, pochwyciłem ſilnie za gałęź, a w tym momencie posypały ſię owoce iak grad na mnie i na ziemię - - oh iakżem nieſprawiedliwy, rzekłem, kiedy o ſobie tak dobrze, a o drugich ieſteſtwach tak zle ſądzę! Maszże iaką przyczynę żalenia ſię na którekolwiek z nich wyiąwszy te tylko ieſteſtwa, ktòre iednego dnia w więzie-

zieniu dawszy ci potrawy, chciały ie znowu odebrać? Na cóż z tamtych ſądzić o inszych? a do tego, czyż i tamte nie nadgrodziły ci potym krzywdy, którą byli wyrządzili? Ta uwaga mocno mi ſię podobała, i miałem ſobie za zaszczyt, żem tak piękne miał zdania, które im bardziey mnie ſłodkim, z tym wſzyſtkim co mnie otaczało, łączyły węzłem, tym ſzerzey rościągała ſię sfera ſzczęśliwości moiey.

Ziadłszy owoc, ſkosztowałem ziół i korzeni ſurowych, których mi także nazbierano, i zdały mi ſię dosyć ſmaczne. Poſtrzegłem około ſiebie zioła podobne, ieszcze z ziemi nie zerwane. Bardzo dobrze! zawołałem, (*) ieżeli ſłudzy moi nie przy-

(*) Mòwię, *zawołałem*, ponieważ w rzeczy ſamey częſto z radości, z zadziwienia, albo z przelęknienia zażywałem tych głosow, *uh! u! a! a!* i gdy

przyidą na ſam czas, kiedy mi nie ſtanie zapasòw, o to mam, z czego tym czasem żyć mogę.

Jedna mi tylko niespokoyność zoſtawała, że nie miałem czasu zobaczyć tych nowego gatunku potraw, które dla mnie na kolę poſtawiono, i które ſpadły na mnie kiedy ſię moia klatka przewróciła. Biegnę więc z wielką uſilnością ſkosztować ich; chwytam ſię rękami za wierzch klatki, chcę wleść do góry i ſpuścić ſię wewnątrz, ale mnie iedna uwaga zatrzymała. Jeżeli, pomyslałem, ſpuszczę ſię do klatki, a tym czasem kto przyidzie i ią przykryie, iakim ſposobem z niey będę mògł wyniść? dosyć było tego dla odprowadzenia mię od mego zamyſłu; iednakowoż chciałem

---

uſta moie te głosy wydawały, albo te wymawiały ſłowa: *dać mu pokoy*, umyſł mòy na ten czas przyimował, i ſtosował mysli, ktòre w tym pamiętniku wyrażam.

łem przynaymniey zobaczyć, czegom poſtradał, czepiam ſię więc rękami za wierzch klatki i podnoszę ſię ſtoiąc na palcach. Otwòr klatki nie był wyżey nad pięć ſtop tylko podnieſiony, i to dla tego, że ſię oparła od gòry na iednym belku, który ſzedł przez iey śrzodek, gdy drugą ſtroną od ſpodu ſpierała ſię na ziemi, a zatym równa prawie była z obu ſtron belki waga, tak dalece, że gdy ſię klatki rękami chwyciłem, przeważyłem ią na moią ſtronę i prawie na ſiebie nachyliłem. Zdawało mi ſię na ten czas, że ona w tym momencie ſtała ſię ieſteſtwem żyiącym, i połknąć mnie chciała, przeto daleko od niey uciekłem. Tym bardziey mię to zadziwiało, że nigdy nie dała mi żadnego znaku życia. Nakoniec ośmielony zbliżam ſię do niey, maiąc naywiększą ciekawość zobaczyć, co z niey wyszło. Wszyſtko cokolwiek tam było, wypadło nie

porzą-

porządnie na kupę, znałazłem między moią słomą i naczyniem od wody, rzeczy, które sądziłem, że są potrawy. Wziołem co mi pod rękę podpadło, chciałem ukąsić, ale poznałem, że nie była rzecz do iedzenia (była to koszula) mocno się dziwiłem, że mi położono do użycia rzecz iakąś, którey ieść nie można. Jakoż na co się to przyda, co nie może służyć za pokarm? Była to dla mnie taiemnica niezrozumiana.

Przypomniałem sobie w sam czas, że te trzy iestestwa, które widziałem biegące do morza, były okryte czymści, mocno podobnym do tych rzeczy, które tam znałazłem. Były tam bowiem koszule, iedna suknia, pończochy &c. Ha! ha! mòwiłem, zapewnie sludzy być moi muszą szpetni, i używaią tych łachmanow dla pokrycia swey brzydkości, chcieliby, żebym się także i ia niemi okry-

okrywał. Nie, nic z tego nie będzie.

Odziewam się.

Z tym wszystkim dla rozrywki, probowałem niektórych, z tey odzieży. Zdawałyby mi się one śmieszne, choćbym ie był powkładał na siebie iak potrzeba, dopiòroż, gdym się w nie ustroił dziwacznym sposobem. Nawlekłem iednę koszulę na iedne udo, drugą na drugie, i podkasałem ie; po długich zaś pròbach przyszedłem do tego, żem ie poobwiązywał podkolanami ażeby nie opadły. Nie mogłem poiąć, do iakiegoby te rzeczy użycia służyły. Niewidziałem tam nic, coby mi się przydało, pròcz pończoch i trzewikòw. Choć tego dnia szedłem tylko po piasku, i to mało, czułem iednak bòl w nogach, ponieważ nigdy w życiu moim nie chodziłem. Uważaiąc przez dłu

długi czas trzewiki, poznałem do czego ſą przeznaczone, ſprobowałem ich, ale znalazłem, że były zbyt przykre, twarde i ciaſne. Wpończochach ſame tylko kawałki oſobliwſzego, ale wſzelako pięknego kſztałtu materyi widziałem. Gdybym ie był otworzył, zobaczyłbym do czego one ſłużyły, ale nie wchodząc wpoznanie, biorę z nich dwie pary, ſkładam kóżdą we troie, obwiązuię ich koło nóg ſznurkami i tym ſpoſobem robię z nich ſobie ſandały. Potym wziąwſzy w iednę rękę kiy, w drugą trzewiki, których widok mnie bawił, ſzedłem w tym ſtroiu ſzukać wody, wktóreybym ſię przeglądał.

Nie ſzedłem aż do morza, myslałem, że iey znaydę w iednym dole, którego widziałem pochiłość o iakie pięćdzieſiąt, albo ſześćdzieſiąt prętów od mieysca gdzie ſtałem. Natura nauczyła nie co Geometryi wſzyſtkich zwierząt. Prócz natury, tego mądrego

go i nieomylnego przewodnika, miałem ieſzcze inną przewodnią. Poſtawiono o kilka krokòw od mey klatki iedno naczynie pełne wody, którą ia wylałem powròciwſzy od morza, drugie naczynie także z wodą było nieco daley, a trzecie na wzgórku, od ktòrego zaczynał ſię ów dół, który ia ſłuſznie miałem za nieiakie iezioro. Poszedłem tam i nieznalazłem nic w naczyniu, ale uyrzałem na dole tego wzgórka płaſzczyznę wody. Może ta, mòwiłem, która daleko ieſt mnieyſza niż owa, w ktòrey ſię kąpałem, ieſt z lepszey wody. Nie dla tego to iednak zdawała mi ſię być woda lepſza, że płaſzczyzna wody była mnieyſza; gdyż od dwóch, lub trzech godzin kiedym zobaczył rzeczy więcey, a zatym więcey nabyłem wyobrażenia, przynaymniey ſizycznego, iuż lepiey rozumowałem, niż gdy podczas nawałności mòwiłem. *Nie przytrafiło mi ſię nic złego*

do tych czas, więc nigdy mi ſię nic złego nie przytrafi. Takowe rozumowanie było godne tylko albo człowieka naturalnego, który nic nigdy nie widział, albo człowieka polerownego, ktòrego wychowanie i przeſąd do fałſzu przyzwyczaiły.

Chcąc zeyść z pagòrga, naſtompiłem na iedną z koſzul, które mi za gacie ſłużyły, i reſztę podróży tocząc ſię na dòł, odprawiłem. Móy kiy i trzewiki upuściłem, które pierwey niż ia na mieyſcu ſtaneły, i gdyby nie była woda nieco oddalona od pagòrka, byłyby w nią wpadły, a ia za niemi: a na ten czas nie mogąc pływać wolno, doznałbym był, iak ſuknie bywaią czaſem niewygodne. Wſtałem, zbliżyłem ſię do wody, przeyrzałem ſię w niey, i mocnom ſię z mego ubioru naśmiał.

Różność zapachu trzewika i drewnianego naczynia, ſą mi powodem do nowey wiadomości.

Jakom ſię zawsze przyzwyczaił pić z naczynia, a nie wziołem z ſobą tego, co ſtało na wzgórku próżne, tak trzeba mi było, albo ſię położyć na brzuchu i łeptać, albo czerpać wodę dłonią, albo ią pić trzewikiem. Obrałem ten oſtatni ſpoſób. Woda zdała mi ſię być zła, ale nie tak iak morſka. Napiłem ſię iey raz i drugi, potym zrzuciwszy me gacie wykąpałem ſię. Nie wyſzedłem z kompieli nie ſkoſztowawſzy wody, która nie równie mi ſię lepſzą być zdała, niżeli w trzewiku. Dla czegoż iednaż woda, ma raz inny ſmak, a drugi raz inny? niektóre uwagi przyprowadziły mnie do zgadnienia tey zagadki. Sądziłem, że ta rożność mogła pochodzić z ſrzodka, przez który przechodzi-

ła

ła woda. Poszedłem wąchać mego trzewika, z którego wychodziła wonia nieprzyiemna, która mnie odrażała. Za iednym promieniem światłości następuie drugie. Z doświadczenia któregom doznał, uczyniłem dalszy wniosek. Uznałem, że gorzkość i słoność wody nie pochodziła, tylko znaczynia w którym znaydowała się. To rozumowanie było oczewiste. Woda nie trąci niczym w naczyniu drewnianym, iak w tych co są w moiey klatce, ani w glinianym, iakie iest te, w którym niedawno się kompałem, ponieważ ani drzewo, ani glina niczym nie trącą. Ale z przeciwney przyczyny w trzewiku moim, który iest z skòry zwierzęcey, woda powinna trącić zwierzęciem zdechłym. Jeżeli woda morska iest słona i gorzka, to bez wątpienia dla tego, że Ocean iest naczyniem z materyi słoney i gorzkiey.

Prowadzę na ſmyczy iedcn paczek.

Gotowałem ſię powròćić do mey klatki. Tylem miał przed oczyma przedmiotòw, że ledwiem wzrokiem o nie ſię ocierał, a na żadnym ſię niezaſtanawiałem. Kontent z mey zręczności, żem potrafił podwiązkami poobwiązywać po podkolanami koſzulę, wiązałem te podwiązki iednę z drugą, przywiązałem do nich paczek, który zrobiłem z koſzul i pończoch, (*) prowadzę go, że tak rzekę iak na ſmyczy, i mocno ſię cieſzę widząc, że idzie za mną. Trzewiki moie rzucam na brzegu, rozumieiąc, iż ukarzę ich za to że mi wodę zepſuły. Zoſtawuię także naczynię, ktòrem znalazł na wzgòrku, zakładaiąc ſobie przyiść inną razą, ieślibym go zechciał użyć. Jdąc za-

(*) Niebyłem kontent z ſandałòw, widząc że ſą niewygodne, i porzuciłem ich na zawſze.

zawſze ku moiey klatce, nie przeſtawałem ciągnąć mych koſzul, nakoniec węzeł ſię rozerwał, a ia rozgniewałem ſię i rzuciłem go na ziemię. Uważam potym coby za przyczyna była tego treſunku. Widzę ze koſzula, ktòra ſłużyła za obwinięcie, pełna ieſt prochu, i iuż ſię nieco podarła. Zpoczątku ſmiałem ſię, chętnie bowiem zawſze od ſmiechu zaczynałem; potym zaſtanowiwſzy ſię troche uwagą, powziołem ztego przypadku, przynaymniey ciemne wyobrażenie ſkutku, który pochodzi z ocierania ſię rzeczy iedney o drugą. Nakoniec przychodzę do klatki, i zmordowany tyle od rana chodząc, i tyle rozumuiąc, kładę ſię na trawie i zaſypiam.

Sen

Sen mòy trwał przynaymniey przez dwie godziny, ale nie był ani twardy, ani ſpokoyny, nie dla

tego,

tego, żebym rozumiał, iż niezostaię w zupełnym beſpieczeńſtwie. Nadto byłem proſtym, nie umiałem nawet lękać ſię, chiba na iakie niebeſpieczeńſtwo patrząc, a na òw czas żadnego niemiałem przed oczyma. Ale mnóſtwo ſnòw utworzonych z rozlicznych przedmiotów, ktòre widziałem, ciſnąc ſię do mey myśli, nieſpokoyność mi ſprawowały. Zdałomi ſię iakoby ſłońce oderwawſzy ſię od Nieba, zſtompiło do mnie, i krążyło koło mnie iak mucha. Zdałomi ſię że naczynie, ktòrem zoſtawił na wzgòrku powracało prowadząc na ſmyczy moie trzewiki. Zdałomi ſię że moia klatka, zatoczywſzy ſię aż do morza, rzuciła ſię w nię. (Smiałem ſię mocno, kiedy ſię ona toczyła, i nieſtarałem ſię iey zatrzymać.) Zdałomi ſię że iedne drzewo, ktòre ia ściſkałem i z ktòrym rozmawiałem, odpowiedziało mi *dać mu pokoy*, czym ośmielony, ieſzczem mu ſię bardziey przymilał.

Może

Może śię mnie kto śpyta, iak mogę pamiętać te frąszki? Łatwo tego można znaleść przyczynę. Gdyby pierwszych twych myśli, i pierwszych twych czynności Epochą był rok piętnasty, takby one w twym umyśle głembokie uczyniły wyrazy, iż byś naymnieyszey z nich niezapomniał.

Wiesteſtwie moim wzrasta nowe czucie.

Obudziwszy śię ze snu, widzę znowu Niebo, i rozumiem że go pierwszy raz widzę. Zdałomi śię ieszcze pięknieysze; było bardziey pogodne, a błękitność iego żywiey odbiiała. Łzy rozrzewnienia i radości popłyneły znowu z mych oczòw. Szukałem oczyma słońca po przestworzu Niebieskim, a miarkuiąc bieg iego, w miarę moiego chodu, szukałem go niedaleko od mieysca, na ktòrym go idąc spać zostawiłem

łem. Miałem bieżeć za nim do morza, kiedy głos w zachwycenie porywaiący obił ſię o moie uſzy, i wzniecił w ſercu moim nowe czucie, ktòrego naſiona tylko ozywały ſię, kiedy zoſtawałem w mym więzieniu - - - Co za wdzięczna melodya! Podnioſłem moie ręce czyſte i niewinne ku Niebu, podziękowałem mu, że ſię zdawało niezatrudniać, iak tylko moią ſzczęśliwością, bo niemogłem do myśli przypuścić, żeby te głoſy miały pochodzić, zkąd inąd iak z nieba. Zoſtawałem przez kilka minut w zachwyceniu, niepomyśliłem nawet ſpòyrzeć na około ſiebie. Aż dopiero po nieiakim przeciągu milczenia, podnioſłſzy oczy i obròciwſzy ſię wtę ſtronę, zkąd owe przyiemne głoſy wyſzły, zobaczyłem na iedney gałęzi dwa małe ptaſzki, ktòre zdawało ſię, iak by ſię z ſobą biły, a trzeciego także na gałęzi opodal, ktòry ſię im przypatrował. Ledwiem na nich ſpòyrzał, by-

byłem bowiem cały w natężeniu dòyścia, zkąd wyszły te głosy przedziwne, których iuż niesłychać było więcey. Głosy się znowu odezwały, a ia z większą ieszcze usilnością zaczołem ich szukać, aż dopiero nachodziwszy się pròżno wtę i owę stronę, powróciłem do ptąszkòw. Przypatrzyłem się im pilnie, i poznałem, że to one śpiewały. Widziałem że pyszczkiem, przez szybkie, i dziwne onego ruszanie, umilały głos, który z ich gardziołkòw wychodził; widziałem, iak ich gardziołki, przez swoie kołysanie sprawowały dzwięk i tony. Ach gdybym był mògł, albo się podnieść do tych ptaszków, albo ich do siebie sprowadzić, iakżebym ich był pieścił! One mnie niewidziały, stanołem przed niemi, i zaczołem dawać im znaki przyiaźni, ale zdawały się ich nieuważać. Zaspiewałem *dać mu pokòy*, a one poleciały. Tak mnie to zadziwiło i zmartwiło,

żem

żem odſzedł od zmyſłów, i niemiałem przytomności uważać cudowność ich ſkrzydeł. Zamyśliłem ſię o inney rzeczy daleko pilnieyſzey, i ułożyłem u ſiebie, że ieżelibym miał ſzczęście dogònić ich na iednym drzewie niedaleko, gdzie widziałem że uſiadły, potrzeba żebym im zanucił z cicha còś milſzego, niż com dopiero spiewał, a to cóś, nie mogło być rzeczą inną tylko mòy głos proſty.

Zachòd Słońca.

Zbiegałem gòniąc za niemi ieden mały gaik, z ktòrego wyſzedłſzy, uyzrzałem doſyć obſzerną płaſzczyznę, pełną ſamych tylko ziòł, wrzoſu, piaſku białego, kończącą ſię w tym momencie naypięknieyſzym na świecie widokiem, ſłońcem zachodzącym. Poznałem go choć iuż utraciło część ſwoiego blaſku. Rzucam ſię

ſię ku niemu, i rozumieiąc, że niedaleko ieſt odemnie, bo ſię zdawało dotykać brzegu horyzontu widzialnego, biegnę, i tak mi ſię zdaie, porzuciłbym był moie ptaſzki, gdybym ſzczęściem, ktòre za naywiękſze moie uſzczęśliwienie poczytywałem, gdybym mòwię, był niezobaczył, że wtęż ſtronę ptaſzki moie łeciały - - - łeciały! i nietylko leciały - - ale i śpiewały, co mi niewypowiedzianie podobało ſię. Ztąd zacząłem mniemać, żem nie był ieſteſtwem tak doſkonałym, iak rozumiałem do tego czaſu; zaczołem wnoſić, że muſzą być inne ſrzednie między mną i ſłońcem ieſteſtwa. (*)

Szedłſzy przez nieiaki czas, i mocno zmordowawſzy ſię, dogoniłem moie ptaſzęta, ale nie ſłońce. Muſi być, mòwiłem, że ucieka odemnie, albo raczey że mnie

(*) Poznałem wczaſie, że rozum wyniosł mię, i nad ptaki i nad ſłońce.

mnie niewidzi; bardzo daleko iesteśmy od siebie; wolę tu troche spocząć; może się inną puści drogą, to go przebiegnę. Ach gdyby się udało wtę stronę, gdzie są moie zapasy; chciało misię ieść a nie widziałem nic prócz wrzosu; skosztowałem go, ale widziałem że to zbyt twarda potrawa.

Tym czasem spoczywam usiadłszy pod drzewem, na którym usiadły ptaszęta, maiąc wlepione oczy w słońce, żebym widział co się z nim stanie. Spuszczało się na dół widocznie, co mnie nabawiło niespokoyności. Któż wie, myśliłem, czy go nie nazawsze utracę? Bawiąc się tą smutną uwagą, postrzegam, że przedmioty coraz staią się mniey wyraźne. Obracam się w drugą stronę, widzę że mgła ciemna, zasłona iakaś czarna powstaie z morza, i rozciąga się ku zachodowi. Cóż iest! zawołałem, toż to i ta niezmierna klatka ma swoie nocy, iak miała tamta szczupła, w któ-

rey

rey zoſtawałem zamknięty! Pioſnki mych małych ptaſząt, które ten ſmutny słodziły nocy początek, słabiały zwolna, potym zupełnie ucichły. Poddałem ſię cały ſmutkowi, a im więcey dla mnie widok dnia miał przyiemności, tym okropnieyſzy mi ſię zdał widok nocy. Dla zobaczenia czym ſię niemylił? i czy w rzeczy ſamey słońce z stompiło w morze? wlazłem na iedne drzewo. (Natura nas nauczyła tey ſztuki.) Otarłem ſobie nieco ſkòrę, gdyż iak wſzyſtkie dzieci wieyſkie, tak i ia chowany byłem w pudełku: gorzeyby ieſzcze było, gdyby mnie od niemowlęcia powiwano w pieluchach, i w odzienie ubierano. Jm wyżey lazłem na drzewo, tym żywſze wydawały ſię promienie, które odbiiało słońce zachodzące. Oſądziłem więc, iż gdybym ſię mògł doſtać, na wierzch iedney bliſkiey ſkały, ktòra była wyżſza od tego drzewa, ieſzczebym lepiey zobaczył, co ſię ſtanie z słońcem.

Uda-

Udałem się do tey skały i już zaczołem się na nią gramolić, kiedy sowy i inne ptaki nocne, zaczeły wrzeszcząc przerazliwie około mnie latać. Gdy porównałem te wrzaski z piosnką ptasząt, którą nie dawno słyszałem, smutek się mòy powiększył, i wkrótce potym przyszedł do ostatniego stopnia. Dostawszy się na wierzch skały, uyrżałem, że słońce zupełnie zniknęło, a noc rozciągneła się i natę część Nieba, która ieszcze zostawała còżkolwiek iasna.

Niebo było posępne, choć nie zachmurzone; gwiazd niewidziałem, a przynaymniey nieuważałem ich. Powròciłem znowu pod moie drzewo, płakałem mocno i powaliłem się na ziemi, obròciwszy się twarzą ku zachodowi. Sen powieki moie sciskał, a smutek ie otwierał: nakoniec usnołem, ale sen móy nie był ani długi ani spokoyny. Ta noc miała dla mnie wszystkie znaki smierci, ach czemu nie miała także ostatnich,

nie-

nieczucia i milczenia! - - - Niestety owszem przeciwnie, sny okropne i tłumne, niedawały mi pokoiu, i nieskończyły się aż na pierwsze promienia światłości. Co za promienia! co za światłość! Dusza moia, pierwiey się dla ich przyięcia otworzyła, niżeli oczy.

Wyobraź sobie w mysli, iak iest szczęśliwy niewolnik, z którego zdięto kaydany; zbrodzień, któremu darowano życie, kiedy iuż szedł pod miecz katowski; człowiek poczciwy, ktòry w iednym momencie został uleczonym z głupiey miłości, ktòrą miał do podłey żalotnicy; Kròl, co przyiaciela znalazł, prawdę poznał, dla ludu swego o pokoy się postarał; otoż tak ia byłem szczęśliwy obudziwszy się ze snu. Ledwiem nie upadł pod zbytkiem mey szczęśliwości, ale część iey uieła iedna uwaga: (kiedy kto iest nadto szczęśliwym, może się spuszczać na iey pomoc.) Uważałem że niebyło podobieństwa Słońca

ca na tym mieyſcu, gdzie ſię znaydowało, nim ſię ſpać położyłem. To mi wielką ſprawowało nieſpokoyność. Szukałem go w inney ſtronie. Obròciłem ſię na koniec ku morzu wſchodniemu, iednak namysliwſzy ſię pierwey, bom ſię obawiał, żeby oczy moie nie przeraziły ſię znowu iakim widokiem podobnym widokowi zaſłonie czarney. Spòyrzałem i zobaczyłem, iak nie ſłuſzna była moia boiaźń.

Wſchòd Słońca.

Pióro *Homera* i pęzel *Apelleſa* nie wyraziłyby, iak tylko ſłabo, widoku, który dla mnie w tym momencie wyſtawiły Niebo i ziemia. Mòwię, że *wyſtawiły dla mnie*, bo ten widok był tylko dla mnie ſamego. Kòżdy inny na mieyſcu moim, widziałby te ſame przedmioty, zaledwie tyſiączną w nich uważaiąc część tego, com ia w

nich

nich uważał. Nie zapominay, żem iuż miał umyſł doyrzały, a cale nowy.

Zobłoku fioletowego, ktòry ſię na puł horyzontu rościągał, wychodziły płomienie ogniſte, teyże ſamey rozciągłości z purpurą i lazurem zmieſzane. Ten tak wſpaniały widok, morze ieſzcze pięknieyſzym czyniło, i podwaiało go odbijaiąc promienie. Wyſpa moia, w mieyſcach nawet nie rownych i piaſzczyſtych, weſołą ſię wydawała pod tak pięknym Niebem --- Jak ia żałuię tych ludzi, od tąd iak wiem, że ſię znayduią tacy, ktòrzy nie widzą codzień Jutrzenki, i że wielka ieſt z pomiędzy nich liczba, ktòrzy iey nigdy nie widuą!

Przypatrowałem ſię przez niełaki czas tym cudom, raz ogułem, drugi raz poiedynczo, ale że mòy żołądek pròżny, przymuszał mię do ſzukania pokarmu, udałem ſię ku mey klatce tym chętniey, że idąc do niey zawſze

miałem Jutrzeńkę przed sobą, ktòra wschodziła i Niebo małowała. Swiatłe promienia wynikaiąc z srzòd tego koła purpurowego i ogniſtego, rościągały ſię po całym przeſtworze Niebieſkim. Z baczyłem że z głembi wòd, ukazuie ſię ogien, z ktòrego wychodziły te promienie: była to kula złota, było to ſłońce. - - - Rozumiałem żem ſię oſzukał; obròciłem ſię w tę ſtronę, w ktòrey go zoſtawiłem z wieczora. Można ſię domyslić łatwo, żem tego tam nie znalazł, i trzeba mi było wiele rozumować dla docieczenia tey taiemnicy.

Nie myśliłem żeby ſłońce przeſzło po podemną. Còż miało czynić, oświeciwſzy mnie i moie ptaki? Ale oto ieſt, co mi ſię zdało być naypodobnieyſzym do prawdy. Ten wielki mrok, co ſię wczora wwieczor rozciągnął po całym Niebie, zapewnie morze poſłało ſłońcu, ażeby ſię nim okryło, i żeby przechodząc po nademną

mną dla zaczęcia swoiego biegu (*) nie obudziło mię ze snu zbyt żywym swoim światłem. Miłość własna podawała mi do myśli te rozumienia; ale taż miłość nie zaślepiła mię aż do tego stopnia, żebym nie czuł iak wiele hołdu, iak wiele wdzięczności byłem winien temu pięknemu światłu, albo raczey iego Twórcy, ku ktòremu zaczynało mnie one prowadzić. Już ia mòwiłem do siebie widząc słońce, ktòż to iest co to wszystko stworzył?

Wymyślam iedno systema względem wzrostu ciał.

Przez ten czas, gdy szedłem przeciw słońcu, te wielkie wyo-

(*) Dla czego słońce nie odprawuiąc przez noc podròży Niebieskiey, nie zostało aż do iutra tam gdzie zaszło? Nie wiedziałem iakim sposobem usprawiedliwić tę podròż niepotrzebną. Po długich rozumowaniach zdało mi się, że to mògł być figiel, ktòry mi słońce zrobiło.

brażenie i wiele innych, pomieszanie snuły się w moiey myśli. Cóż ia iestem? zkądżem się wziòł? cóż to iest te słońce, te Niebo, ta ziemia, te ptaki, te drzewa, te skały? iak się to wszystko stało? iak się stałem ia sam? ponieważ bez wątpienia przedtym mnie nie było. Widziałem się tak małym, że zaledwie mogłem dosiągnąć koła, na ktòrym stawiono dla mnie potrawy, a teraz głowa moia z iego się wierzchem ròwna. Może urosnę tak wysoki, iak są te drzewa i skały, które nie z inney może przyczyny są tak wielkie, tylko, że są dawnieysze odemnie. Ale czyliż i ia nie byłem tak małym, iak te ziòłka, ktòre, kto wie? ieżeli z czasem nie urosną tak wielkie iak te drzewa? Còż ia byłem przedtym? Czym staniemy się, ia, te drzewa, te zioła, te skały, gdy będziem tak wysocy iak Niebo, kiedy słońce będzie przechodzić pomiędzy moie palce, po między gałęzie

drzew

drzew i ziòł, i będzie muſiało, choć tak małe ieſt, pomiiać ſkały, bo nie potrafi przeyść po między niemi i Niebem, ktòrego ſię one głową ſwoią dotkną? może też i ſłońce uroſnie? a ztąd wyniknie naywiękſza zawada, bo czyliż i Niebo, w ktòre to wſzyſtko ieſt obwinione, będzie ſię mogło także rozrość? --- Widziałem iak ſą nad poięcie moie te wyſokie badania, i miałem przecie rzadką roſtropność zaniechania tych myśli.

Ani morze, ani iezioro z ktòrego piłem, niewchodziły w te trudności, ktòrem ſobie zadawał, przez nie trzymanie ſię ſwych części iednych z drugiemi, i przez ſwoią ciekłość, ktòra zawſze dążyła na dòł, a zatym nie mogła rość chyba wgłąb; głembią miałem za nieſkończoną, ponieważ niewidziałem iey granic, przeto nie zatrudniałem ſię dochodzeniem,

niem, iakim ſpoſobem może rość woda. (*)

Wſzyſtkie te badania, ktòre dopioro wyznałem, były zbyt dla mnie wyſokie, iak wyſokie ſą i dla innych wielu; ale miałem upodobanie w ich dochodzeniu, ile mòy rozum bez doświadczenia mògł być do tego

(*) Niechay ſię temu nikt nie dziwuie, że ia będąc młodym tak wielkie rozumowania, i tak śmiałe czyniłem domyſły. Zmyſły moie, ktòre odtąd, iak poznałem moie ieſteſtwo, uſiłowały nieuſtannie rościągać ſię po całym świecie, dla przynoszenia z niego wyobrażeń do mowy myśli; nie miały aż do tego czasu, zamiaſt obszernego tego pola, tylko ſzczupły plac między czterma klatki moiey ścianami zamknięty. Mòy rozum ściśniony od dzięcińſtwa, i że tak rzekę w ſiebie ſamego zebrany, ſpuściwſzy ſię razem z ſwey ſprzężyny, powinien ſię był daleko rozciągnąć, ale oraz nie będąc dobrze proſtowanym, powinien był w tym pierwszym z cęgla ſpuszczeniu do wielu trafić błędòw. I czemuż nie? to ſię przytrafia i rozumowi naylepiey proſtowanemu.

tego zdolnym. Zdawało mi ſię, żem lepiey niżeli przedtym myślił, lepiey rozumował. Nie wiem czy to pochodziło z ukontentowania, które miałem z przypatrzenia ſię iutrzenki i pięknego poranku, czyli też ztąd żem był nadſzczo? Tę drugą przyczynę ſądziłem być śmiechu godną. Co za związek mógł być między umyſłem i żołądkiem? potym aż nadto doświadczyłem, że ieſt wielki, mimo dziwney różnicy ieſteſtwa materyalnego, od ieſteſtwa myślącego, i ztąd nauczyłem ſię pokory.

Przybywam do klatki, przybywam mocno zgłodniały, iem podoſtatku, i podiadłſzy do ſyta, mam ſię tak za ſzczęśliwego, iakem ſię miał za wielkiego, co wiele znaczy. Bo chociaż nie byłem pierwſzym w oczach moich ieſteſtwem po ſłońcu, byłem przynaymniey drugim. Zaczołem nawet wątpić, czy mi należało kłaść ſię w niżſzym ſtopniu od ptaków? i wkrót-

i wkrótce potym zoſtałem przekonanym, że nie należało.

Doznaię iednego czucia zmyſłowego.

Dwoie drzwi duſzy moiey, powonienie i dotykanie były ieſzcze zamknięte. Pierwsze miały ſię w krótce otworzyć i powiękſzyć podziwienie, w ktòrym względem ſiebie zoſtawałem.

Wſzedłſzy do iednego bliſkiego mey chaty gaiku, poczułem to, co nazwać można wonią poranku, zapachem ſłodkim ocucenia ſię że ſnu natury. Poczułem ten zapach, ktòry ſię tylko w lasach rozszerza, zapach tak przeciwny temu, którym tchną miaſta i ich okolice. Do tego zapachu łączyła ſię weſoła zieloność, na ktòrą iutrzeńka świeżo rozrzuciła tak rzetelne ſkarby, iak perły i dyamenty ſą przywidziane.

Szczęśliwi tego uſtronia mieſzkańcy nuciły ſwoią ſzczęśliwość, i śpie-

i śpiewały powròt ſłońca. Zanurzyłem ſię razem cały w tych lubościach: ſerce moie zoſtało napełnione roſkoszą czyſtą, roſkoſzą ſłodką, ktòra ieſt nadgrodą cnoty i niewinności życia. Rozumiałem że nie ma nic milſzego, nad to czegom doznawał, z tym wſzyſtkim roſkoſz moia wkròtce ſię ieſzcze bardziey powiękſzyła. Jakiś mię zapach ieszcze milſzy zaleciał. Nie doſyć żem go czuł, żem nim oddychał, pobiegłem ieſzcze na mieyſce, zkąd wychodził.

Uczyniwſzy krokòw kilka, poſtrzegłem za krzakami trawnik zielony, kwiatami i brylantową roſą okryty, widać było z pod zieleniny trawnik błękitny, a iednak miękki, a po między tym wſzyſtkim, wznoſiły ſię ſzlachetnego i przyiemnego kſztałtu liścia, i tam, i òwdzie rozſadzone krzewy, na ktòrych wiſiały małe ziarna, do naypięknieyſzego alabaſtru podobne. Położyłem ſię na

ziemi, dla połykania tych wſzyſtkich zapachów. Kąpię ſię w roſie na konwalii i na fiołkach; ſerce moie pływa w roſkoſzy, ktora do niego wchodzi przez zmyſły. Tarzałem ſię, wyciągałem ſię na ziołach, używałem luboſci piątego moiego zmyſłu --- Ach *Iulio!* --- Ach ia cię pokrzywdzam! Nie -- nie poczułem ia roſkoszy dotykania, aż dopiero w ów moment, kiedym pierwsze pocałowanie odebrał z uſt twoich.

Czuię ſię być nieſzczęśliwym nie maiąc towarzysza.

Poſtrzegłem w nieiakiey odemnie odległości dwie Synogarlice, które razem w roſie i ziołach bawiły ſię, pieściły i dziobały ſię --- i ſkrzydłami trzepiotały. Zaſmuciłem ſię tym widokiem, widząc, że ieſzcze nie znam tego wſzyſtkiego, co ieſt ſtworzonym dla mnie. Ta uwaga wzbudziła we mnie drugą pełną go-

goryczy. Tych ptaſząt ieſt dwoie --- Mucha, co przez nieiaki czas zoſtawała ze mną w więzieniu, zapewnie żyła z innemi muchami, bo ich tu wiele widzę. Moi ſludzy, ktòrych widziałem biegących do morza, ſą w towarzyſtwie. Ptaſzęta, co na drzewie ſpiewały, nie ſą ſamotne; Rybki i ślimaki, ktòrem od morza przynioſł, żyią wſpołeczeńſtwie. Te krzewiny, kwiaty i drzewa, ieżeli do ſiebie nie mòwią, ieśli ſię z ſobą nie pieſzczą, bo to nie ieſt rzeczą do ich ſzczęśliwości potrzebną, przynaymniey maią roſkoſz widzieć ſię i być razem; a tylko ia ieſtem ſam ieden? możnaż być ſzczęśliwym nie maiąc towarzyſza? Ach! gdyby drugie ſtworzenie podobne do mnie, dzieliło zemną moią ſzczęśliwość, czuię, żeby ta moia ſzczęśliwość w dwòynaſòb powiększoną była. Więc napòł tylko ieſtem ſzczęśliwy. Gdzież znaydę te ieſteſtwo, ktòreby mi było tak miłe? niechciał-

chcałbym, tylko iednego; dosycby mi było - - - Któżkolwiek iesteś, coś mię tu osadził, dla czegoś mię osadził samego? Będzieszże okrutnym, że mnie tak zostawisz na zawsze? Mógłbym być tak szczęśliwym. - - - Trzebaż żebym prowadził życie nudne - - - Gdybyż się te przynaymniey mogło skończyć! - - - W tym się wyobrażenia moie pomieszały; zdało mi się iak gdyby obłok gęsty zaćmił mòy umysł. Zostawałem przez nieiaki czas pogrążony w zamyśleniu i smutku, nakoniec usnołem. Jeden sen miły pocieszył mnie w utrapieniu, ktòre mi sprawiły moie uwagi: oto on iest.

Zostawałem na tymże samym trawniku zielonym, naktórym usnołem, słyszę iakiś szelest w iednym krzaku, biegnę do niego, widzę że się gałęzie i liścia ruszaią; odskoczyłem z boiaźni, potym znowu przystompiłem - - Co za widok! (Już temu lat trzydzieście

ście, iakem go widział, a ieſzcze tak wielką mi czyni impreſſię, iak gdybym go widział dopiero wczora) Poſtrzegam iakieś ieſteſtwo - - iakąś Boginią - - Była ona podobna do mnie z nieiaką iednak ròżnicą. Była nieco wyżſza, ale daleko pięknieyſza odemnie. Członki iey nieròwnie były wdzięcznieyſze i kſztałtnieyſze, żyły nie tak wyraźne iak moie, ſkòra daleko bielſza. Zbliżam ſię do niey, ona mnie przyimuie z uſmiechem; ktòrego wdzięku nie można wyrazić. Mòwi do mnie razem i uſty i oczyma. Jak rumiane iey uſta, iak ſwieże! Jak wſpaniałe, iak miłośne i żywe iey oczy! Nioſę do iey uſt pocałowanie tchnące iakimſiś ſwiętym ogniem, który iey oczy w moim ſercu roznieciły. Sciſkam ią, trzymam za ręce, tak ſię obawiałem, żeby nie umkneła odemnie. Ona mnie w tey uſpokaia boiaźni z upodobaniem poſtempuiąc za mną. Prowadzę ią na ten że ſam trawnik,

i na tęż mieyſce, z którego miałem ſzczęście uſłyſzeć ſzeleſt krzaku, który ią przedemną ukrywał. Moie ſpoyrzenia, moie pieſzczoty, mòwią iey tyſiąc rzeczy, na ktòre ona tak dobrze odpowiada - - - Czuię żywe pragnienie, których przedmiot mniemam mieć przed oczyma, ale ſerce moie będąc tylko na wpòł rozwinione, nie zna ieſzcze z kąd te pragnienia pochodzą. Rozumie że go zagrzewa ogien, iak ciało grzeią promienie ſłoneczne, z tym wſzyſtkim czuie upał iego. Sciſkam ręce mey towarzyſzki miłey, porywam ſię nagle że ſnu, przetwieram oczy, i widzę że ſam ieſtem.

Te nieſzczęśliwe ocknienie ſię pogrążyło mię w ſmutku. Wiele w zdychałem i płakałem. Do tego czaſu nigdym płacząc nie w zdychał; tego dnia ledwie pierſi mogły wyſtarczyć wzdychaniom, i iak wiele razy potym wzdychałem do tegoż ſamego przedmiotu! wzdychania moie były dla mnie

bole-

boleścią i ſmutkiem, nim go znalazłem; teraz gdy go dziedziczę, ſą lubością i roſkoſzą.

Jedne zdarzenie i niektòre uwagi uſpokaiaią mnie.

Łzy moie z początku pomieſzane z goryczą, a nawet i z roſpaczą oſłodziły ſię powoli. Właśnie iakby dla przerwania mi ſmutku, ptaſzęta niedaleko mnie uſiadłſzy, ſpiewać zaczeły. Podnioſłem ſłaby wzrok w tę ſtronę, gdzie one ſiedziały: wſkazałem głową i ręką na te mieyſce, ktòre podług rozumienia mego, miało w ſobie to, co mego ſmutku było przyczyną. Smutek ten tak był żywy, tak wielki, że zdawało mi ſię, iż wſzyſtko powinno było dzielić wraz ze mną. Przywidziało mi ſię, że głoſ ptaſząt był żałośny, odpowiedziałem im takimże, ale ſłabym głoſem, *dać mu pokoy*. Nieodleciały iak tamte,

do których dnia poprzedzaiącego rzekłem też ſame ſłowa, z czego tak kontent zoſtałem, iż to w ſercu moim rozniecilo pierwſze ſwiatełko pociechy, ktòrą na potym naſtępuiąca uwaga powiękſzyła.

Wſzyſtkie ſny, ktòre miałem do tych czas, albo mi przypominały przypadki przeſzłe, albo wròżyły co mi ſię przytrafić miało. Ten oſtatni, nieſtety! nie ieſt bynaymniey obrazem zdarzenia przeſzłego. Oh! gdyby ſkutek tak prędko naſtompił i tak ſię doſkonale zyſcił, iakmoich ſnòw pierwſzych, iak żebym był ſzczęśliwym! Jeſteſtwo mocnieyſze które mnie ſtworzyło, i te tak żywe, tak gorące pragnienie w ſerce moie wlało, przyprowadzi mi tu bez wątpienia ten przedmiot, który mi ukazało we ſnie. Byłoby nieſprawiedliwe, byłoby okrutne, gdyby tego zaniedbało uczynić - - - Nie, nie, nie zaniedba: tyle mi one uczyniwſzy do-

dobrego, mie może byc nieſprawiedliwe, ani okrutne -- Ale co to ieſt te ieſteſtwo? gdzie one ieſt? ſtanołem na tym, nieſmiałem ieſzcze poſtępować daley, lękałem ſię pogrążyć w przepaści.

Wyſtawiam pamiątkę, i dwie wiadomości odkrywam.

Zebym uwieczyścił, że tak rzekę, w oczach moich ſen oſtatni, przyſzło mi do myśli położyć kamien, który niedaleko od ſiebie widziałem, na tym mieyſcu, gdzie godzina pierwey, byłem tak ſzczęśliwy i tak nieſzczęsliwy. Idąc po ten kamień poſtrzegłem zdróy, napiłem ſię z niego wody i mocno ucieſzyłem ſię z tego odkrycia. Od tego zdroiu poſzedłem do kamienia, przenioſłem go na mieyſce, na ktòrym zdawało mi ſię, że ktoś *drugi ia* przebywa. Poſtanowiłem do niego przychodzić co dzień, żebym go łza

moiemi ſkrapiaiąc, uczynił czułym na me wzdychania, czegom w rzeczy ſamey nigdy nie zaniedbał.

Gdy ten kamień toczyłem ku ſwemu przeznaczonemu mieyſcu, poſtrzegłem nad gałęziami zielonemi nie ktòrych krzaków nieruchomemi, dwie gałęźie dosyć rozłożyſte, ale bez liścia, ktòre ſię ruſzały, lecz mnie to niezaſtanowiło: toczyłem daley kamień; byłem cały zaprzątniony pamiątką, ktòrą miałem wyſtawić. Jednakowòż gdy tę ſkończyłem robotę, i gdy dla położenia na tym wielkim dziele pieczęci, ucałowałem kamień i kwiatami go uwięczyłem, udałem ſię na tę mieyſcę, gdzie te cudowne widziałem gałęzie. Poſtrzegłem że ſzły ku mnie: zaſtanowiłem ſię. Co za podziwienie moie było, uyrzawſzy krzak, z którego one wychodziły? [illegible]yła to głowa Jelenia. Szedł on [illegible] ſię natę murawę, gdzie ia do-[illegible] ſmutny hołd oddałem miłości.

Zo-

Zobaczył mię i nie zląkł ſię. (*) Zbliżył ſię aż do kamienia ſnu (tak go' ia zawſze nazywałem) i był odemnie na ſtrzelenie z piſtoletu. Przypatrowaliśmy ſię ſobie z równą ciekawością, mierzyliśmy okiem ieden drugiego, obydwa mieliśmy ſię na baczności, ieżeli ieden drugiego miał mieć iak za przyiaciela, albo iak za nieprzyiaciela. Nayproſtſza była rzecz, żebyśmy ſię oddalili, on w ſwoią, a ia w ſwoią ſtronę; ale natura nas nauczyła, że gdy niebeśpieczęſtwo ieſt wątpliwe, potrzeba doſwiadczyć dla dowiedzenia ſię, ieżli od tąd na potym od niego należy lub nie należy uciekać.

Na zbliżenie ſię ku mnie Jelenia, poczułem z początku w ſobie boiaźń, ale mnie chód iego ſzlachetny i wſpaniały uſpokoił. Z niewymównym ukontentowaniem

(*) Doświadczyłem z ſamego ſiebie że zwierzęta nie tak ſię lękaią Człowieka nagiego, iak odzianego.

przypatrowałem ſię temu pięknemu zwierzęciu, dziwiłem ſię iego kſztałtowi, porównywałem układ ciała iego z moim, i znaydowałem w nim còś doſkonalſzego niżeli w ſobie. Sposob iego paſienia ſię mocno mię bawił: padłem także na ręce i zaczołem gryść trawę, ale gdy ta zdałami ſię być twardą i kwaśną, chciałem ſkoſztować kwiatów. Jako ia na ów czas mało miałem wiadomości, a żadnego na świecie doświadczenia, tak dziwiłem ſię, że maiąc tak miły zapach, były ſmaku tak gorſzkiego i nieprzyiemnego. Zaczołem poznawać że nie można o wſzyſtkim ſądzić z podobieńſtwa, nawet w tym co wydaie natura, a to mnie mocno zmartwiło. Wſtałem z ziemi porywczo: Jeleń uciekł, próżnom go uſiłował dogonić, zniknął mi z oczòw.

Głód mi dokuczał, poſzedłem ieść, a odłożyłem na poobiedzie, iść nie polować na Jelenia, ale zobaczyć ſię z nim z przyiaźni,

ktòrą z nim zawrzeć umyśliłem.

Igram z moią cienią.

Powracaiąc do mey klatki przypatrowałem ſię Słońcu z nowym co raz podziwieniem. Widziałem, że tąż ſamą idzie drogą, co dnia poprzedzaiącego, i gruntowałem ſię w mym rozumieniu, że przeznaczenie iego było krążyć około mey wyſpy. To powiękſzało moią ku niemu wdzięczność i przywiązanie. Czucia te głemboko ſię wraziły w moie ſerce, a te ſzczerym tchnęło uſzanowaniem: ale nie ſądziłem, żebym powinien był te uſzanowanie rościągać, aż do cieni, ktòra przy ſłońcu, mego ciała i innych, nieprzezroczyſtość ſprawowała. Zpoufaliłem ſię z moią cienią, igrałem znią, i kiedym miał ſłońce z tyłu albo z boku, goniłem za nią, groziłem iey kiiem i ròżne wyrządzałem ſigle. Gdy była z ty-

łu,

łu, zachęcałem ią, żeby za mną szła, i okàzywałem przez znaki, żem był kontent z iey punktualności.

Miałem ią zboku idąc koło kamienia snu do mey klatki, ale nic do niey niemòwiłem przez ten mały przeciąg, będąc cały zaprzątniony słońcem, ieleniem, snem i potrzebą posilenia się. Było na òw czas późniey iak południe, gdyż moia cień, która z rana była z prawey strony, to iest ku morzu zachodniemu, była ieszcze po prawey stronie gdym powracał, a zatym ku morzu wschodniemu.

Zaczynaią się psuć moie zapasy mięsne.

Przybywszy do klatki zastałem moie kosze z zapasami w tym stanie, w iakim ie zostawiłem, ale które zostawiłem pod drzewem, zdałymi się nieco poruszone i umniey-

umnieyszone. (*) Z tym wszyſtkim iakieby ieſteſtwo śmiało ruſzać to, co było przeznaczone do użycia mego? Miałem to za rzecz niepodobną, i nieczyniąc ztąd ſobie żadney niespokoynośći, wziołem, albo raczey pochwyciłem kawał męsa.

Choć kosze poſtawiono w cieni drzew, ſłońce iednak przechodząc tędy drugi raz po moim przybyciu, zaczeło niektòre kawałki świeżego mięſiwa psuć. Zapach nieprzyiemny zaleciał mnie od tego kawałka ktòry wziołem, rzuciłem go nieśmieiąc ieść i płakać zaczołem. Mòy chleb także zſechł mocno, co mnie niewypowiedzianie martwiło. Uważałem z rana, że im bardziey ſłońce dogrzewało, tym znaczniey rosa ubywała z kwiatòw, i zaczeło mi w myśl wpadać, że to ſłońce ią wypiiało, wnoſiłem także, iż to one

(*) Dowiedziałem ſię na potym, że to krỏliki moią żywność poruszały i ziadały.

one chleb mòy wyſuſzało, i od tego momentu ſtarałem ſię ſkryć go przed iego upałem.

Mała iaſkinia wykopana w zgòrku, przy ktòrym kompałem ſię w wodzie, zdała mi ſię być dobrym mieyſcem na mòy drogi ſkład żywności. Umyśliłem ie tam przenieść, wywròciwſzy w przòd koſze i zobaczywszy, ieżeli wſzyſtkie męſiwo nie ieſt zepſute, ieżeli wſzyſtek chleb nie ieſt uſchły. Ale miałem ſię ieſzcze dowiedzieć o rzeczy inney, niemniey iak ta ważney, to ieſt: zobaczyć, ieżeli także zioła moie i korzenie uſzkodzone nie ſą, tak iak inne zapaſy. Pobiegłem do nich zwielką nieſpokoynością i znalazłem nie co zwiędłe, ale bez żadney nieprzyiemney odrazy. Koſztuię, i widzę, że ſą tak dobre, iak były pierwiey, tylko co nieco twardſze. Zebym miał z czym poròwnać (gdyż to ieſt pierwſzy poznania ſpoſòb, ktòrego nas uczy natura) biegnę zebrać

brać innych korzeni, których bez trudności nawyrywałem bo rosły w ziemi piaszczystey i letkiey. Znayduię że te tą świeższe, miększe i przyiemnieysze. Poznawałem iuż pierwey còżkolwiek, że słońcę przez swoie ciepło z syłało urodzayność i życie na łono ziemi. Wniosłem na ten czas, że ieśli sprawowało soki żywiące i wyprawowało ie wroslinach, pòki zostawały w ziemi, suszyło ie wysysaiąc z nich też same soki skoro zostały z ziemi wyrwane. Kontent z tego odkrycia, które bez wątpienia na òw czas ciemniey poymowałem, niżeli ie teraz na pismie wyrażam. Chciałem także poròwnać owoce zerwane, z zostaiącemi ieszcze na drzewie, i znalazłem w nich tęż samę prawie ròżnicę co i wziołach. Jak to być mogło? Owoce wiszące na drzewie bardziey były wystawione na upał słoneczny, niżeli te co zerwane, a przecie pierwsze nie były, ani tak pomarszczone,

ne, ani tak zwiędłe, iak drugie? to przechodziło mòy rozum, choć tak głęboki. Mógłbym ſię był wprawdzie domyślać, że drzewo będąc wkorzenione w ziemię, ciągneło z niey ſoki, prowadziło ie w gałęzie, a z tych w owoce, ale iakim narzędziem, i iakiemi kanałami mogło ie prowadzić? Wſzyſtko to nie było rzeczą iaſną, a ia zoſtaiąc wſtanie Człowieka naturalnego, poſpolicie niewiadomość przenoſiłem nad domyſły i mniemania. Czaſem też czyniłem domyſły, iak można widzieć w poprzedzaiących rozdziałach; gdyż kóżdy Człowiek, nawet i naturalny bywa nierozſądnym.

W iakim ſtanie znayduię moie Slimaki i Rybki.

W wilią dnia tego, to ieſt wdzień mego przybycia, długom ſię przypatrował i dziwił moim ma-

małym rybkom i ślimakom. Widziałem że te drugie łażą po ziemi to w przòd, to wtył, to nabok, i choć niemogłem nic z tego wſzyſtkiego poiąć, mocnom ſię tym iednak zabawiał. Rybki ſię zaś tylko trzepiotały, i nową dla mnie arcy przyiemną czyniły igraſzkę. Jch kſztałt, ich odzież błyſzcząca ſię, żywość, oczy ruchawe, i że tak rzekę ſwywolne, zawierały w ſobie còś cudownego, co mnie w podziwienie wprawowało.

Ale miałem nad niemi politowanie, że nie mogły tak łazić iak slimaki. Zdawałomi ſię że ieſteſtwo nie znaiome, te ieſteſtwo, z ktòrego one rąk wyſzły, nie uczyniło między tym dwoiakim ſtworzeniem rownego ſwych darów podziału. Nie wiedziałem, że iſtność przeznaczyła Ryby do pływania w wodzie, i że one zoſtaiąc w tym żywiole, zażywały wſzelkiey wolności i ſzczęścia, do ktòrego mogły być zdolne.

Za-

Zaprzątniony wielkiemi i ogromnemi świata przedmiotami, Ziemią, Niebem i morzem, nie miałem przytomności umyſłu i cierpliwości potrzebney do zaſtanowienia ſię uwagą nad rybami i slimakami.

Powròciłem do nich dnia drugiego przenioſłſzy do iaſkini moie zapaſy. Znalazłem że ślimaki rozproſzone z koſza wszyſtkie ſzły, iedne prędzey, drugie powolniey iednąż drogą, do naybliżſzego morza, to ieſt: do morza wſchodniego, z ktòrego ich przynioſłem. Same tylko rybki zoſtały bez ruchu żadnego na dnie w koſzu, w ktòry ie włożyłem. Smutna ich poſtać zmartwiła mnie. Chciałem ſię im przypatrzyć bliżey, ale mnie odraziło nieprzyiemne z nich wychodzące powietrze. Oczy miały otwarte, gdyby nie to, rozumiałbym że ſpały. Zawſze otwierałem oczy, gdym ſię obudzał, więc podczas ſnu mego były zamknięte, a ia o

kòż-

kòżdey rzeczy z ſiebie ſamego ſądziłem: lecz oczy ich były otwarte, ą nie ruſzaiące ſię i zgaſłe, te więc ſtworzenia małe, ani były śpiące, ani przebudzone. Choć nie wiedziałem iaki to był ten ich ſtan, zdałmi ſię iednak być okropnym. Wziołem iedną rybkę w rękę, ruſzałem ią, przewracałem, nic nie opuściłem, powiedziałem iey nawet *dać mu pokoy* - - - Nieſtety! iuż w tym ſtanie zoſtawać muſiała, aż pòkiby iedne części iey ciała, przyłączywſzy ſię do materyi ożywioney, drugie do martwey, nie powròciły do nieuſtannego wichru; a ten moment nie był daleki. Włożyłem znowu zwolna rybkę do koſza, boiąc ſię żebym iey nie uczynił przykrości, i poſzedłem zobaczyć, ieślibym nie znalazł mego Jelenia.

Idę szukać Jelenia i doganiać słońce zachodzące.

Już nic nie przeszkadzało tey małey podròży, gdy ziadłem obiad dobry. Ale żebym mògł odprawić dłuższą, i pòyść aż na koniec mey wyspy, gdzie myślałem dogonić słońce przy iego zachodzie, ieśliby iak dnia poprzedzaiącego, swóy bieg obròciło w tę stronę, nazbierałem wiązkę korzeni, i związałem ią podwiązką, ktòra mi służyła za smycz do ciągnienia koszul.

Szedłem tak nagi, niosąc korzenie pod pachą, i byłem naybogatszym i nayszczęśliwszym na świecie człowiekiem, bo nie miałem ani potrzeb, ani obowiązkòw, ani interesòw.

Przeszedłszy łąkę snu, ucałowawszy pamiątkę, westchnowszy kilka razy i włożywszy nieco kwiatòw na kamień, przeszedłem-

dłem blisko strumienia, ktòry idąc po kamień znalazłem; napiłem się z niego i zostawiłem przy nim iedno moie naczynie, żebym go mògł, kiedybym chciał, użyć. Na koniec przyszedłem na mieysce, gdzie Jelenia zgubiłem z oczu. Szukałem go tam przez czas długi, nie znalazłem: a obawiaiąc się, żeby słońce nie przyszło do końca wyspy zachodniey, wprzód niż ia, pospieszyłem w tę stronę, iak mogłem nayprędzey, ponieważ widziałem, że się tam iuż spuszczać poczeło. Uszedłem nie mało drogi, i przybyłem aż do morza, które znalazłem tak nieskończone, iak z strony wschodniey. Słońce zachodziło za ten nowy horyzont. (straciłem wszelką nadzieię dóyścia aż do niego.) Ten smutek powiększał inny ieszcze żywszy. Prawda milsza była w oczach moich, niżeli słońce, a ia co moment postrzegałem się w iakim nowym błędzie. Moia klatka, gdym na nią patrzał zdaleka,

leka, wydawała ſię tak małą, iak moie koſzyki, a koſzyki zdaleka zdawały mi ſię tak małe, iak ptaſzęta. Toż ſamo drzewa, góry, ſkały. Morze zachodnie z mieyſca, z ktòrego zobaczyłem raz pierwſzy, zdawało ſię być małą cząſtką wody kończącą moią wyſpę i ſtykaiącą ſię z Niebem. Zbliżywſzy ſię do tey mniemaney cząſtki zobaczyłem, iak bardzom błądził względem iey ſzerokości.

Gdy kłatka moia i inne przedmioty wydawały ſię mnieyſze zdaleka niż z bliſka, z początku tę odmianę przypiſywałem rzeczy iakieyś, ktòra mogła mi wlecić w oczy: przeto przetarłem ie ręką ſpodziewaiąc ſię, że potym będę lepiey widział, ale gdy te lekarſtwo nic nie pomogło, niechciałem więcey kuſić ſię o docieczenie taiemnicy; oſądziłem ią za niedościgłą. Naybardziey niepoiętą zdawała mi ſię na widok morza, które brałem za iezioro pomierney rozległości. Szemrałem

łem na to, bo zawſze niewiadomość do tego udaie ſię ſrzodka. Na co ſię przydadzą oczy, ieżeli niemi nic pewnego nie można odkryć, i ieżeli iednąż rzecz widzą ſpoſobem dwoiakim cale ſobie przeciwnym, z ktòrych ieden koniecznie muſi być fałſzywy, a może i obydwa? - - - Niektóre uwagi i w tym mieyſcu dały mi dociec prawdy.

Jeſtem iſtnością doſkonałą, wſzyſtkie moie zmyſły i organa ſą przedziwne, panuie między niemi i w ich czynnościach doſkonała zgoda i porządek, ktòry ſprawuie moią ſzczęśliwość. Czyż podobna żeby naypięknieyſzy z nich, oko moie, miało wadę? nie, bez wątpienia, potrzeba, żeby dla właſnego mego pożytku, im ſą przedmioty dalſze, tym mnieyſze wydawały ſię, i oto, rozumiem, ieſt tego przyczyna. Gdybym patrząc z nayodlegleyſzego mieyſca, widział ich takich, iakiemi ſą wrzeczy ſamey, nie mógłbym ich

razem widzieć, chiba ſześć, albo ſiedm, i zaiełyby mi cały mòy wzrok, i to ciemnobym tylko ich widział. (*) Daleko lepiey żeby wzrok mòy buiał wolno, i mògł poiedynkiem przypatrować ſię rzeczom w tym pięknym i wielkim znayduiącym ſię przeſtworze, który otacza Niebo. Uczy mnie doświadczenie, że im daley ieſt iaki przedmiot, tym mnie ſię zdaie być mnieyſzy. To tedy w takim razie powiękſzę pozorną ciał wielkość w miarę odległości, z ktòrey ie będę widzieć, i będę znał wielkość ich iſtotną, a przeto nie podpadnę błędowi.

Tak

(*) Natura miała ieſzcze inną przyczynę w umnieyſzaniu nam przedmiotòw w miarę odległości, aby nam podała przez to ſposob, iakimbyśmy o teyże odległości mogli ſądzić. Bo daymy naprzykład, żeby wieża ſtoiąca od nas o ſto krokòw wydawała ſię tak wielka, iak druga wieża podobna odległa od nas tylko o krokow dzieſięć, zdawałoby ſię nam, że druga nie ieſt od nas daley, iak pierwsza.

Tak byłem kontent z tego rozumowania, choć wſpoſobie ieſzcze daleko ſłabſzym, niżeli ſię teraz wyrażam, że w nieiakim zachwyceniu z podziwienia ſamego ſiebie, zawołałem, *dać mu pokoy* -- Zaczołem iuż nie tak częſto powtarzać pomienione ſłowa, ktòre z początku zdawały mi ſię tak miłe. O! iak to ieſt prawda, że roſkoſze nawet nayżywſze tępieią przez nałog, i że pomierność w ich używaniu iednym ieſt ſrzodkiem do uniknienia ich ſytości.

Słońce ſię ſpuſzczało na doł, widziałem iak w chodziło w wodę. Pròżno dla zatrzymania go czyniłem proźby, zanurzyło ſię w niey całe. Ciemna zaſłona powſtaiąca z morza wſchodniego, zakrywała iuż wielką część Nieba, a ziemię blade tylko zmroku światło, oświecało. Szukałem ſchronienia, gdziebym mògł tę noc przepędzić ſpokoyniey niż przeſzłą, ponieważ miałem zimno, i to nieiaką we mnie ſprawowało chęć

przykrycia ſię, przynaymniey dwòma lub trzema koſzulami, ale nie uczyniłem tego, ponieważ zawſze kalkuluiąc podług mego chwalebnego zwyczaiu znaydowałem nieprzyzwoitość odzieży nieco więkſzą, nad iey pożytek, (*) co mi powodowało do przepędzenia nocy w iakich iaſkiniach. Znalazłem iedną, ſpałem w niey bardzo dobrze, gdzie przynaymniey nic mi nie przeſzkadzało ſpaniu, pròcz niektórych ſnòw, ktòre pierwſzych dni podziwienia, i że tak rzekę zachwycenia, ſą nieuchronne.

Płaczę rozumiejąc że natura zoſtaie w iakimś ſmutku.

Pierwſzy mòy wzrok, iak tylkom ſię obudził, rzuciłem ku

Nie-

(*) Muſiałem na potym uznać, że nietylko nie ma nic ſkromnieyſzego i uczciwſzego, ale też nic wygodnieyszego i zdrowszego, nad odzienie, byleby było bez wymyſłu i zbytku.

Niebu. Całe było zakryte chmurami; ani iutrzeńki, ani słońca nie widać było na horyzoncie. Poszedłem aż do morza wschodniego, od ktòrego oddaliłem się był prawie na milę, i tam nic nie zobaczyłem. Obróciłem się kilkanaście razy ku zachodowi. Może być, myśliłem, że w tamtey stronie słońce zostało, ale i tam go nie widać było. Pogrążony więc w smutku rzewnie płakałem.

Uważałem że cień iest skutkiem przytomności słońca, ale że nie zawsze rozumowałem słusznie i z przynależytemi wnioskami; chciałbym był, żeby słońce, ieżeli zmordowane, odpoczywało na mieyscu, gdzie go zostawiłem w wieczor, przynaymniey dla pociechy moiey w smutku z iego nieprzytomności, przysłało mi moią cień, te iestestwo malowane ze mnie, ktòrego małpie figle mocno mię bawiły. Pròżnom go o tę ulgę prosił, iesliby niechciało przyiść samo, przez przyto-

mność

mność ſwoią przywròcić mi radość. Próżno płaſzczyłem ſię na ziemi ku wſchodowi, obracałem w te ſtrony mòy wzrok ſmutny, i wyciągałem żebrzące politowania moie ręce: wſzyſtko to było nadaremnie. Przepędziłem dwa dni całe w nayokropnieyſzym ſmutku: przepędziłem ie nie iedząc i nie śpiąc. Dni te były prawdziwie dla mnie dniami żałoby. Wzdychałem do ſłońca, ktòre zniknęło mi z oczòw, iak miałem zwyczay wzdychać do *Fatymy*, ktòrą, nieſtety! nie widziałem tylko weśnie. Utrata ſłońca, przypomniała mi utratę *Fatymy*; żal mòy był niewypowiedziany. Jedyna nieſzczęśliwych pomoc, nadzieia, mnie utrzymywała: drugą weśnie znalazłem, po bieganiach tak długich, iak nadaremnych, zmordowany, ſzukaiąc przynaymniey iednego z dwòch ſercà memu przedmiotòw, ktòrymem cieſzyć ſię był zaczoł.

Przez

Przez trzy nocy nieſpałem błąkaiąc ſię nieuſtannie z nieſpokoyności, ale niedaleko klatki, bo mnie ciemność przerażała. Nakoniec padłem na ziemię słabością, żalem i ſnem znużony. Spałem kilka godzin, i iuż był dzień, gdym ſię ze ſnu obudził. Ten dzień nowy, zdawało ſię, że powinien był być ieſzcze ſmutnieyſzym niż pierwſze. Niebo bardziey było zachmurzone, roſpoczołem znowu mòy płacz i udałem ſię ku morzu zachodniemu. W tę ia to ſtronę od dwòch dni naywiękſze miałem upodobanie chodzić: tam był gròb mego Słońca.

Pogrążony w głembokich zamyſłach, ſzedłem ſmutnie, z ſpuſzczonemi w ziemię oczyma, z zwieſzoną głową. Poczułem, że na mnie kilka kropel wody ſpadło. Ach! zawołałem, ach! Niebo także płacze! zapewnie ſłońce zgineło na zawſze! w cóż ſię ia teraz obròcę? w co ſię teraz obròcą wſzyſtkie ieſteſtwa?

Deſzcz

Deszcz zaczoł kropić rzęsiściey, aże był ciepły, niewypowiedzianie mi przyiemną czynił kompiel. Łzy Nieba zdawałymi się arcy słodkie, ziemia dla przyięcia ich otworzyła swoię łono, lasy i łąki tchneły przyiemnym zapachem: zobaczyłem, że niektòre kwiaty ieszcze w pączkach, zaczeły się prędko rozwiiać i żywsze na się brać kolory. Nowy widok dokończył usmierzać mòy skutek i wlał w duszę moię tę radość, ktòrey moment ieden czyni nas daleko szczęsliwszemi, niż wiek roskoszy szumnych. Dwie Synogarlice, które wziołem za te same co widziałem dawniey, przyleciały rospocząć z sobą miłą igraszkę, ktòrey swiadkeim byłem. To wszystko razem nie wymòwnę mi sprawowało ukontentowanie, ktòrego tym chętniey używałem, że zaczołem mieć nadzieię zobaczenia znowu słońca. Chmury od zachodu rozrywały się, i deszcz ustawał.

Nie

Nie przeſtawałem przypatrować ſię igraſzkom mych Synogarlic. Poczułem, choć ciemno, pobudkę ich, i zazdroſciłem im. Niestety! one ſię całuią, one ſię pieſzczą, one iedne drugiego ſzczęśliwość ſprawuią, one w parze, a ia ſam! - - -

Ta uwaga miała mnie znowu pogrążyć w ſmutku, gdy ſłońce nagle wychodząc z zachmury uderzyło mi w oczy i aż do ſerca przenikneło. Krzyknołem z podziwienia i radości, zaczołem ſkakać, tańczyć i z całey mocy ſpiewać, *dać mu pokoy, dać mu pokoy*, a to z takim ukontentowaniem, iak kiedym go raz pierwſzy zobaczył. Moie Synogarlice zleciały; goniłem za niemi, właśnie iakbym ſię mògł ſpodziewać złapać ich w locie. Popełniłem i innych kilkadzieśiąt głupſtw, ale wſzyſtkie były dobre w naturze. Sądzę o tym z iednego małego pieſka, ktòrego miałem w czaſie pòźnieyſzym. Kiedy

dy mnie zgubił a potym znalazł, robił dla mnie to wſzyſtko, com ia w tedy robił dla ſłońca.

Przyſzedłſzy do ſiebie z tego przyiemnego zachwycenia radości, roſpoczołem moie filozoficzne uwagi. Poſtrzegłem, że ſłońce z naydowało ſię na teyże ſamey na Niebie drodze, iak kiedy dwóch dni przeſzłych wſchodziło z morza wſchodniego. Niewątpiłem, że zeſzło w tymże mieyſcu, i że zawſze chodziło pod zaſłoną, aż pokiby znalazłſzy mieyſce ſłabe, nie przedarło ſię przez nią, dla oſwiecania bez przeſzkody moiey Wyſpy.

Widzę Jelenia i znim iego łanię.

Znaydowałem ſię nie daleko *Kamienia ſnu*, poſzedłem wypłacić mu hołd ſmutny i ſłodki, który na ſiebie włożyłem: ſpotkałem Jelenia, zaczeliśmy ſię poznawać, iuż ſię więcey ieden drugiego nie obawiał

wiał. Wſzedł do gaiu zwolna i udał ſię drogą, ktòra nie do mey klatki prowadziła, ale do małey iaſkini, gdzie moie były złożone zapaſy. Poſtrzegłſzy to poſtempowałem za nim. On ſam także ſzedł za innym zwierzęciem, ktòre w niczym ſię od niego nieròżniło, tylko że głowę miało bez gałęzi, a brzuch daleko grubſzy. Poznałem z weſołey Jelenia miny, że to była towarzyſzka iego. O ſłońce! zawołałem, ich ieſt dwoie, a długoż ieſzcze ſam będę zoſtawac?

Jeſzcze nie uſzedłem czwierć mili, idąc za niemi obok tey drogi, ktòra od klatki prowadziła do pagórka, kiedy zobaczyłem, że weſzli na ten pagòrek i ſpuſcili ſię potym do ieziorka, z ktòrego ia dnia pierwſzego piłem wodę.

Wſzedłſzy do mey izby iadalney małey iaſkini, (*) ktòra iak po-

(*) Nazywam ią tak, dla ròżnicy od inney iaſkini większey, w ktòrey, iak

powiedziałem wyżey, pod tym pagórkiem była wykopana, poczułem ſtęchliznę z niektòrych kawałkow nie ſolonego męſa, ktòre dniem pierwey rozumiałem, że ſię kilka dni ieſzcze, bez zepſucia może zachować. Wyrzuciłem wſzyſtko co mi zoſtawało, nawet i chleb, ktòry był po części zeſchły, poczęści ſpleſniały. Zoſtawiłem tylko w mych koſzach męſo więdłe i nieco ſucharòw. Przyzwyczaiono mię na okręcie do tych dwóch potraw nie ſmacznych i nie zdrowych.

Tym czaſem, gdy ia moię reformowałem kuchnię, i używałem uczty złożoney z ſucharòw, męſa wędzonego i korzonkòw, zobaczyłem że Jelen i Łania powracały koło mnie bardzo bliſko tąż ſamą drogą, ktòrą przyſzły, z czego wnoſiłem, że nie daleko *łąki ſnu* muſiało ich być pomieſzkanie.

Uwa-

ſię wkròtce da widzieć, przepędzałem nocy.

Uważam ſkutki zgnilizny.

Skończywſzy obiad, chciałem zobaczyć, ieżeli Rybki moie zoſtaią w tym ieszcze nieruchawości i nieczułości ſtanie, w którym ich zoſtawiłem. Poſzedłem widzieć ich o kilka kroków od moiey małey iaſkini, gdzie ich w koszu poſtawiłem. Smród który wychodził z koſza oznaymił mi, że złe było powiękſzone. Uyzrzałem, że Rybki zſiniały i rozſypowały ſię w kawałki. Zgnilizna zdałami ſię być rzeczą okropną. Przypatrzyłem ſię im bliżey, i zobaczyłem, że w ich ciałach iuż prawie zgniłych znaydowały ſię tyſiące robaczków. Ach! zawołałem, iakże to, co z początku zdawałomi ſię być rzeczą ſtraſzną, godne ieſt podziwienia mego! nic więcey nieginie, nic nie niſzczeie. Albo te drobniuchne ſtworzenia ſtaną ſię rybami, albo przynaymniey

mnieу ryby znowu żyć będą w tych małych ieſteſtwach. Wſzyſtko więc, co ieſt obdarzone życiem, zachowuie go zawſze? wſzyſtko więc, co ieſt, będzie zawſze, i tylko ſwòy kſztałt odmienia? widziałem iuż dziſiay inny tego dowod. Łzy żyżności, ktòre dziſieyſzego poranku na całą ziemię nawyśpie moiey wylewało Niebo, im rzęſiściey płyneły, tym bardziey wchodziły w ziemię, przenikały nawet liścia, owoce i kwiaty: widzę bowiem, że to wſzyſtko rośnie, rozwiia ſię i pięknieie, od tąd, iak te łzy drogie ſpadły; więc one odmieniły ſwòy kſztałt, więc one ſtały ſię liściem, owocem, kwiatami. - - - Po tych uwagach czyniłem inne podobne nad ziołami i korzeniem, ktòre wyrywałem z ziemi; dochodziłem na iakiby koniec mogły być te nieźliczone ziòłka w gałązki drobne i liścia przybrane.

Wſzyſtkie te badania w prowadziły mię w nieiaki domyſł, że cie-

ciepło słoneczne i wilgoć, co nazwać można ciepłem i wilgocią natury cierpiętliwą, są przyczyną mocy rośnienia, i że też same przyczyny złączone z ciepłem i wilgocią natury, to iest z fermentacyą, (*) są początkiem rodzenia się ciał ożywionych. Są to (powiedzą mi może niektòrzy czytelnicy, co chcą żeby się im ze wszystkiego sprawiać) są to wiadomości za obszerne na Człowieka, ktòry niczego się nie uczył. Natura odkrywa mu nagle taiemnice, ktòreby może ukrywała przed naywiększym Europeyskim Fizykiem, gdyby łącząc do badań swoich, ròwnie mądrych i głembokich, zysk korzystania zbłędów ludzi naysławnieyszych, ktòrzy żyli przed nim

(*) Fermentacya potrzebna także iest do nieiakiego stopnia dla wyprowadzenia roślin, i wszędy się tam znayduie fermentacya, gdzie się znayduie ciepło i wilgoć, ale daleko iey mniey trzeba, dla wydania roślin, aniżeli zwierząt.

nim, niezdarł z natury grubey zasłony, pod ktòrą ona ieszczeby się chciała ukrywać. Są to ludzie, co naturę ustroili w grubą i ciemną oponę. Odkrywa ona swoie łono Człowiekowi prostemu, ktòry chce tylko iey łono widzieć, a niema ani szaleństwa, ani okrucieństwa chcieć szperać w iey wnętrznościach. Słowem mòwiąc i bez ogròdki, znalazłem łatwe Fizyki początki, (*) ponieważ niemiałem immaginacyi i umysłu, ani zepsutych, ani podzielonych; ponieważ niesłyszałem nigdy mówiących, ani o formach istotnych (*formæ substantiales.*) ani o własnościach ukrytych

(*) Łatwo zrozumieć można, że ia tu nie mòwię, tylko o Fizyce iestestw blisko pod zmysły podpadaiących. Człowiek naturalny to tylko uważa, na co nastompi; a przynaymniey nie rozumuie, tylko otym co go otacza. Nadto od krywałem ia te prawdy iedne po drugich, i nie pierwey, aż poznałem rzeczy, ktòre do tego należało wiedzieć.

rych i w myśli od iſtoty rzeczy oddzielonych, (*qualitates occultæ & abſtractæ.*) ani o ſyſtematach żadnych.

Dociekam przyczyny roſy.

Nietrzeba wiedzieć, co to ieſt Syſtema, żeby go ſobie uczynić. Umyſł ſam do tego z ſwoiey natury dąży. Utworzyłem ſobie około tego czaſu iedno, którego nigdy nie zapomnę. Uſnołem raz wieczorem, zwieſiwſzy głowę na pierſi. Obudziwſzy ſię zobaczyłem, że ciało było ukryte wilgocią z pary zuſt moich otwartych wychodzącey. Podobieńſtwo między tą parą y roſą zaſtanowiło moię uwagę. Miałem całą moią wyſpę, za nieiakie wielkie ciało, którego duſzą było to, co, potym dowiedziałem ſię, nazywa ſię naturą. Wpadłem w rozumienie, że te ciało ma głowę i uſta. Wziołem za głowę iego

wielką ſkałę, ktòra w znoſiła ſię z ſrzòd morza wſchodniego, i zdałomi ſię rzeczą bardzo podobną do prawdy, że gdy natura uśnie, iaſkinia tey ſkały, tchnie na ziemię parą, z ktòrey ſię robi wilgoć, i którą ſłońce pociągnąwſzy w gòrę, nocy naſtempuiącey przetworzywſzy w roſę, ſkrapia nią ziemię. Zoſtawało mi ieſzcze do poięcia, iakim ſpoſobem para z uſt moich wychodząca, w rosę ſię przemieniła; niemogłem tey trudności rozwiązać, i wolałem trzymać, że ią także ſłońce pociągnąwſzy w gòrę w roſę przetworzyło, i na mnie ią ſpuściło, aniżeli mego ſyſtema odſtompić.

Znayduię Wywiòrkę zdychaiącą.

Nie mogę pamiętać wyraźnie, tylko pierwſze dni mego nawyſpę przybycia. Jm ſię bardziey w oczach moich przedmioty

ty mnożyły, tym bardziey mieszały się w mey myśli. Nadto byłoby rzeczą całe niepożyteczną, ażebym tym porządkiem odkrycia, i wyobrażenia moie opisywał, iakim się piszą dzieie roczne. Mało się na co przyda wiedzieć, naprzykład, ktòrego to dnia, po moim nowym narodzeniu, po moim przybyciu nawyspę, usłyszałem grzmot raz pierwszy; ale potrzeba wiedzieć, czy przed usłyszeniem, czy po usłyszeniu piorunu, usłyszałem pierwszy raz armatne strzelenie: czy pierwiey nim widział łanią, czy potym zobaczyłem, iak się stało ieleniątko: czy przed, czy po widzeniu trupow zgniłych, napadłem na zwierzęta zdychaiące; i będę się starać nic nie mieszać tego porządku; bo ponieważ òn służył mi do postempku w nabywaniu wyobrażeń i ich z sobą połączenia, tym tylko iedynie, porządnym ich po sobie nastempstwa opisywaniem mogę poka-

kazać, iak te wyobrażenia z różnych przedmiotów we mnie ſię wznieciły, i że tak powiem, iedne drugich urodziły.

Bez żadney trudności przypominam ſobie, tych wyobrażeń naſtempſtwo, ale tak ieſt rzeczą niepotrzebną, iak i niepodobną, żebym mówiąc, iż iedną rzecz widziałem pierwiey, potym drugą, dodawał ieſzcze, rzecz pierwſzą widziałem tego dnia, a drugą w tyle dni potym, ponieważ ia nie piſzę gazety.

Już przepędziłem czas nieiaki wmoim pomieſzkaniu nowym, którem znaydował tak miłe, tak przyiemne, i które takim było w rzeczy ſamey, choćbym go nieporównywał z moią klatką: iuż nabyłem w miarę przedmiotów, w oczy mi wpadaiących, wſzyſtkich wiadomości naturalnych, których przez ſame światło rozumu nabyć można, i te wiadomości ſą doſtateczne ku uſzczęśliwieniu Człowieka. Owſzem

ſzem im ſię więcey ich nabywa, tym ſię bardziey oddala od inſtynktu, ktòremu natura wruczyła ſtaranie prowadzić nas do ſzczęśliwości. Znalazłem tuż *od kamienia snu*, iedną wielką iaſkinię, ktòra mnie z początku zdała ſię być okropną, ale nakoniec przyzwyczaiłem ſię przepędzać w niey nocy, mòwię nocy, ponieważ wednie, gdy mogłem cieſzyć ſię z moim ieſteſtwem, maiąc wyſokie o ſobie rozumienie, gardziłem wſzyſtkiemi granicami, i tylko zakładałem ſobie granicę ziemi i nieba.

Uczyniłem iuż niektòre uwagi nad przyczynami rośnienia drzew i wſzyſtkich krzewòw; uważałem i przypatrowałem ſię, robaczkom wylęgłym z trupow moich rybek. Nieprzyiemne powietrze, które muſiałem ponoſić przychodząc do tego gabinetu naturalnego, gdzie ſię działy ſame przez ſię te cudowne przeiſtoczenia, nadgradzała mi roſkoſz wi-

dze-

dzenia, że się to działo w oczach moich. Byłem nie tylko *Platonem*, *Arystotelesem*, *Montesquieu*; ale razem *Pliniuszem*, *Swammerdamem*, *Rèaumurem*. Widziałem że te robaczki wyszłe z mych zgniłych rybek, robiły sobie małe klateczki, z ktòrych po nieiakim czasie wychodziły opatrzone w skrzydełka, i na powietrze leciały. Otoż mòwiłem, ryby przetwarzaią się w ptaki, i bez wątpienia ptaki znowu się zamieniaią w ryby, albo w inną rzecz iaką.

Jednego dnia gdy przechadzaiąc się czyniłem badania nad cudami, ktòre mnie ze wszystkich stròn otaczały, uyzrzałem wiewiòrkę, niedaleko iednego drzewa na ziemi rościągnioną. Widziałem iuż dawniey ich kilka, iak biegały, i z sobą się bawiły. Brałem ich za małe ielonki, ktòre zamiast gałęzi na głowie, a całe nic ogona, miały ogony długie, a nic gałęzi; podobnie iak małe lataiące robactwo, miałem za

ptasz-

ptaſzki bez pierza. Zbliżyłem ſię po cichu do wiewiórki, rozumieiąc ią być ſpiącą. (choć godzina na ten czas dziewiąta, lub dzieſiąta przed południem, niezdawała mi ſię być porą ſpania.) Zobaczyłem, że ma oczy otwarte, ach! zawołałem otoż ieſt znowu, iak moie rybki, ani ſpi, ani nie ſpi. Pewnie rozſypie ſię i zgnije iak one? to mówiąc wziołem ią w rękę; ruſzyła ſię, iam ſię zląkł i upuścił ią na ziemię. Jeſzcze ſię nie co ruſzała, i obróciła oczy wſpoſob, który we mnie wzbudził politowanie i okropność. Przykląkłem dla przypatrzenia ſię iey: wyciągneła ſię mocno, i ſpòyrzała na mnie tak ſmutno, tak żałośnie, że mi łzy dobyły ſię z z oczów. Zamknęła potym powieki, widziałem, że ſię coraz oczywiście umnieyſzało, a potym zupełnie uſtało oddychanie, które w oſtatnich tych momentach było bardzo żywe i nieuſtanne. Ten widok

dok osłabienia i okrzepłości, napełnił mię smutkiem. Patrzałem na wiewiòrkę i płakałem. Mówiłem ięzykiem moim wnętrznym. Niestety! ona iuż na mnie więcey nie patrzy, iuż się więcey nierusza! cóż się z nią stanie? zniszczeie? czy się obróci w kamień? moie serce nieprzestaie bic tak regularnie, a iey ustało. (*)

Wziołem w ręce te małe zwięrzątko, całowałem go, bom wiedział, że mi iuż szkodzić nie może, pieściłem go, usiłowałem przywròcić do życia ale iuż było po nim, zgasł iuż ogień serca iego.

Za-

(*) Od dzieciństwa mego zawsze miałem upodobanie widzieć iak się serce biie. Zdawało mi się, że czułem, iż to nie tylko iest życia znàkiem, ale też i przyczyną.

Zaczynam czynić ſobie wyobrażenia śmierci i iey ſkutkòw Fizycznych.

Już zaczął zmrok padać, kiedy te ciało martwe nioſłem ſmutno do moiey iaſkini. Nazaiutrz o wſchodzie iutrzeńki znalazłem, że oczy miała blade, a wſzyſtkie członki zimne i ſkościałe. Próżno uſiłowałem ią ogrzać na łonie moim; widziałem oczywiście, że ſię znią ſtanie taż ſama przemiana, co z rybami, a przez uwagę, ktòrą te wyobrażenie koniecznie było ſprawić powinno, zaczołem domyślać ſię, że mimo wyſokości mego początku, ktòry za tym większy miałem, im mnie był mniey wiadomy, i mnie takiż los czeka, alem ſię ia wtey mierze łatwo pocieſzył- - - Eh dobrze, mòwiłem, zamiaſt tego co teraz ieſtem iednym zwierzęciem, będę tyſiącem zwierząt; życie moie zamiaſt zguby rozmnoży ſię. Nadto ieżeli śmierć

ieſt

ieſt złym, a koniecznym i nieuchronnym, trzeba ſię do przyięcia go przygotować. Bez wątpienia ſposob opuſzczenia życia bez żalu, naylepſzy ieſt, nacieſzyć ſię do woli naturą i sobą ſamym . . . Poſtanowiłem z nowym pragnieniem wylać ſię na te dwie roſkoſze tak czyſte i tak doſkonałe. Doſyć było takiego lekarſtwa na okropne śmierci wyobrażenie. Z iak nierównie większą ſtatecznością umyſłu czekam iey od czasu tego, kiedy mam ſzczęście poznania Ciebie mòy Boże! od czasu tego, iak mam ſzczęście mieć nadzieię, że gdy ciała mego części rozſypuiące ſię tworzyć maią robaczki i inne ieſteſtwa materyalne, część mnie naypierwſza, duſza moia, ktòrey ty ieſteś celem, złączy ſię z tobą na zawſze.

Po-

Poznaię, że nauka Aſtronomiy ma niebeśpieczeńſtwa.

Przytrafiło ſię mi iednego wieczora, że nie mogłem zaſnąć tak prędko, iak poſpolicie, a to ztąd pochodziło, iż tego dnia mniey przechadzałem ſię, niż innych.

Wyſzedłem z iaſkini dla oddychania powietrzem chłodnym, aż pókiby mnie do niey ſen nie wezwał. Spòyrzałem na Niebo, uyrzałem wenerę, ale coby ona była, i co by ſię z nią ſtać mogło, to mnie nieſpokoynym czyniło. Czas był pogodny i miły, (lato ſię zbliżało) bawiłem ſię przypatrowaniem ſię tey gwiazdy, po tym drugą, trzecią, daley wiele innych; nakoniec nieznacznie całe Niebo pokazało mi ſię gwiazdami zaſiane. Widok to był nadto dziwny, żeby nie miał w zachwycenie porwać wſzyſtkich moich zmyſłòw i wybić mnie

ze

ze ſnu. Ale pierwſzy tego ſkutek nie był, wpodziwienie mnie wprawić, owſzem przeciwnie boiaźnią mię przeraził. Jak ſkoro widziałem, że nowa gwiazda Niebo przeſzywa, drżałem ze ſtrachu: ſądźże iak wiele razy zadrżeć muſiałem. Kiedy iuż wſzyſtkie widzieć mi ſię dały, rozumiałem że wyniknie nowy porządek rzeczy, że mnie tylko będzie te ſłabe oświecać światło, że ſłońce na nieſkończoną liczbę drobnych części podzielone, będzie po wſzyſtkich mieyſcach oświecać Niebo, które do tego czasu na iednym tylko razem oświecało. Sſczęściem ukazanie ſię Xiężyca przynioſło ſercu memu promień nadziei. Był na ten czas nòw mieſiąca. Wnioſłem że będzie rość co moment aż do iutra, że zbiera w ſiebie iedne po drugiey wſzyſtkie gwiazdy, i tym ſpoſobem ſtanie ſię nowym ſłońcem.

Prze-

Przechadzaiąc ſię przez kilka minut, nie patrzałem na Xiężyca. Obròciwſzy ſię ku niemu, iuż go nie zobaczyłem. Rozumiałem, że ſię ſpuſcił za iedną wielką ſkałę niedaleko odemnie; pobiegłem ſpieſzno zobaczyć, czyliby go tam nie było, aże ſię na drodze moiey znaydowało drzewo, a ia o więkſzych, niżeli te co ſą na ziemi, zamysliłem ſię przedmiotach, nie poſtrzegłem, i mocno o nie uderzyłem ſię głową. Jeſzczem nie przyſzedł do ſiebie z bolu i podziwienia, ktòre mi te uderzenie ſprawiło, kiedy w padłem w dół dość głemboki, gdzie mało było wody, ale wiele błota. Krzyknąłem lecąc w tę przepaść i rozumiał bym był, że umrę, gdyby mi ſię był nie przytrafił wſrzòd dnia podobny przypadek iak opiſałem *na karcie* 58 wyżey. To tylko wynikło z tego nowego upadku, żem ſobie ſtłukł rękę; za nic miałem żem ſię w błocie zwalał. Byłoby to nieſzczęściem dla nie

ktò-

ktòrych ludzi, u ktòrych wiele zależy na tylu fraſzkach, że ich nieſzczęście ſpotyka za kòżdym krokiem; ale człowiek nagi, ktòry ſię myie, iak inſzy myłby ſwe ręce, czego ſię ma obawiać błota?

Zbliżam ſię do iedney ſkały, ktòra mnie przeſtraſza.

Idąc daley, lecz z większą oſtróżnością, ku ſkale, za ktòrą ſpodziewałem ſię znaleść Xiężyca, pomacałem ſię ręką za głowę i poczułem guz wielki. Rozumiałem, że tam wlazł kawałek drzewa, i że ſkòra moia, która zapewnie na przyięcie go otworzyła ſię, natychmiaſt ſię zamkneła. Tey nieſpokoyności nie mogłem ſię pozbyć, aż przy ſwietle dziennym od zdroiowego odbiiającym ſię kryſztału. Odłożyłem te obiaſnienie ſię, ponieważ tak było potrzeba aż do iutra, i ſpieſzyłem ſię przybyć do ſkały. Była to nay-

naywiękſza ze wſzyſtkich, ktòrem widział na potym, przeraziła mię, a ciemności ieſzcze bardziey powiękſzyły moią boiaźń. Miałem iednak odwagę obeyść na około tę ogromną machinę, a nie zobaczywſzy nigdzie Xiężyca, oſądziłem, że ſię znowu w gwiazdy podzielił. Pełen tego ſmutnego wyobrażenia, powracałem do mey iaſkini. O kilka krokòw od ſiebie poſtrzegam ieden loch w tey ſkale, idę do niego w mysli przepędzenia w nim nocy. Niebyłem przyzwyczaiony do ciemney zaſłony, ktòrą ſię cała natura okryła. Drżałem od ſtrachu oſobliwie od kwadranſa godziny: ſtrach mòy powiękſza ſię ſkoro w ten loch wſtempuię; mòwię głuchym i przerywanym głoſem, *dać mu pokoy*, a w tym wiele głoſów, ſmutniey niż ia powtarza razem, *dać mu pokoy, dać mu pokoy*. Gdybym był miał edukacyą, gdybym był wiedział, co to ſą upiory, czary, a przynaymniey złodzieie, zemdlałbym był z przeſtrachu; lecz bez

wąt-

wątpienia wiedziałbym był, co ieſt echo, i możeby mnie to było uſpokoiło.

Powracam do pomieſzkania mego z wielką boiaźnią, niedochodząc przyczyny tego nowego przypadku, i niechcąc przez długi czas powracać do ſkały. Rzucam ſię na ziemię, zaſypiam iak mogę, to ieſt: bardzo nieſpokoynie.

Ranię iedno drzewo: dobywam ognia.

Obudziwſzy ſię ze ſnu, takie miałem pomieſzanie w głowie, tak ſię wyobrażenia moie pogmatwały, że nie mogłem rozpoznawać ſnòw, od tych przypadkòw ktòre ich były przyczyną. Pomacałem ſię za głowę, poczułem że guz z uderzenia ſię o drzewo był nie wątpliwy. Obeyrzałem rękę i zobaczyłem, iż była ſtłuczona, a nawet i z ſkòry otarta. Niewątpiłem iuż że w iaſkini byłem, tylko odpowiedz głoſòw głuchych, ſnem mi ſię być zdała, ale niemiałem

ocho-

ochoty póyść dofwiadczyć," czy to było rzeczą iftotną, czy nie?

Daleko byłem ciekawfzy zobaczyć, co to była ta narośl na moim czole. Obròciłem kroki moie ku ftrumykowi, ktòry między moią iafkinią i *łąką fnu* płynął. Przybywfzy do niego, przeyrzałem fię pierwiey nawet, nim fobie wypłukałem gembę, i nim fię wody napiłem, (*) zobaczyłem na czole moim narość okrągłą, finą. Przykrość i bòl ktòre czułem, podały mi do myśli nowy fpofob zemfty, i natychmiaft ią wykonałem. Biorę wielki kamień i profto idę do mego nieprzyiaciela, to ieft drzewa. Rozpoznałem go między dwóma drzewami, koło niego ftoiącemi; mysląc, że iak drzewo mnie, tak kamień go prze-

(*) Codziennie wymywałem fobie gembę, było to dla mnie zabawką.

chodząc twardością (*) powinno mu prawie tyle złego zrobić, ile drzewo mnie zrobiło. Zadaię mu dwa czy trzy cięfzkie razy, z czego nic więcey nie odnofzę pożytku, tylko że mi ręka zdrętwiała. Niektòre z iego owocòw fpadły na ziemię: biorę ich ieden, tłukę go (**) dla doświadczenia, czy na nim wyrośnie guz iak na moim czole, ale po kilku dniach zobaczyłem rzecz cale przeciwną; czoło fię moie zgoiło, i ftało fię iak było pierwey, a owoc fię popfuł. Poznałem na ten czas, iż zemfta moia większa była nad złe, ktòre poniòfłem, a zatym niefprawiedliwa, i żałowałem tego-

(*) W żadnym kraiu nie widziałem drzewa tego rodzaiu: kwitnie na końcu zimy, i w pòł wiofny wydaie owoce wielkie czerwone, dość twarde, podobne do iabłek.

(**) Łatwo mi było widzieć, że drzewo było dziurkowate, a kamień nie. Jak tylko zaczołem czynić uwagi, zaraz nauczyłem fię tę małą poftrzegać rożnicę.

go. Tenże ſam kamień, ktòrym biłem drzewo i owoc, ſłużył mi po dwu godzinach do innego dwoiakiego użycia. Widząc że był oſtry, użyłem go do roſkroienia w kilku mieyſcach iednego owocu, do naſzego melona podobnego, ale nie tą myslą, żebym mu iaką zadał boleść, tylko żebym doświadczył ròżnicy między zranieniem mey ręki i zranieniem iego. Ręka ſię moia zgoiła, znak nawet ſtłuczenia zniknął; przeciwnie zaś rany melona ſtały ſię głembſze, i widziałem, że z iego rośnieniem powiękſzały ſię. Czoło i ręka moia w kilku ſię dniach zgoiły, ale daleko więcey czaſu potrzeba było, dla doświadczenia ſkutku ran ktòrem melonowi zadał, i czekaiąc tego doświadczenia końca, zrobiłem wielką liczbę innych, ale z nich niektòre tylko wyrażę.

Gdybym piſał dla ludzi naturalnych, nie lękałbym ſię znudzić ich moią rościągłością w tych ba-

gatelnych materyach, bo byłbym pewny, że ſię im podobaią. Ale po większey części, ci dla ktòrych piſzę, nieſzczęściem zowią fraſzkami piękności natury, i nie mogą ſię z niemi bawić długo, ponieważ inne fraſzki, które oni nazywaią intereſsami, całych ich zatrudniaią.

Zaraz po zranieniu melona, poſzedłem zobaczyć wiewiorkę, od którey przez kilka dni ſtroniłem, boiąc ſię żebym iey nie znalazł w takim ſtanie, iak moie rybki małe. Zbliżam ſię do niey z boiaźnią; ieſzcze była cała, zaczołem mieć nadzieię, biorę ią w ręce, chcę ſię dowiedzieć, czy zamiaſt rozſypania ſię i zepſucia iak ryby, nie uſneła może ſnem twardym. Budzę ią, ruſzam, palce moie lgną w iey ciało z ſiniałe, ze wſzyſtkich iey członkòw wychodzi przerazliwe powietrze śmierci, ktòre aż do duſzy mey przenika i ſmutkiem ią napełnia. Zapach ten może ſię podobać na

ſtole

ſtole pańſkim, (*) ale takiego człowieka iak ia, niewypowiedzianie trapi.

Sze-

(*) Nie przeto żebym był odludkiem ani żebym pſuł ludziom przywiązanie do ſpołeczeńſtwa, kładę tę naſtempuiącą uwagę: ieſtem bowiem przekonanym, że po znieſieniu ſpołeczeńſtwa, panowanie zwierząt drapieżnych ſtanie ſię powſzechne; że ludzie ſtawszy ſię łupem zwierząt mocnieyſzych od ſiebie, pożeraią, nim ſami zoſtaną pożarci; zwierzęta, które dla tego tylko ſą ſpokoyne że ſłabſze; że przeto ludzie nie maią w ſobie nieludzkości, i że cała ziemia ieſt tylko obszerną iatką. Jeśliby mi powiedziano, iż ludzie ſą tym wſzyſtkim, com dopiòro wyraził, i ieſzcze czymś okropnieyſzym, ia ſię na to zgodzę, bo to ieſt w ſamey rzeczy prawda. Ale mogę odpowiedzieć, iż naſze złe nie ieſt nieuleczone, a na te złe któreby wynikło z znieſienia ſpołeczności, nie byłoby żadnego lekarſtwa.

Jakimkolwiek ſpoſobem wyprowadzać zechcemy początek ſpołeczności i maiątków, nie ma bogatego domu, ktòryby nie był ſpaiamy łzami i krwią nędzy, a te

łzy

Szedłem od melona do wiewiorki mysląc, coby się mogło stać z ranami melona, z stłuczeniem drzewa i owocu, z otarciem mey ręki i z guzem czoła, tudzież z snem wiewiorki. Łatwo poznać można, iż tak ważnemi zaprzątniony myslami, mogłem zapomnieć, że trzymałem w ręce kamień: iakoż w rzeczy samey o tym zapomniałem; a te roztargnienie (*) trwało ieszcze, kiedy sprzykrzywszy sobie odrażaiące powietrze wiewiorki, upuściłem ią na ziemię. Skóra się iey

---

łzy, ta krew są czarami, które sprawuią, że mieszkaiący w takich domach, przyzwyczaiaią się do widoku nieszczęśliwych bez czucia litości nad ich stanem, a w odrazie trupòw, nie znayduią tylko przyiemny zapach zwierzyny.

(*) Wpadałam często w mey klatce w rostargnienia, że nie miałem tyle wyobrażeń, żebym się był mògł niemi nieustannie bawić. Potym wpadałem często w rostargnienia, dla tego, że miałem wyobrażeń zbyt wiele.

iey rozpękła, wnętrzności z niey wyszły. Na taki widok odpadła mi chęć dociekania i dochodzenia wiadomości. Naypierwsze moie poruszenie było odwròcić się i uciekać, ale nie szemrząc na naturę, gdyż codzień przez nowe coraz odkrycia doświadczałem, że gdym ią o iaki błąd oskarżył, zawsze przez niewiadomość moią, stawałem się iey bluźniercą. Przeto krzyk duszy moiey, nie był krzykiem buntu i złości, ale boleści i goryczy. Podniosłem ręce moie ku Niebu, iakby się go pytaiąc, czy i mnie takiż los czekał, i dla czego się to tak działo? Niebo było głuche na mòy głos: wylałem łez potok.

Trzymałem zawsze mòy kamień; postrzegłem się nakoniec i rzuciłem go, bez złości iednak, silnie o drugi kamień. Uderzenie się wydało kilka iskr, więcey nie trzeba było dla rozerwania mych smutnych myśli. Chciałem powtòrzyć te tak zabawne doświadczenie: spra-

ſprawiło tenże ſam ſkutek, i tak mi ſię podobało, żem go więcey ſtu razy powtòrzył raz poraz. Na koniec niektòre iſkry chwyciły ſię ſuchych liści; zobaczyłem, że ſię te liścia kurzyły i paliły, co mnie nabawiło boiaźni, uſzanowania i podziwienia. Patrzałem długo wlepiwſzy oczy; poznawałem że ten cud ſprawiły iſkry wybite z kamienia, ale iak ſię to wſzyſtko ſtać mogło? i co ztąd potym miało wyniknąć? miałemże te odkrycia poczytać ſobie za ſzczęście, czy za nieſzczęście? O iakże tu wiele niepewności!

Tym czaſem ſię paliły liścia, ktòrem ia zgartywał, bo widziałem, że ſię te paliły lepiey, ktòrych było wiele w kupie. Poſtrzegłem także, iż ſię lepiey zaymowały ze ſtrony, z ktòrey wiatr powiewał. Zbliżam ſię dla dmuchania, i czuię przyiemne ciepło, ktòre mnie zadziwia i zachęca do kończenia mego dzieła. Dmucham;

mały

mały błękitny płomyk błyſka podmoiemi uſty, i w tymże ſamym momencie, wſzyſtko ſię zapala. Oſądź ieśli możeſz, iak wielki mnie ſtrach ogarnoł --- ale ten nie trwał, iak tylko iedną chwilę. Widok ognia bez gwałtowności, ieſt bardziey piękny, aniżeli ſtraſzny. Powracam do tego ognia, który roznieciłem, a powracam tym ſpieſzniey, że płomień pożarłſzy w momencie tę trochę liści, ktòrych nazgartywałem, zaczął gasnąć, co ia za naywiękſze dla ſiebie nieſzczęście poczytywałem. Pośpieſzyłem ſię dodać mu nowych pokarmòw, to ieſt nowych liści, między ktòremi drobne gałązki znaydowały ſię: zobaczyłem że ſię i te palą tak iak liście i dłużey utrzymuią ogień. Nakładłem gałęzi więkſzych, i miałem z nich płomień, żar i ciepło.

Niewiadomość czyni człowieka śmiałym: chciałem ſię bawić głòwniami i ſparzyłem ſobie rękę.

W tym

W tym ſamym czaſie, kiedy z tak wielką ſzkodą moią dowiedziałem ſię o iednym ognia ſkutku, dowiedziałem ſię także, że zoſtawſzy ranionym, trzeba okryć i ochronić od przypadków część ranioną.

Jedna uwaga bardzo łatwa, bardzo proſta, a zatym bardzo dobra ukazała mi lekarſtwo nierównie lepſze, niż recepty nayuczeńſzych Doktorów. Sądziłem, że zimno ieſt lekarſtwem przeciw gorącu. Poſzedłem do bliſkiego zdroiu i włożywſzy rękę w wodę, trzymałem ią przez czas doſyć znaczny. Potym obwinołem ią w liſtek gładki i świeży, (*) podobny prawie do cwikły. Położyłem takiż na

(*) Bawiłem ſię kamieniami oſtremi zdzieraiąc z drzew korę, pod którą znaydowałem łyka cienkie, ale dosyć mocne, które mogły mi ſłużyć do tegoż użycia, co moie podwiązki i inne ſznurki, to ieſt: do wiązania wſzyſtkiego co miſię podobało. Temi to naturalnemi wſtążkami bwiązałem liście na czole i na ręce.

na czole, co mi wielką ſprawiło ulgę.

Jeſzcze nie upłyneły dwie godziny od czaſu, iak pierwſzy raz zobaczyłem płomień; nie było ieſzcze godziny, kiedy ſię ſparzywſzy uczułem ieden z iego ſkutków a iuż przyzwyzaiłem ſię do tylu ziednoczonych cudów. Tak to ieſt prawda, że ſię przyzwyczaić można do wſzyſtkiego.

Czynię uwagi nad naturą i ſkutkami ognia.

Gdy podziwienie moie nieco uſtało, a ból ſię uśmierzył, chęć i potrzeba rozumowania znowu wzieły mieyſce w mey duſzy, które w niey poſiadały.

Cóż to ieſt ten ogień? zkąd on pochodzi? dla czego pali wſzyſtko, czego ſię tylo chwyci? Filozof miałby trudność w rozwiązaniu tych badań, a ia żadney nie miałem. Mógłbym ieſzcze inne ſobie zadać pytanie, które Filozof rozumie że do niego należy, a po-

a podobno do niego nikt niema prawa. Mógłbym ſię zapytać, iak ogień moc ſwoią wywiera na ciałach? Ale te wſzyſtkie *iak* zawſze mi ſię zdawały nie zrozumiane i niepożyteczne; nigdym ich nie dochodził. Còż ieſt ogień - - - ogień? ieſt to, iakiekolwiek bądź ieſt, ieſteſtwo mocno żarłoczne, które pożera inne ieſteſtwa, karmi ſię ich zniſzczeniem, i niſzcząc ie, ſamo umiera. Zkąd on pochodzi? oh co nadto nic nie ma proſtſzego. Nie może z kąd inąd pochodzić iak od ſłońca. Słońce które codzień przechodzi po nad moią wyſpą, i kòżdey nocy połowę idzie przez morze zachodnie, a drugą połowę przez morze wſchodnie, dla tego iedynie żeby zawſze nad wyſpą moią bieg ſwóy odprawowało; ſłowem iednym, ſłońce które ſzczegulnie ieſt dla wyſpy moiey, udziela bez wątpienia ognia ſwego kamieniom i wſzyſtkim in-

nym

nym ciałom, (*) a podobno i we mnie utrzymuie ciepło, ktòrym żyię.

Cóżkolwiek bądź, dosyć że się on znayduie w kamieniach, i tak się prawie w nich znayduie, iak owoc na drzewach, potrzeba strząsnąć drzewo, dla spadnienia owocu; potrzeba uderzyć kamień dla wydobycia z niego ognia.

Dla czego ogień pożera ciała, których się chwyta? dla tego, że pochodzi od słońca, że iest iego udziałem. Słońce iest małą kulą ognistą, ktòra na mnie, i to wszystko co mnie otacza, pogląda z daleka, i z tey przyczyny nie paląc nas ogrzewa. (**) Prze-

---

(*) Nie wymieniam tego, że ciskałem kamienie w wodę, na drzewa, na gałęzie, i że gałęzie także biłem iedne o drugie, probuiąc czy z nich nie wyidzie ogień. Potrzeba zbyt mało " znać charakter naturalnego człowieka żywy i ciekawy, żeby się tego wszytkiego nie domyślеć.

(**) Czym się utrzymuie ogień słońca? nic z tego na ów czas niewiedziałem i teraz niewiem.

Przeciwnie ogień ieſt ſłońcem większym kiedy ma więcey, mnieyſzym kiedy mniey ma pokarmu; a niezoſtaiąc w gòrze ale na dole, nie może daleko rozprzeſtrzeniać ani ſwego ſwiatła, ani ciepła; ale to co ma bliſko ſiebie, mocno oſwieca i pali.

Nie przerywaiąc mądrych mych badań nad początkiem ognia, ſzedłem dla utrzymania go ſzukać drewek. Ządać by potrzeba, żeby głemboko myslący Filozofowie, brali mnie za wzòr w tey mierze. Uważałem, nie maiąc iuż oczym wyſoko myslеć, że ſzczęściem nie rzuciłem kamienia na brzegu laſu nie daleko odemnie odległego, ponieważ ten ogień pierwſzy raz odemnie widziany, ſprawiłby był pożar, i iaki pożar! Drżę z boiaźni, pomysliwſzy o tym. Las ten rozciągał ſię z iednego końca do drugiego mey wyſpy. Ale aczkolwiek ſtrata laſu byłaby wielka, dla człowieka, ktòry zna powaby puſtyni i cienia, zda-

zdawała by się iednak zbyt małą w porównaniu z nieszczęściem, którego obawiać mi się należało z takowego pożaru. W głembi lasu tego było ubogie schronienie, albo raczey wspaniała Swiątynia. Chciałbym w tym mieyscu opisać naypięknieyszą część Historyi moiey, ale porządek przypadków tego nie dozwala, więc spieszno przebiegnę te, co mi się pierwey przytrafiły: już ich nie wiele zostaie.

Odkrywam nową własność ognia.

Był to dla mnie dzień roskoszy, ten dzień którego wynalazłem sztukę dobywania ognia nie myśląc otym, sztukę, którey cudu i pożytku nie można należycie poznawać, chyba kiedy się zaczyna rok piętnasty i to po wynalezieniu iey przez siebie samego.

Byłem dowcipnym i przemyslnym: natura iest matką przemysłu, a potrzeba Oycem. Prócz do-

doſwiadczenia ciepła ognia, ktòrego takim ſpoſobem doznałem, iż nie mogłem go zapomnieć, czyniłem doſwiadczenia inne, z ktòrych nayprzyiemnieyſzym, a zatym naypięknieyſzym było użycie go do pieczenia korzeni. Jeden z nich zaczepił ſię między gałęziami, ktòrem kładł na ogień. Widziałem że z niego wychodziła woda i para. Widziałem że ſkòrka na nim czerniała i marſzczyła ſię, a iednak nie palił ſię tak iak drzewo. Wygarnołem go iednym małym kiikiem hakowatym, alem ſię go ſtrzegł dotknąć zaraz po wyciągnieniu z ognia. Wſzyſtko co z ognia wychodziło miałem w podeyrzeniu; ale doſyć miałem rozumu dla pojęcia, że gdy uſtaie ſkutek, uſtaie i przyczyna, i że ten korzeń będąc daleko od ognia, powoli oſtygnie.

Czekałem przez iaki kwadrans, a zobaczywſzy żeiuż nie paruie, dotknołem ſię go zwolna; iuż tylko

takie

takie miał ciepło, ktòre mi ukontentowanie ſprawowało. Naylepſze rzeczy nie ſą zewſzech miar dobre, a przynaymniey nie mogą być zupełnie dobremi, chiba za nieiaką pomocą ſztuki. Ròżne inne doświadczenia nauczyły mnie tey prawdy, a upieczony korzeń potwierdził ią. Poznawſzy, że był ztych ktòrem iadał, włożyłem go w uſta, a że był goretſzy wewnątrz niż z wierzchu, ſparzył mi podniebienie. Rzuciłem go na ziemię, zadziwiony, i nieiakim gatunkiem zdrady, ktòrą mi uczynił, i nieſzczęśliwym natenczas czuciem, ktòrego doznałem wpodniebieniu podobnie jak na ręce. Zuię ſmak pozoſtały w uſtach; dla goryczy i popiołu ktòry ſię w zembach rościerał, przenoſzę korzenia ſurowe nad pieczone. Poſtrzegam że ręce moie były zczerniałe i ſokiem zwalane, to druga była pobudka przenoſzenia korzeni ſurowych. Jednakowo uważam przez nieiaki

moment, że pieczone korzenie ſą miękſze. Zdaie mi ſię iak bym między goryczą czuł iakiś ſok delikatny iakiegom ieſzcze w niczym niekoſztował. Zaczynam znowu rozważać moie zdanie, na ktòrym zbyt porywczo poległem, radzę ſię mych uſt i ięzyka. Te zdaią ſię iakby namyślać zbliżaiąc ſię i dotykaiąc ſię. Kreſka ich wypada na ſtronę korzeni pieczonych. Biorę go znowu, łamię, i czuię, że iuż nie ieſt gorący; koſztuię go powtòrnie, i poznaię oczywiście, że tylko ſkórka iego gorżka i w popiele zwalana. Odzieram ią, i znayduię w reſzcie korzenia wyborną potrawę.

Gdy zobaczyłem wzniecaiący ſię ogień, zawołałem z poruſzenia, ktòrego tylko na widok wielkich przypadkòw doznawałem, *dać mu kokoy*. Też ſame powtórzyłem ſłowa ſkoſztowawſzy potrawy, ktòrey przyprawę ſam tylko ogień ſporządził. Powracam do niego, i znayduię oſła-

bio-

biony i prawie wygasły. Zgartuię głownie, rozniecam ie, i widząc państwo moie powiększone iednym żywiołem, pełen radości, tupam, skaczę, śpiewam, czynię to co na świecie zowią głupstwem, a w oczach natury osobliwszą iest mądrością.

Pomyśliwszy nieco o sposobach zapobieżenia, aby się korzenie nie przypalały, znayduię ieden bardzo dowcipny, to iest zagrzebywać ie w popiele. Dziwuię się sam swoim dziełom, czynię sobie obfite pochwały, i prawie zapominam, że wynalazek ognia przypadkowim winien.

Noc nastempowała, iuż przynaymniey siodma lub ósma była godzina kiedym się grzał, i czasami dla zabawy rozumowałem. Czas prędko upływa na wyspie bezludney, kiedy kto nie ma tyle dowcipu, że sobie sam wynayduie tęsknotę.

Przypatrywałem się moiemu dymowi, moiemu płomieniowi,

moim głòwniom. (gdyż mogłem powiedzieć, iż to wſzyſtko do mnie należało) Przypatrowałem ſię także małym górkom popiołu, pod ktòrym korzenie zagrzebałem. Były to dla mnie niby wulkany, z ktòrych wybuchaiąc para niewypowiedzianie mię bawiła. Tym ſpoſobem poznawałem ſkutki powietrza, ale daleko było od tego, żebym mògł był ich przyczynę zgadnąć. Temu ſię wſzyſtkiemu przypatruiąc uſnołem, i tak twardo, iż nie obudziłem ſię aż za wſchodem iutrzeńki. Smutne było moie przebudzenie ſię ze ſnu: niezobaczyłem więcey naymnieyſzego podobieńſtwa ognia na tym mieyſcu, gdziem go był przed ſpaniem tak piękny rozniecił. Szperałem w popiołach, ale ſię kòżdy łatwo domyśla, żem to robił kiiem, bo choć niewiedziałem iak Horacy, (*) że popioły ſą zdradliwe, iednak miałem oſtròżność. Znalazłem

(*) *Ignes ſuppoſitos cineri doloſo.*

złem ogień--- Staw ſobie w myśli nikczemnego Poetę, wielkiego ſwych piſm czciciela, ktòry od godziny ſzuka w ſwey tece wybornego Madrygału i poſtrzega go pod nogami ſwoiemi.

W zbytku mey radości wypadło mi z uſt dwoie lub troie *dać mu pokoy*. Miałem ieſzcze drewka ktòrych nazbierałem z wieczora dla utrzymania ognia przez noc. Łamię ie, układam, rozniecam. Do tego czaſu nie przyſzło mi przypomnieć zagrzebanych w popiele korzeni, aż dopiero w tenczas ich ſobie przypomniałem. Dobywam ich z pod popiołu, zdeymuię ſkòrkę, ktòra poſłuſzna ieſt mym palcom. Znayduię że ſą miękſze, lepiey upieczone i ſmacznieyſze niż wczora. Otoż dla mnie nowy zdròy niewinnych roſkoſzy ---

Nieſzczęśliwy *Kolumbie*! ſmutna loſu i wałòw morſkich ofiaro, ty z niebeſpieczeńſtwem życia twego czyniſz odkrycie, którego ſkut-

ſkutkiem będzie, że ſię czwarta część ziemi zaleie krwią ſwych mieſzkańców, a zbytek i zbrodnie nad śmierć gorſze, (*) rozeydą ſię w inne trzy części. Bodaybyś nigdy nieżył, prócz tylko na moiey wyſpie! bodaybyś nigdy innego nie uczynił odkrycia, prócz moich!

Nie powiem z iaką troſkliwością zawſze mòy ogień utrzymywałem, popioł ieśli zawadzał wygartywałem, i iak wiele drew co wieczor kładłem, ażeby nie wygaſł nim ſię obudzę. Lubiłem korzenia pieczone, lubiłem ciepło podobne ſłonecznemu, nim weſzło, albo gdy zaſzło. (**) Nadto ogień zdawał mi ſię (iak ieſt wrzeczy ſamey) wielkim cudem. Trzebaż pobudek większych nad te

(*) *Peius letho flagitium.*

(**) W pierwszych zaraz dniach poſtrzegłem, że im bliżey ognia, i im dłużey ſię grzałem, tym tkliwſzy byłem na zimno. Wyſtrzegałem ſię tego napotym: grzałem ſię mało, a wiele biegałem.

te Człowiekowi, ktòry niema co-robić, tylko co mu ſię podoba, i ktòry nigdy ani widział, ani mògł ſobie wymysleć nic, co nie warte ieſt bawić Człowieka?

Przypominaiąc ſobie troſkliwość, z ktòrą uſiłowałem zachować ogień, iak właſne moie życie, przypominam mysl iedną, ktòra mi przyſzła, kiedy iuż znaydowałem ſię w ſpołeczności. Pewny Starzec, o ktòrym w kròtce powiem, uczył mnie i przywodził naypięknieyſze kawałki z Hiſtoryi. Mówił zemną raz o Kapłankach *Weſty*. Mòwił mi, iaki był ich urząd, i że *Weſta* nie miała tylko Kapłanki. ,, Dobrze zawołałem, czyż nie pamiętaſz, ,, com ci roſpowiadał o ſpoſobie, iakim ſam żyłem na tey ,, wyſpie, i iak utrzymowałem ,, ogień nieuſtanny? Oh tak ,, ieſt bez wątpienia, byłem Kapłanem Weſty nie wiedząc ,, o tym, i bardziey ieſzcze ,, przez panieńſtwo, niż przez ,, utrzy-

„ utrzymowanie ognia nieustan-
„ nego.

Znayduię łanię, ktòrą iuż widziałem, ale w inszym stanie.

Od trzech lub czterech dni zostawałem przy ogniu moim, a przynaymniey nie oddalałem się od niego, ani chętnie, ani na czas długi. Ale zabespieczony, że może trwać przez godzin ośm bez przykładania drewek, iak doświadczyłem pierwszey nocy, zostawowałem go kiedy niekiedy przez część dnia, a czasem od rana aż do wieczora.

Chodziłem często do iednego lasku (*) gdzie prawie zawsze zna-

(*) Dowiedzą się czytelnicy o początku mey historyi w dalszym tego dzieła przeciągu. Wyspę małą bezludną, na ktòrą aż w pietnastym roku byłem zawieziony, przygotowywano dla mnie zaraz od narodzenia mego. Polowano na niey co rok i wygubiono wszystkie zwierzęta szkodliwe. Wycięto nawet wiele drzew starych, a na nich mieysce zasadzano młodych.

znachodziłem ielenia i łanią, ktòre pròżno dogonić usiłowałem: zawsze odemnie uciekali. Łania od kilku tygodni daleko bardziey zgrubiała. Biegąc za nią dogoniłem ią nakoniec, w nayszczęsliwszym dla mnie momencie. Kładzie się i wyciąga pod iednym drzewem: krzyczy smutno, i widać że cierpi bole. Wychodzi z niey z trudnością, wprzód głową, zwierze ze wszystkim do niey podobne, tylko co daleko od niey mnieysze.

Nieśmiałem ani się cofnąć, ani tchnąć: uroniłem kilka łez roskosznych, ktòrych czułem przyczynę chociaż iey nie rozpoznawałem; ale czucie ktòregom z tey przyczyny doznawał, nie przeto było mniey żywe. Rozumowanie i pamięć, tylko by w tey okoliczności sprawiły mi były rostargnienie. Oh! iak często poznanie rozumu szkodzi szczęśliwości serca!

Patrzałem na małego iełonka z niewypowiedzianą radością, widziałem iak rodząca się dusza iego otwierała się na roskosze iestności. Probuie wszystkich swych członków iednego po drugim, a poymuiąc ich użycie, serce mu z radości skacze. Wyciąga swe nogi, i za pierwszym ruszeniem się, wspiera się na kolanach, za drugim staie na nogach. Uderza powietrze boiazliwym ieszcze i słabym wierzgnieniem, strząsa z lekka głową, zdaie się iakby chciał dociekać nowego żywiołu w ktòrym mieszka, i kontent że mu się udaią iego usilności; krąży naokoło swey matki, patrzy na nią, cieszy ią po boleściach dla siebie podiętych, i dziękuie iey za nieoszacowany dar życia. Przychodzi potym, i położywszy się przy niey ssie z iey piersi pokarm życia, a ona obròciwszy łagodnie ku niemu głowę, patrzy nań wzrokiem pełnym miłości i upodobania

nia, widzi że to ieſt owoc iey miłości, widzi że to ona druga.

Przepędziłem dwie lub trzy godziny, przypatruiąc ſię z podziwieniem łani i ielonkowi. Dwie lub trzy godziny prędko upływaią, kiedy ſię mało rozumuie a czuie ſię wiele. (*) Uczyniłem na òw czas niektòre uwagi nad tym, com dopiero widział. Jedno zwierze wydaie drugie. Może być, że to wſzyſtko co mnie otacza, dawno iuż zoſtaie czekaiąc na mnie. Co ieśli tak ieſt, i ieśli kòżde zwierze wydaie tym ſposobem inne ſobie podobne, muſi ich być pełna wyſpa moia, albo przy-

(*) Mògłbym ieſzcze przydać, i kiedy ſię nic nie robi: ale należałoby mi przydać znowu. i kiedy ſię nie wie, co to ieſt rzecz iaką robić, bo to wiedząc, koniecznie trzeba robotą rzeczy iaką zabawiać ſię, albo być nieſzczęśliwym, choćby to nie było, iak tylko dla pozbawienia ſię ukontentowania z tąd, że ſię pracowało, że ſię rzecz iaką zrobiło, albo ſię iey inny kſztałt dało.

przynaymniey wkròtce fię niemi napełni tak dalece, że nie znaydą czym żyć, i ia fam przymufzony zoftanę umrzeć zgłodu, gdy one wfzyftko pozrzą. Ale może iedno zwierze wydawfzy na swiat drugie, przeftaie żyć, i rozfypuie fię iak moia wiewiòrka i rybki: Ten oftatni domyfł acz mnie ufpokaiał, nabawiał iednak fmutku. Wyobrażenie fmierci zawfze ieft fmutne, (*) przynaymniey, ieśli niebędzie ofłodzone nadzieią, że fię żyć będzie potym, a żyć wiecznie (gdyż my niechcemy puł fzczęścia) Owoż widziałem

(*) Zdawało mi fię, że z pomiędzy wszyftkich zwierząt, ieden człowiek ieft, ktòry poymuie, co to ieft śmierć i zepsucie, i ktòry to fobie żywo wyobraża w myśli. Można z tąd wyprowadzić dowod na ftronę nieśmiertelności dufzy. Bòg byłby niefprawiedliwy, gdyby nam te opłakane dawszy przewidywanie, razem niewlał w ferca nafze dla nafzey pociechi, nadziei i nawet pewności, żeśmy nie

łem zbliſka zepſucie, widziałem ſmierć oczywiście, a niemiałem innego mey nieśmiertelności dowodu, prócz mego pragnienia być nieśmiertelnym. Prawda ieſt, że nie miałem żadney pewności, iż potrzeba mi było zoſtać równie iak innym zwierzętom łupem ſmierci. Co zdaie ſię, że mnie zaſpokoić było powinno, ale też ſame iakieś przeſwiadczenie wewnętrzne, które mi obiecywało nieśmiertelność, zdawało ſię zapowiadać także, iż nie należało mi co do części zmyſłowey ieſteſtwa mego, ſpodziewać ſię końca pięknieyſzego, nad koniec zwierząt. Za temi

nieśmiertelnemi. Wſzyſtkie części ciała ſkładaiące zwierze rozdaią ſię i rozdzielaią na zwierzęta inne; gdy więc te żyć przeſtaie i rozſypuie ſię, żyie w nich iak inne w nim żyły. Cóżby było z człowiekiem, który ma pragnienia tak obszerne, duſzę tak wielką, gdyby taką tylko pociechę ſłabą przewidywał dla ſiebie, aby ſię nią wcześnie cieſzył w nieſzczęściu, i że go kiedyś nie będzie!

mi uwagami naſtompiło wiele innych, które niektórym czytelnikom ſame domyśli przyidą, tych by zaś znudziły, co ſię ich domyślić niepotrafią. Poſtanowiłem u ſiebie dochodzić, czyli to dawſzy życie podobnemu ſobie, zwierze umiera? dla zapewnienia ſię w tey mierze, chodziłem co dzień odwiedzać łanią, i co dzień z nayWiękſzym moim ukontentowaniem znaydowałem ią bawiącą ſię mile karmieniem ſwego ielonka; nigdy ſię bowiem do iey ſchronienia nie zbliżałem, bez boiaźni znalezienia ią umarłą. Doświadczenie od kilku tygodni przezemnie powtarzane, powinno mnie było uleczyć od tey boiaźni, ale zaczołem nad to wiele rozumować, a zatym powinienem był czaſem błądzić. (*)

Być

(*) Ludzie podług temperamentu, charakteru, a mianowicie podług odebraney edukacyi; albo wyſtawuią ſobie przyſzłość

Być może mòwiłem, że ta biedna łania, aż wten czas dopioro umrze, kiedy iey życie niebędzie dla iey ielonka potrzebne. Wten czas zapewnie umrze, i ia także może w kròtce zobaczę drugiego *mnie* z wnętrzności moich, tego *mnie*, ktòrego tak gorąco pragnę, i któregobym ſerdecznie kochał; a może ſkoro zacznę

łość tak ſzczęśliwą, iż nigdy iey takiey, iakiey ſię ſpodziewaią, mieć nie mogą; albo ubiegaią ſię za ſzczęściem przywidzianym, a częſto zwodniczym, ſprawuią przez to ſobie nieſzczęścia iſtotne; albo nie widzą w przyſzłości, tylko ſame utrapienia, ktòrych unikaią czasem, ale oczekiwanie ich, ſtaie ſię im udręczeniem okrutnym; albo nakoniec nie ſtaraią ſię zdiąć z przyszłości tey ſtraſzney i Swiętey zaſłony, ktòrą ią Bóg zakrył. Ktòrzy ſię tak ſprawuią, ſą naymędrſzemi i nayſzczęśliwszemi. Ci oſtatni, trzeba na to dobrze mieć uwagę, ſą to ci, ktòrzy albo ſą tak roſtropni, że nieclicą, albo tak ſzczęśliwi, że nie mogą wiele rozumować. Są to, iak ich nazywaią, proſte duſze.

cznę mieć radość widzenia go, zamknę oczy moie na zawſze.

Czyniąc z geſtami i wyrazami ſmùtku tę mowę bezſłòwną, (*) ſpòyrzałem nieſpokoynie po wſzyſtkich częściach ciała mego. Zdałomi ſię, że mòy brzuch był grubſzy, niż zwyczaynie, iakoż tak było wrzeczy ſamey, bo dopioro ziadłem wiele pieczonych korzeni; to mnie przeſtraſzyło. Sądziłem ſię być w takim ſtanie, w iakim widziałem łanię przed narodzeniem ielonka. Czułem że we mnie ſerce biło; to była nowa nieſpokoyność, bicia iego zdawały mi ſię żywſze i częſtſze niż zwyczaynie; rozumiałem, że ſię to zapewnie drugie ſerce w ſercu moim tworzy --- Więcey iak przez godzinę zanurzony zoſta-

wa-

(*) Trzeba pamiętać, że ieſzcze ſam zoſtawałem, że ieſzcze nie mòwiłem tylko ięzykiem wnętrznym, ięzykiem duſznym, ktòry nie może być zrozumianym iak tylko od tego, co ſam z ſobą rozmawia.

wałem w tych błędnych myślach; ale zaczołem potym w gruntownych uwagach szukać sposobòw na uspokoienie mego smutku.

Niebyłem pewny że łania powinna wkròtce umrzeć po urodzeniu swego ielonka, a ieszcze mniey miałem dowodu moiey mniemaney cięży, głos zaś wnętrzny dosyć mi wyraźnie mówił, że podobne do mnie iesteſtwo, ktòrego towarzystwo zdawało się być tak potrzebnym do mego uszczęśliwienia, niepowinno pochodzić ze mnie, ale potrzeba żebym go znalazł iuż gotowe, iak ieleń łanią.

Oswaiam łanią i ielonka.

Sprzykrzywszy sobie te domysły, ktòre niemogły mnie czynić tylko nieszczęśliwym; ponieważ potrzeba było czekać skutku, dla doświadczenia, czy są prawdziwe, czy nie, wyrzekłém się ich;

 a dla

a dla rozrywki bawiąc ſię tym, co podobno w roſkoſzach zmyſłowych ieſt nayprzyiemnieyſzym, przedſięwziołem, ieśliby można ogłaſkać łanią i ielonka i żyć w towarzyſtwie z niemi.

Przynaymniey byłem pewny, że ſię do nich zbliżyć mogę. Jelonek ieſzcze niebył zbyt dziki, a matka zwierzęcia nadto ieſt do niego przywiązana, żeby go miała opuſzczać, nie będąc przymuſzoną. A tak iednego nielękliwość, drugiego miłość, zapewniały mi przyſtemp do obòyga. Zpoczątku ſzedłem z wielką oſtróżnością, żeby nie uciekły. W pierwſzych dniach niechciałem przynoſić ziòł, tylko do pewney odległości od łani, ale codzień przyſtempowałem kilka kroków bliżey; nakoniec przyzwyczaiła ſię do widzenia mnie, zaczeła dopuſzczać mi przychodzić prawie aż do ſiebie, nie lękaiąc ſię bynaymniey. Wkrótce miałem ſzczęście głaſkać i pieścić ielonka, kiedy

on

òn ią fsał, mòwię fzczęście, i żałuię tych co nie czuią, że to fzczęściem dla mnie było. Nad to niech fobie kòżdy przypomni, że miałem lat piętnaście, a ieszcze i razu nie mogłem dotknąć fię ożywionego ciała prócz mego. (*) W nieiaki czas po ielonku i matka przyiela odemnie głafkania, nawet pokazuiąc fię być z nich kontentą. Była ieszcze młodą i nigdy nie ftrafzoną i nie gonioną, tak dalece, że miała ieszcze tę fzczerość, te zaufanie wrodzone, którego zwierzęta nie drapieżne nie tracą, chyba tyle, ile fię widzą być wyftawionemi na niebefpieczeńftwa. Jeżeli nieco dawniey odemnie uciekała, to dla tego, że ią, że tak rzekę, do tego przyciągał ieleń, który był ftary, i którego podobno doświadczenie boiaźliwym uczyniło, a naybardziey

(*) Nie potrzeba leczyć umieraiącey wiewiòrki, ta mi fprawiła więcey boiaźni aniżeli ukontentowania.

dziey, dla tego, że chciała ochraniać od cienia nawet niebeſpieczęſtwa owoc ſwych miłości; a dla teyże ſamey przyczyny, dla ktòrey pierwiey uciekała, powinna była na ten czas dzielić razem z ſwym ielonkiem niebeſpieczeńſtwo ſwego zbliżenia ſię. Wzywała mię przez ſwoie ſpòyrzenia, żebym nie użył na złe iey ſłabości a moiey ſiły, żebym nie gwałcił praw natury i ludzkości. Zdawała ſię mòwić do mnie, „ Ty ieſteś dziką beſtyą, możeſz tak
„ żyć iak ia ziołami; byłżebyś
„ tak okrutny, żebyś nad ten
„ przyiemny i niewinny pokarm,
„ przenoſił ucztę tyrańſką, na
„ którey byś rozdzierał krwawe
„ członki zwierzęcia ſpokoyne-
„ go, na dyſkrecią twoią zoſta-
„ wionego, które nigdy ci nic
„ złego nieuczyniło, i ktòreć pro-
„ ſi o łaſkę! Spòyrzenia moie od-
„ powiadały iey i zaſpokaiały ią.
W krótce towarzyſtwo naſze ſtało ſię ściſłe i roſkoſzne; nie trzeba

ba ſię temu dziwować. Utworzyliśmy i utrzymywali w milczeniu, a żaden go interes nie rozłączał, ſama nas tylko wiązała roſkoſz, ktòrey ſerca naſze w wzaiemnym ſobie powierzaniu ſię doznawały. Jelonek ròſł, igraliśmy z ſobą razem.

Uważałem pierwſzych dni, że nie iadał ziòł, ale zdawał mi ſię karmić ciałem ſwey matki, na co mi przykro było patrzeć. Przypatrzyłem ſię bliżey, zobaczyłem że on tylko ſsał pierſi ſwey matki. Niewątpiłem, że co łania iadła, przekſztalciwſzy ſię wniey, ſtawało ſię pokarmem przyzwoitym ielonkowi. Czego zaś poiąć nie mogłem, było to, że gdy kilka kropel ſpadło na iego uſta, uyrzałem, iż òn ſsał napòy piękny biały, zamiaſt nieiakiey ſiekanki z ziela grubo zżutey, co ia rozumiałem, że on to tylko mògł wyciągać z pierſi łani.

Tyle cudòw porywały mnie do ſzukania wyżey mnie, wyżey nie-

ba Wielkiego Jeſteſtwa, ktòrego przytomność wſzędy być ſądziłem, niewidząc go wyraźnie nażadnym mieyſcu.

Bytność moia zdała ſię być pomnożoną; naywyżſza część mey duſzy była napełniona temi wyſokiemi wyobrażeniami, a druga część, ta co ieſt bliżſza zmyſłòw, cieſzyła ſię pięknością natury i używała roſkoſzy niewinnego towarzyſtwa, ktòrem dopiero zawarł. Ogien odemnie zawſze utrzymowany, przykładał ſię także do mey ſzczęśliwości.

Nie znałem innego ognia pròcz ſłonecznego, i tego co urodziwſzy ſię w mych rękach z uderzenia kamienia, tyle pożarł drzewa. Wkrótce miałem poznać trzeci daleko ſtraſznieyſzy. Więcey iak od godziny, grube i czarne chmury zgromadzały ſię ze wſzyſtkich ſtron na Niebie. Powietrze ociążałe ciężki mi ſprawowało oddech. Uſłyſzałem zdaleka głuchy huk, podobny do wòd ſzumiących.

Ten

Ten huk tym bardziey śię powiększał, im śię bardziey Niebo zachmurzało. Nakoniec uyrzałem na powietrzu długi ciąg ognia, za ktòrym nastompiło straszne wystrzelenie.

Rozumiałem z początku, że armata ktòrom widział odieżdżaiącą z wyspy moiey, była na Niebie: rozumiałem nawet, że okręt zatrzymany brzegami morza, ktòrego ia nie rosciągałem daley iak do horyzontu widzialnego, wstompił na Niebo w tym mieyscu, gdzie śię z niebem łączyć zdawało, i że wtenczas płynął nad głową moią. Wszedłem do iaskini obawiaiąc śię, żeby mnie nie zgruchotał iesliby spadł na dòł. Podwoiły śię pioruny, i strach we mnie powiększyły. Szczęściem zakończył burzę deszcz wielki, słońce śię ukazało i natura znowu na siebie wzieła całą swoią piękność. W kilka dni potym doznałem innych strachòw, ale ieszcze kròcey trwały. Słońce śię w iednym

dnym momencie wſrzòd dnia zaćmiło. Patrzałem na niego płacząc i podnoſząc ręce do góry. Widziałem że ſię iego krąg powoli zakrywał, ale ſkoro ſię zakrył cały; tak zaraz z przeciwney ſtrony część iego ukazywać ſię poczeła, i ta część coraz ſię powiękſzaiąc przyſzła do zupełności kręgu. Wnioſłem bardzo rozſądnie, że między mną i nim, inne iakieś przechodziło ciało. Zdałomi ſię nawet, żem troche doyzrzał tego ciała.

Popełniam Okrucieńſtwo

Widywałem czasem kròliki; te zwierzęta że ſą bardzo dzikie, wpadły u mnie w podeyrzenie. Wnioſłem że one być muſzą złośliwe, i zaczołem ſię obawiać, ażeby ſię kiedy ſkupiwſzy nie przyſzły mnie pozrzeć w moiey

iaſkini; (*) zamykałem wchòd nieiaką laſą uplecioną z gałęzi, i ſypiałem doſyć ſpokoynie za tą paliſadą.

Jednego poranku, gdy zbierałem korzenie i ſkładałem ie pod iednym drzewem, tym czaſem nim ie piec miałem, uyrzałem że ieden krolik przyſzedł udzielić z nich ſobie także: wpadłem w gniew „ Ta potwora, mòwiłem, chciałaby ziadać moie „ korzenie, nadgradzaiąc ſobie „ to, że nie może zieść mnie ſa„ mego? Byłem nie daleko od niego: on mnie nie widział; miałem gruby kiy w ręku, rzucam na niego tak ſilnie i ſprawnie, że uderzony pada na w pòł umarły. Biegnę do niego, i z początku byłem tak nieczuły, że ſpokoynie patrzałem, iak ſię tłukł i pasował

z śmier

(*) Widywałem mnòſtwo mrówek, ktòre ſſały trupy chrząſzczow i niektòre drapieżne ptaki, co ſobie wydzierały złapaną przepiòrkę.

z śmiercią. Gniew wygasza ludzkość, ale ta znowu wzieła górę. Zostałem tknięty widząc, że te biedne zwierzątko cierpi i przez swoie ruszania się, i przez swoie spòyrzenia, wyrzuca mi na oczy, że przed czasem bez porady natury, gubiłem iestestwo, nad ktòrym nie miałem innego prawa, tylko ktòre sobie moc i sprawność przywłaszcza. (*) Strofowałem sam siebie o twardość serca, ale pròżno było chcieć to nadgrodzić. Tóm tylko dla nieszczęśliwego

(*) Bezwątpienia potrzeba toczyć woynę z zwierzętami zbyt mnożącemi się, albo mogącemi nam szkodzić. Podług tey zasady mogłem kròlika zabić, ktòrego miałem za swego nieprzyiaciela. Ale tey zasady, co z moiey strony uderzenie kròlika usprawiedliwiała, òn zswoiey strony nie mògł poznawać: nie wiedział òn moich pobudek i nie mògł mnie mieć, tylko za naynieśprawiedliwszego, żem zdradziecko zabił zwierze daleko odemnie słabsze, ktòre ani mnie ukąsiło, ani mi nic złego nie uczyniło.

wego mógł uczynić krolika, że zakończyłem iego boleści i życie, zadaiąc mu przez litość raz ostatni: skorom to zrobił natychmiast skonał.

Postanowiłem żadnego więcey nie zabiiać zwierzęcia; ale znalazłszy z nich ktòre umarłe, ktòreby ieszcze nie było zepsute, nie mógłżebym go ieść i znaydować w nim smak przyiemnieyszy niżeli w korzeniach? Nietymże to mięsem karmiono mnie w mym więzieniu? Móy krolik mògł mnie obiaśnić w tey wątpliwości, chciałem z niego zrobić doświadczenie: z początku musiałem walczyć z nieiakim wstrętem, ktòry ciekawość moia wkròtce przewyższyła. Ugryzłem kawałek skòry, ktòra mi się zdała być zbyt twardą i niesmaczną. Pełne usta nabrało mi się włosów, ktòre z trudnościom mógł powyrzucać. Nie zaniechałem iednak mego dzikiego przedsięwzięcia.

Wziò-

Wziòłem oſtry kamień, odarłem krolika ze ſkòry, żarłem ciało iego, które ieſzcze drgało. Krew zbroczyła ręce moie, ſkoczyłem w tył z boiaźni, upuściłem trup na ziemię, który zdiąwſzy potym, wrzuciłem w krzaki. Rzuciłem także zaraz z początku kawałki, których tylko dotknołem ſię uſtami. Szedłem do bliſkiego zdroiu umyć ręce. Przeyrzałem ſię w iego kryſztale, (nigdy o tym bez zadrżenia wſpomnieć nie mogę) uſta moie do tego czasu, tak ſwieże, tak rumiane, zbroczone były krwią brunatną, z ktòrey kurzyły ſię oſtatki życia ieſzcze nie zupełnie wygaſłego. Krew ta niewinna, powſtała była przeciw mnie z zapalczywością, rozlała ſię po mych pierſiach i aż w oczy mi ſię lunęła: byłem podobny do wilka, ktòry dopiero co pożarł baranka. Pogrążyłem ſię w boleści, łzy moie zmyły część znakòw mego

okru-

okrucieństwa. Przeyzrzałem się znowu w zdroiu i byłem kontentnieyszym z siebie. Przyrzekłem nigdy nie być Tygrysem, i ieślibym kiedy zobaczył krolika, lub inne zwierze mòwić mu przychilnie, idź mòy przyiacielu, nie będę cię pożerał, nie zmażę ust moich krwią twoią, głos duszy twoiey nie będzie się z wnętrzności moich odzywał.

Dla utwierdzenia się bardziey w tym przedsięwzięciu, które mi podawały natura i ludzkość, sądziłem że mi należało powiększyć wstręt ktòrym był sobie uczynił. Powracam do krzaku gdziem wrzucił krolika, wyimuię go powoli z pomiędzy gałęzi, niemogąc się iednak ustrzedz, żeby go niektòre nie poszarpały. Przypatruię się mu z bliska, widzę iż ma brzuch bardzo gruby: to mi przypomina stan, w ktòrym widziałem nie co pierwiey łanię, nim swym ielon-

lonkiem zległa. (*) Ach! zawołałem wewnętrznie, to ieſt łania krolikowa, ona była kotna, bez wątpienia zabiłem iey ielonka, popełniłem za iednym razem dwa zabòyſtwa. Jakże nieſzczęśliwy! iakże nieſprawiedliwy ieſtem! im więcey czuię roſkoſzy z życia, tym większa ieſt moia zbrodnia, żem odebrał życie temu, kto nie naſtempował na moie - - - Patrzay potworo, patrzay, cóś zgubił. Nate ſłowa wziołem kamień oſtry i drżącą ręką otworzyłem wnętrzności trupa. Pierwſzy to był, ktòry widziałem, prawie drgał ieſzcze; zobaczyłem ſerce, żołądek, trzewa; zobaczyłem dziwną

budo-

(*) Dopioro od dni kilku wiem, że mòwią, iż łania zległa. J czemużby niemożna tego używać wyrazu? cała różnica między połogiem łani i kobiet ieſt ta, że połogi tam ſą mniey boleśne, ponieważ ona w używaniu roſkoſzy miłośnych i w ſposobie życia pod czas ſwey ciąży, idzie tylko za prawami natury.

budowę, którą utrzymowały kości ruchome dziwnie pofpaiane i ciałem pokryte, ktòre będąc tak gęftym że czyni całkowitość mocną, ieft iednak oraz tak miętkim, że fię podaie na wfzyftkie poruszenia które czynią koście nim pokryte i podzielone - - - Zafłona, ktòrey lękałem fię rozedrzeć, ukrywała rzecz iakąś, ktòra zdawałami fię być kawałkiem ciała nie ukfztałconego i nie porządnego. Przypatruię fię bliżey, i przez tę zafłonę cięką, iafną, przezroczyftą i rozciągnioną, zdaiemi fię iakbym widział głowy i oczy. Kamień mi z rąk wypada: biorę go, i żebym mniey miał trudności w przezwyciężeniu wftrętu, otwieram prędko - - Co za widok! fześć małych krolikòw blifkie porodzenia fię i iuż żywe, trzepioczą fię, otwieraią ufta i ftrofuią mnie z okropnością, żem fmiał przenikać do fchronienia fwiętego, gdzie natura umieściła ich, wyprowadzaiąc z nikcze-

czemności. Rzucam znowu nieszczęśliwą krolicę i iey płòd w krzak, z ktòregom ią był wyciągnął. Uciekam do mey iaskini płacząc, krzycząc i przeklinaiąc samego siebie.

Przyszedłszy nieco do siebie z mego pierwszego przestrachu, przypomniałem sobie, żem widział w krolicy niektóre części, ktòre, przypominaiąc w tenże sam czas łączenie się Jelenia z łanią, na co niedawno patrzyć mi się zdarzyło, zdawały się być przeznaczone do płodu. Wszystko to w zniecało w sercu moim iakieś żądze pomieszane, a w umyśle iakieś podobieństwa prawdy, a zatym ciemności.

Załowałem także (ale niemiałem ochoty doświadczać drugi raz) że w trupie, ktòry otworzyłem, nie dochodziłem przyczyny dymu ciepłego i wilgotnego, ktòry z niego wychodził. Mniemałem, że się w iego żołądku, albo sercu ogień znaydował,

i nie-

i nie myliłem śię w tey mierze; ale ten ogień rozumiałem być podobny do ognia, przy ktòrym śię grzałem, i w tym mocnom śię mylił.

W nieiaki czas po tey tragiczney scenie widziałem inną mniey okropną, ale tym samym bardziey powiękśzaiącą w oczach moich srogość pierwśzey. Kruk ieden zwątlony śtarością i osłabiony długim życiem, leżał między zielem w cieniu pod iednym drzewem. Ptak leżący mocno mię zadziwiał. Zbliżam śię rozumieiąc że umarł, ale mu niedaleko do tego było. Rzucił na mnie wzrok i zdawało śię iakby do mnie mówił „ Ja śię ciebie więcey „ nieboię; niebędę uciekał, cho„ ciażbym mógł; ieżeli dni mo„ ich śkróciśz, to tylko na kilka „ momentòw; mam umrzeć, a „ umrzeć bez żalu, ponieważ dosyć żyłem „ Uważam go, widzę że śię oczy iego zamykaią, widzę że dziob otwiera, nogi i śkrzydła

wyciąga i umiera - - - Ach zawołałem, ieżeli kiedy mam umierać, bodayby ſmierć moia była tak łagodna iak kruka tego, ale żeby nigdy potwora mnie podobna niepodniosła na mnie ſwey gwałtowney ręki; żebym nigdy nie umierał, iak te nieſzczęśliwe zwierzę, co go złość moia zgubiła.

Głòd mi ſię uprzykrzał, ſzedłem zieść kilka korzeni, i powròciłem z kamieniem oſtrym dla rościęcia kruka, żebym zobaczył, ieżeli ptaki podobne ſą wewnątrz do zwierząt, i ieżelibym nieznalazł w nim ognia, ktòregom ſię domyſlał w kroliku. Ale zbyt poźno przyſzedłem. Nie zaſtałem iuż na mieyſcu gdziem go zoſtawił, tylko piòra i koście.

Znaki ſmierci okazały mi ſię pod czworakim ròżnym pozorem w rybkach, w wiewiorce, w kroliku i w kruku. Widziałem ią wiele ieſzcze razy w innych kſztałtach. Niebędę czynić przykrości Czytelnikowi, ſmutnym ich opiſywaniem.

niem. Naprzykrzyłbym mu ſię z ſerca opiſaniem naſtępuiącym, bo ieſt także ſmutne: ale ſpodziewam ſię, że dla ducha prawdy, ktòrym one tchnąć będzie, nie poczyta mi za złe, żem go nie opuścił.

Nowy widok pogrąża mnie w boleści.

Było na ów czas około końca września. Wioſna i lato płynęły nieuſtannym dla mnie ciągiem roſkoſzy. Miałem życie roſkoſzne. Ale umnieyſzenie dni znaczne, naſtompienie pierwſzego zimna, pierwſzy upadek liści z drzewa, wſzyſtko to nieſpokoynym mnie czyniło, i ſprawowało dla mnie życie nieprzyiemne. Szczęściem przypadek nauczył mnie dobywania ognia, a potrzeba przypomniała mi, że między odzieniem wydobytym z klatki, z naydowała ſię ſkòra wielka niedzwiedzia, ktòra mnie więcey nie przeſtraſzała:

przyzwyczaiłem ſię iuż do ſtrachòw. Poſzedłem ią wziąć, obwinołem ſię nią włoſami do ciała; tym ſię bowiem ſpoſobem odziewałem. Za pomocą ſkóry i ognia ochraniałem ſię od zimna, ale nie mogłem z nich mieć pociechy w ſmutku patrząc na ziemię poſępną i odartą. Codzień nową iaką utracała ozdobę, codzień obawiałem ſię wychodzić z iaſkini; nie widziałem, i nie oczekiwałem, iak tylko nieſzczęśliwości.

Jednego poranku uyrzawſzy z głębi mey iaſkini wrzos cały okryty mrozem białym, odwaliłem nagle lasę, ktòrą wniyście zamykałem co wieczor przed krolikami, i wyſkoczyłem na dwór, dla przezwyciężenia wſtrętu, który miałem wychodzić z iaſkini. Dwa też potoki popłyneły z mych oczòw; zaczołem wzdychać, łkać i krzyczeć. Wſzyſtkie prawie liścia przez noc z drzew opadły, a te troche co pozoſtały, widać było, iak ſmutno odłączały ſię od gałęzi;

rzekł-

rzekłbyś, że chciały chwytać się drugich gałązek, o które, lecąc ocierały się, i iakby z niechęcią dążyły do ziemi. Chciałbym ich był zatrzymać, chciałbym był ich upadkowi zapobieżeć, wyciągałem ku nim ręce, ale nieſtety! próżne moie były uſiłowania! Odwróciłem się, żebym przynaymniey nie patrzał na złe, na które nie było lekarſtwa, i daley płakałem rzewnie.

Jeślić się zdaie rzeczą dziwną, iż ia tak wiele łez wylewam dla liści, przypomnij ſobie, że cię natura zaczęła tylko, a nieſzczęściem ſztuka dokończyła, a zatym nie ieſt niepodobna, żebyś na to, co naturę trapi patrzał bez tkliwości; ale ia którego ona ſama ułożyła i wyedukowała, mógłżebym bez łez i wzdychania patrzyć na konaiącą moią matkę, zwłaſzcza nie wiedząc, że się na wioſnę miała odrodzić.

Pochwyciłem z nieiaką dotkliwością drzewko, które mi pod

rękę

rękę podpadło, uważałem go z pilnością i zobaczyłem, że z mieyſc zkąd liſtki odpadły, wychodziły małe pączki, w ktòrych zawierały ſię liſtki podobne do tych, co widziałem rozwiiaiące ſię pierwſzych dni mego na wyſpę przybycia.

Widok ten wielką we mnie wzniecił nadzieię; pełen radości poſzedłem łani i ielonkowi tyſiączne czynić przymilenia. Opowiedziałem im geſtami i nieſłòwnym głoſem, iakiegom doznał ſmutku, i co mi go oſłodziło. Złamałem iedną małę gałązkę; otworzyłem paznokciami kilka pączkow: pokazałem im dwòm przyiaciołom, że nowe liſtki naſtompią niezadługo na mieyſce tych, ktòrych opadnienie tyle mi ſprawiło żalu, ktòrego nie wątpiłem żeby i oni nie doznali, a tym ſpoſobem dzieląc z niemi moią pociechę, czułem że ſię ona powiękſzała.

W kilka czaſy potym mròz znacznie zelżał; Niebo ſię okryło chmu-

chmurami i deſzcz ſpadł obfity. (mogło to być około końca Grudnia.) Widziałem, że pączki na drzewie codzień ſię powiękſzaią, z czegom ſię niewypowiedzianie cieſzył. Zaraz prawie pomieſzał radość moią mróz przykry, który zamknął wſzyſtkie ſkarby natury. Wiele miałem trudności dnia pierwſzego w wyrywaniu korzeni, i ztąd wnioſłem, że ieślibym nie opatrzył ſię w doſtatek zapaſu, mogłaby ſię ziemia zamknąć, a ia umarłbym zgłodu.

Człowiek, ktòremu życia nic nie ſprawuie przykrym i nienawiſnym, nie zaniedbuie ſpoſobow zachowania ſię przy nim. Przepędziłem dzień cały na zbieraniu korzeni, i noſiłem ie do mey iaſkini, pewny, że ſię tam zachowaią od zimna. Nazbierałem ich więcey iak na ſześć niedziel i piekłem według potrzeby. Mròz trwał prawie przez mieſiąc: poſtrzegłem, że łania i ielonek, ktòre codziennie odwiedzałem, zaczeły ſłabieć, ponieważ

waż nie mieli zapafu. Dałem im korzeni pieczonych, których nie zechcieli; potym dałem furowch, rzuciły fię do nich z chciwością, i iedząc poglądali na mnie w fpofob, ktòry tak dobrze wyrażał wdzięczność, że mnie tym uięły, abym ieszcze ich bardziey kochał.

Dalsze opisanie widoku smutnego.

Jednego z oftatnich dni tego mrozu, leżałem ieszcze w głębi mey iafkini, kiedy iuż słońce zeszło. Porywam fię ze fnu, poftrzegam przez fzpary mey lafy, którą był wchód zamknięty, wielką powierzchowność białą, biegnę do drzwi, odwalam ie iak zawfze i widzę, że świat cały do czterech tylko widoków ieft przyprowadzony, to ieft: zoftawało tylko Niebo, słońce, morze i śnieg.

Nic więcey nie zoftało na ziemi tey przyiemney i powabney różności, ktòra ią fprawuie piękniey

nieyfzą niżeli Niebo; ale białość ifkrząca fię, ktora ią okrywała całą, czyniła widok profty, fzlachetny, wfpaniały. Dziwiłem fię iey nic nie poymuiąc, ftawiam ze drżeniem iedną nogę na śniegu, ta grzęźnie, ftrach fię mòy podwaia, padam w śnieg twarzą. Zdało mi fię padaiąc, że fię podemną przepaść otwiera. W tym momencie porywam fię ze wfzyftkiey fiły, i ftaię na nogach prawie pierwiey, nim fię ziemi dotknołem. Cofam fię w tył z przelęknieniem; poznaię na śniegu wyraz mego ciała; poftrzegam, że go noga moia ścifka, widzę ziemię na fpodzie dołu, który upadkiem moim wykopałem, a zatym widzę grubość śniegu ktòrego było prawie na ftopę. Uczyniłem trzy kroki w dole przezemnie wykopanym, odważam fię raz poftompić daley, potym z wielką oftròżnością i z nieiaką boiaźnią, iefzcze daley poftompiłem krokow kilka. Ośmieliłem fię nakoniec, a nawet miałem

łem rozrywkę depcząc śnieg, i robiąc na nim ślady. Biegnę do ognia i dziwuię śię, że go znalazłem odkryty. Szczęście dla mnie, że z wieczora nakładłem grubych gałęzi, nim śpać poszedłem, bo zapewnieby był wygasł. Wiele głòwni zachowało śię z ogniem pod popiołem zskorupiałym od padaiącego nań śniegu; to mi powodowało do rozumienia, że śię śnieg pali. Rzuciłem garść śniegu na ogień, gasił go tam gdzie dopadł. Na ten czas zacząłem żywo otrząsać ten co był na gałęziach, które zapalić miałem. Układłem ie na węglach porządnie i wkròtce cieszyłem śię widząc ie zapalone. Poszedłem rznąć innych wielkim nożem krzywym, ktòry od czterech lub pięciu Mieśięcy znalazłem między kamieniami na brzegu morza zachodniego, to iest: w iednym mieyscu nayodległeyszym od mey klatki. Zapewnie go tam położono w dzień wysadzenia mnie na wyspę, i miana

ną uwagę położyć go na mieyſcu, nie co opodal od mieyſca, na którym mnie na ląd wyſadzono, ażebym go nie znalazł, aż dopioro po nieiakim czaſie, kiedybym przez doświadczenie nabrał doſyć światła, ażebym mògł zgadnąć do iakiego te narzędzie ieſt użycia, i żebym ſię nim nie ſkaleczył.

Przepędziłem poranek czyniąc doſwiadczenia z ſniegu, roſpalaiąc ogień i wycinaiąc drzewa: dobrzem ten poranek przepędził. Krzątałem ſię koło tego wſzyſtkiego z taką ochotą, że mi nawet iedzenie na myśl nie przyſzło.

Kiedym iadł obiad, to ieſt kiedy uſiadłſzy na ziemi połykałem korzenia, uyzrzałem iż grube chmury powſtawały na Niebie; w kròtce ſię potym rozerwały, a powietrze napełnione zoſtało koſmami śnieżnemi. Widok ten zadziwił mię i zmartwił. Còż to ieſt? mòwiłem uciekaiąc i płacząc. Maż ſnieg ſpaść aż do wierzchołkòw drzew? maż zawalić iaſkinię mo-

ią, zgaſić mòy ogień, i ſtać ſię mym grobem? Pogrążony w tych myslach okropnych, poczułem że ſię nogi moie podemną uginaią: upadłem. Chciałbym był przeſtać być, albo żebym był nigdy nie był. Iak wiele razy złorzeczyłem tym, którzy mnie od dziecińſtwa mego, nie przyzwyczaili do widzenia Nieba, ziemi, lata, zimy, meteor. W tym ſzczęśliwym wieku nie mogąc rozumować, widziałbym był te wſzyſtkie rzeczy bez boiaźni, a widząc ie rok po roku, nauczyłbym ſię był z doſwiadczenia, iż bardzo ſię rzadko przytrafia, żeby one miały nieſzczęśliwe iakie ſkutki.

Rozumuię nad tym com dopiero widział.

Skoro ſnieg padać zaczoł, ſchroniłem ſię do mego ognia. Tam uſiadłſzy na piętach, założywſzy na krzyż ręce, zwieſiwſzy głowę na pierſi, nieruſzałem ſię nic, tyl-

tylko co raz ſmutno to w iedną, to w drugą ſtronę obracaiąc oczy, uważałem, czyli ſię bardzo wyſokość ſniegu powiękſza, potym poglądałem po ſobie ſamym. Widziałem że ſnieg pada na moie uda, ktòre pod ten czaſ niebyły okryte ſkurą niedzwiedzią, na ktòrey daleko wolniey topniał. Lękałem ſię żeby na mòy ogień padaiąc, niezagaſił mi go, ale zdało mi ſię, iż przeciwnie tym bardziey ſię ogień wzmagał, co mi nieiaką ſprawiło pociehę.

Znowu nadzieia i radość w krótce zupełnie mi ſię wròciły. Godzinę tylko prawie przepędziłem w ſmutku, gdy Niebo roziaśniać ſię poczeło i ſłońce ukazało ſię. Za odmianą ſtanu ſerca, odmieniły ſię moie wyobrażenia i myſli. (Wiele ſię układòw przyznaie rozumowi, ktòre nie należą do niego.) Uſiłowałem wytłumaczyć ſobie ſamemu, co to była za rzecz ten ſnieg. Przyſzło mi z razu do myſli, że to mògł być nieiaki gatu-

gatunek defzczu, który fię zmarzał padaiąc na powietrzu; ale że od kilku mieficy rozumowałem zbyt wiele, i że zaczołem mieć upodobanie w tym co zadziwia, takie tłumaczenie fniegu zdałomi fię być nadto profte, żeby mogło być prawdziwe. Bardziey mi fię podobało te. „ Te niezliczone fztuki fniegu, fpadaiące
„ z Nieba na ziemię, fą bez
„ wątpienia pierwfzą materyą
„ kwiatòw; ktòremi za moim na
„ Wyfpę przybyciem, wfzyftkie
„ urodzayne drzewa były okryte.
„ Zapewne piękna pora, co te
„ wydaie kwiaty, ma fię w kròtce odnowić. Zobaczę iak fię
„ ten wielki cud dzieie, i zapomnę fmutku, ktòry mi fprawuie przygotowanie tey fzczęśliwey odmiany.

Tym czasem mròz trwał ieszcze przez dni kilka, i zakończył fię przyiemnym defzczem, ktòry znifzczywfzy fnieg do fzczętu, o mało nie zepfuł moich fizy-

cznych uwag; ale nie zbywa prze-
sądòm na sposobach utrzymywania się. Wniosłem że śnieg stopniały i obròcony w wodę, miał w ziemi, ktòrą napawał, wziąć znowu swòy kształt stracony, i że wkrótce zobaczę go w tym kształcie wychodzącego z drzew pączków.

Wkilka tygodni potym, zdarzenie zdało mi się potwierdzać moie mniemanie, i utwierdziło mnie w moim błędzie, albo raczey, skoro uyzrzałem że drzewa kwitną, iuż ani myśliłem więcey dochodzić przyczyny tego cudu. Człowiek naturalny lubi się cieszyć: nie rozumuie, tylko gdy niema do roboty czego lepszego. Naymnieyszy kwiatek zdaiemu się być daleko pięknieyszym, nad naypięknieysze nad naywyższe badania - - - Widziałem iak się zakończyły pączki, iak się z nich wywiiały kwiaty. Co za widòk dla oczów i duszy niczym nie roztargnionych! Po mrozie wspomnianym któ-

ktòry tey zimy był naytężſzy, poſtrzegłem że dni zaczeły być dłużſze, co mnie uleczyło z boiaźni nieuſtanney nocy, ktòra zdawałami ſię grozić; kiedy zobaczyłem że od mieſiąca Sierpnia aż do Stycznia, połowa ich prawie ubywała. (*) Słońce poczeło lepiey dogrzewać, zioła żywſzą i iaśnieyſzą na ſiebie wdziewały zieloność; pączki roſły i zdawały ſię czekać z niecierpliwością rozwinienia ſię. Ptaki przez piosnki bardziey mocne niżeli przyiemne, bardziey huczne niżeli łagodne, zdawały ſię iedne drugich powoływać do bitwy, albo przez ſwoie krzyki pieſkliwe, proſić o iakąś rzecz, ktòrey pilnie potrzebowały. Nie wiedziałem na òw czas, czego to one od ſiebie proſiły, albo przynaymniey nie wyra-

(*) Mogło na òw czas być puł Lutego, i dopiero oſmieliłem ſię przypuſcić nieiaką pewność, że dni były dłużſze niżeli w Grudniu.

raźnie tylko w ſobie to czułem: pierwſzemu na *Julią* ſpòyrzeniu zoſtawiono było, odkryć mi tę taiemnicę.

Prawie po mieſiącu, wioſna zaczeła ukazywać ſię mym oczom, i dawać ſię czuć wſzyſtkim moim władzom. Co dzień ogłaſzała ſię nowym iakim wdziękiem, nową iaką przyiemnością. Eh ktòreżby ſerce było tak obſzerne, żeby wyſtarczyć mogło lubościom wioſny, ktòraby ſię ukazała nagle!

Odkrywam iedną wielką prawdę.

Ciepło przyiemne i ożywiaiące ſchodzące z Nieba; wonia, ktòrą mu ziemia iakby na dowòd hołdu wdzięczności ſwey poſyłała, pioſnki ptakòw nieuſtanne, i daleko milſze, daleko melodyinieyſze, niż były nieco pierwey; igraſzki mego ielonka i łani, pieſzczoty ich, ktòre mi czyniły, nieròwnie żywſze, niż zwyczayne; lazur kwia-

tów, piękna zieloność która zaczeła uwięczać drzewa, słowem odrodzenie się natury, przenikały serce moie radością słodką, radością iakiey wyrazić niepodobno.

Choć nie lubiłem rozumować, kiedy się miałem czym bawić; rozumowałem na ów czas ale bez usilności, bez natężenia; czyniłem to raczey sercem aniżeli umysłem; nie tak to były myśli, iako bardziey czucia, których doznawałem.

„ Przepędziłem tu porę, mówi-
„ łem, u miarkowaną, drugą zbyt
„ gorącą, trzecią znowu umiar-
„ kowaną, czwartą zbyt zimną.
„ Niepostrzegłem tey różnicy
„ nigdy zostaiąc w klatce; ale
„ byłem zamknięty, i może do
„ niey powietrze nie mogło prze-
„ nikać. Z inney strony ten czas
„ żanic mi poczytać należy.
„ Od tąd dopioro żyię, kiedy zo-
„ staię na tym mieyscu. Wi-
„ dzę teraz, że pierwsza pora u-
„ miarkowana powraca z takie-

miż

,, miż ſamemi znakami i przy-
,, iemnościami, iakie widziałem
,, przybywſzy na tę wyſpę; więc
,, to ieſt taż ſama, więc po niey
,, naſtompią także trzy inne; i
,, bez wątpienia, gdy ſię ten
,, obrót zakończy, znowu ſię
,, zacznie. Ten obrót nie mógł
,, żeby ſię odmienić? nie mógł
,, żeby być porządnieyſzym, po-
,, żytecznieyſzym, mędrſzym?
,, Jak i dla czego to tak ieſt? Jak
,, i dla czego panuie nieuſtannie
,, te dnia i nocy, zimna i ciepła,
,, naſtempſtwo? Jak i dla czego
,, ziarna, które przy końcu lata
,, widziałem ſpadaiące z iednego
,, krzewu, zoſtawały przez zimę
,, niby ziarna piaſku martwe, a
,, teraz wypuſzczaią z ſiebie niby
,, gałązki małe, które idą w zie-
,, mię, gdy tym czaſem inne ga-
,, łązki przybrane w liście, pod-
,, noſzą ſię ku Niebu? Jak i dla
,, czego bieg ſłońca i Xſiężyca,
,, tak ieſt iednoſtayny, tak nie-
,, odmienny? &c. &c. - - - Moia

„ wola podług upodobania swego, „ kieruie mym ciałem i wszyst„ kiemi członkami. Ta wyspa „ (*) na ktòrey mieszkam, te „ Niebo, te gwiazdy, co krążą „ nad głową moią, i ktòrych ruch „ iest tak porządny, wszystko to „ iest tylko iednym wielkim cia„ łem, ktòrym władnie wola wyż„ sza i nademnie i nad słońce. „ Zkąd te wszystkie pochodzą „ iestestwa? zkąd ia sam pochodzę? „ Taiemnica to iest niedościgła. „ Ale z kądkolwiek bądź pocho„ dziemy, iakiekolwiek bądź są „ nasze iestestwa i materye z „ ktòrych iesteśmy złożeni, ode„ braliśmy bez wątpienia ten „ kształt od teyże samey woli, „ co nami władnie. Kóżdego ie-
stestwa

(*) Potrzeba tu uważać; i na innych mieyscach, gdzie mòwię o mey wyspie, że nie mogę użyć żadnego znaiomego słowa, ktèrym bym wyraził wyobrażenie, ktòrem miał mey wyspy. Nie wiedziałem co to iest wyspa, i że moia nie była całą ziemią

,, ſteſtwa kſztałt ieſt doſkonale
,, piękny, ieſt ſtały, i w odmia-
,, nach nawet ſwoich nieodmien-
,, ny, gdyż wſzyſtko idzie ie-
,, dnoſtaynym porządkiem: muſi
,, więc być że ta wola naywyżſza,
,, ieſt ieſteſtwa nieſkończenie mo-
,, cnego, nieſkończenie mądrego
,, - - - - O wielkie Jeſteſtwo! więc
,, to czym ieſteśmy, ſłońce, ia i
,, wſzyſtko, ieſteśmy przez Cie-
,, bie? uznaię twoią moc, twoią
,, mądrość, twoią dobroć, dzię-
,, kuię ci, czczę cię - - - -

Wymawiaiąc te ſłowa, miałem oczy łzami zalane, podnoſiłem ręce ku Niebu, święta iakaś ogarneła mię boiaźń, padłem twarzą na ziemię, zoſtaię przez nieiaki czas w tey pokorney poſtawie, ſerce moie na nayżywſze ſię czci i uſzanowania otwiera czucia.

Niech ſię mnie nikt niepyta, iak ledwie w ſzesnaſtym roku mogłem być zdolnym tak głembokie czynić uwagi? iużem odpowiedział na ten zarzut. Duſza

moia zachowywała ieſzcze ſwoią wrodzoną czyſtość, a niebyła roztargniona ani nikczemnością, ani zbrodnią, a tak choć młoda, mogła daleko ſięgać. Ten dzień, krórego światło wieczne, co do ząd przez promyki tylko złamane i odbiiaiące ſię nieco mi ſię ukazywało, ſtaneło mi w oczach w całey ſwey światłości, był dla mnie dniem ſzczęśliwym. Na tey Epocę kończę życie moie naturalne i odludne; przepędziłem ieſzcze na mey wyſpie łat kilka, kòżdy rok niebył dla mnie, iak tylko powtarzaniem pierwſzego, i czemużby nim niemiał być? Tak przyiemnie ten pierwſzy przepędziłem! Przepędziłem go bez tęſknoty, i dla tego, że mnie nienauczono co ieſt tęſknota, i że żyłem ſam ieden, i że umiałem czerpać ſzczęśliwość w ſobie ſamym, a ſzczęśliwość przydatkową w tym wſzyſtkim co mnie otaczało.

Czynię nowe odkrycie.

Za kòżdym powròtem wiofny chodziłem odwiedzać moią klatkę, i niepoymowałem, dla czego będąc drewnianą, była kwadratową, a inne drzewa okrągłe, była czczą a inne drzewa pełne; niewydawała ni liści, ni kwiatów, a inne ie wydawały, Sprzykrzywfzy fobie żem ią zawfze znaydował niepłodną, z niecierpliwości porąbałem ią wfztuki fiekierą; mało mi fię fprzeciwiała, bo była na pòł zgniła. Tak ią rozrzucaiąc poftrzegłem gwoździe, ktòremi pozbiiane były deski; poftrzegłem dwa czopy żelazne, na których obracało fię koło. Ta klatka, moia fiekiera i fuknie ktòrym' z pogardy dopuściłem zepfucia, zdałymi fię być dziełem inney ręki, nie tey ktòra utworzyła naturę, daleko od tey podleyfzey. Wzieła mię chęć dochodzenia przyczyny tey rożnicy, ale

ale zkąd i iakim iey dòyść ſposobem?

Tą nieſpokoynością pomieſzany, poſzedłem przeyść ſię za wielką ſkałę, (*) ktòra w pierwſzym mego na wyſpie mieſzkania roku, tak bardzo mnie była przeſtraſzyła, kiedy wiele głoſów wyſzłych zgłembi iedney iaſkini odpowiedziały mi, *dać mu pokoy*.

Od owego czasu obchodziłem zdaleka tę ſkałę, i wſzyſtko co ią otaczało. Niemiałem także ciekawości widzenia długiego łańcucha gòr za tą ſkałą leżących. Przyzwyczaiłem ſię do przechadzek milſzych po innych mieyſcach mey wyſpy, a do tamtego wſtręt powziołem. Unikałem u ſzczęśliwienia mego, ale mògłżem go przewidzieć? (*) Nakoniec

(*) Nie pierwſzy to ia raz miałem chęć udania ſię na tamte mieyſce, ale tak wielka nie była iak w ten czas.

(*) *Neſcia mens hominum fati ſortisque futuræ.*

niec ciekawość i nieſpokoyność poprowadziły mię w tamtą ſtronę.

Porąbawſzy klatkę, nałożywſzy doſtatkiem drewek na ogień, podiadłſzy dobrze korzeni, udałem ſię dalego w góry, obchodząc niedoſtempnieyſze. Gdym iedną znalazł mniey przykrą, wlazłem na nią aż na ſam wierzchołek, z kąd widzę i dziwuię ſię obſzernemu moiemu pańſtwu. Rościągało ſię one bardzo daleko za gòrami; las przy którym kładłem ogień, kończył ſię obſzerną, urodzayną płaſzczyzną, ze wſzech ſtròn oblaną morzem. Dla przypatrzenia ſię tylu pięknym rzeczom z bliſka i wygodnie, przynaymniey potrzeba mi było dnia całego; poſtanowiłem więc ſkoro świt powròcić nazaiutrz, i wziąć z ſobą zapaſu. Przypatrowałem ſię ieſzcze z podziwieniem przez iakie trzy godziny pięknym około mey gòry widokom, ale że nieśmiałem przepędzać

nocy

nocy w mieyſcu tym nieznaiomym, powròciłem do ognia i iaſkini, iak ſkoro ſłońce ſię zaczeło ſpuſzczać na zachòd.

Czegoś mi niedoſtawało do mey ſzczęśliwości niewidziałem tego dnia ani mych łani, ani ielątkòw, (*) dla poſzukania ich podwoiłem mè kroki. Jak częſto rozumiemy że ſię dąży do mety, gdy ſię od niey oddala! Moie łanie i ielenięta znaydowały ſię na gòrze, ſzły za mną: doganiaią mnie, pieściemy ſię tyſiącznemi ſpoſobami: powracam do iaſkini, iem wieczerzę i ſpać ſię kładę. Przepędzam noc prawie całą w ſłodkiey iakieyś nieſpokoyności, po ktòrey ſpoczynek zdawałmi ſię być ſtanem zniſzczenia, w ktò-

(*) Od òśmiu lat ſtadko mey łani, i drugiey, ktòrą w roku naſtempuiącym znalazłem, mocno ſię rozmnożyło. Wſzyſtkie młode ielenięta, ktòre ſię rodziły oſwaiałem, a tak na ten czas miałem wiele ieleniow, wiele łań i ieleniąt.

którym niekontent bym był zostawać. Porywam się ze snu wcześnie przed świtem, (Xiężyc na ów czas świecił.) Biorę mòy sprzęt, to iest wiązkę korzeni, i idę.

Szedłem prędko prawie przez godzinę, przychodzę na gòrę, na ktòrey byłem wczora. Oczy moie przy słabym świetle Xiężyca gasnącego, i iutrzenki zaczynaiącey się ukazywać, odkryły z tey strony w ktòrą szedłem, wiele zwierząt, iednych wielkich, drugich wzrostu miernego. Niewątpiłem iż to są moi przyiaciele: biegnę do nich iak nayprędzey, (*) chęć zobaczenia ich i igrania z niemi powiększa moią niecierpliwość: przerzynam powietrze i ledwie na piasku slady moie zostawuię.

Tym

(*) Jak ia nigdy nikogo niewidziałem, tak nikt mi nie nabił głowy, żeby niebespieczno było biegać, przeto biegałem i często i prędko.

Tym czasem widzę z daleka trzódę moią rozprószoną: ieden tylko ielonek z matką swoią szły drogą, którą ia iść miałem, szły z wolna;mogłem za niemi zdążyć: przychodziemy razem na koniec lasu gdzie się zaczynała płaszczyzna. Ielonek mòy kilka mi tylko zimnych uczynił pieszczot, zdawał mi się być zatrudnionym czymsiś innym, nie mną, wyrywa się z moich rąk; wchodzi do lasu; ia wchodzę za nim.

Pierwsze promienia słoneczne zaczeły wychodzić z zasłony iutrzenki. Nie rozumiałem żeby ten widok miał być dla mnie milszym iak codzień,z tym wszystkim nowe w oczach moich zdawał się wydawać przyiemności.

Sidło to z wabiło mego ielonka; była to wielka sieć rozpięta nad iedną wiązką ziòł pachnących. Jdziemy obydwa pod tę sieć. On ie nie myśląc o niczym; ia z chciwością przypatruię się tym kwiatkom, tak sztucznie nad gło-

wą

wą moią i około mnie ułożonym, usiłuię tego nowego widowiska dociec: ielonek ciągnie zioła, rusza kiy, na którym ten ułomny utrzymował się budynek; sieć pada i obydwa iesteśmy złapani. Nie zdawałomi się, żeby się nam w tey okoliczności było czego lękać, więcey mnie przestraszył głos dzwonka, który padaiąc sieć ciągneła - - - Nie, nie, cale się nie miałem czego lękać, owszem przeciwnie iakiego szczęścia miałem używać! - - - Słyszę że ktoś idzie, oglądam się - - - Widzę *Julią*!

Piękność iey porywa mnie w zachwycenie, tracę wszystkie moie zmysły, i rozumiem, że może bym był skonał, gdyby zbiòr iey odzienia dziki, nie łagodził mego podziwienia i radości. Dobywam siły dla wywikłania się chcąc lecieć do niey, wyciągam ku niey ręce, mówię iey głosem łagodnym płacząc *dać mu pokoy*. Ona zatrzymuie się i także płacze, po-

tym

tym obròciwszy się w tę stronę z kąd przyszła, czyni znak iakiś pilny i znowu się do mnie obraca - - - Promienie iey oczów zapaliły moie serce, chciałem że wszystkiey mocy przerwać przeszkodę, która mnie od niey dzieliła. Widziałem że w niey walczy i chęć przyiścia mi na pomoc, i boiaźń iakowego z tąd przypadku, to przystempuie, to się znowu cofa.

Jeden starzec(był to iey oyciec) przybiega do niey zadychany; pogląda na mnie; widzi że się ia passuię; boi się i o nią i o siebie samego: ściska ią, mòwi, żeby do chaty poszła. Ja płaczę, padam na kolana przed starcem, wyciągam do niego ręce z proźbą; krzyczę głosem przez wzdychania osłabionym *dać mu pokoy*, a to wszystko prosząc o *Julią*.

Ona w momencie potym powraca niosąc dwa pałasze gołe, z których ieden daie Oycu, a drugi zostawuie sobie i upuszcza na

zie-

ziemię. Przyſtempuią oboie do ſieci; *Julia* ciągnie za ieden mały ſznurek; śieć ſię otwiera; ia głowę podnoſzę, otwor ſię powiękſza, i tak wychodzę z ielonkiem. Czytam w *Julij* oczach, iż ona z tego nie ieſt nie kontentą; w oczach Oyca nic pewnego nie widzę. Zdaie ſię iż on temu i rad, i boi ſię; grózi mi pałaſzem ieślibym do niego przyſtompił; nie do niegom też to ia ſpieſzył. Ja patrzę na *Julią*, zbliżam ſię do niey z tą gorącością żywą, ktòrą tylko naturalny inſtynkt wzniecać zdoła. Ona ſię chce brònić, podnoſi pałaſz, ktòry w tym momencie zdaie ſię iey być bardzo cięſzki; czyni mi letką na udzie ranę; w ten że ſam czas ſtarzec mniey dbaiąc o mnie, uderza mnie ſwoim w ramie, ale ſzczęściem ſkòrę tylko otarł. Padam na bok, pytam ſię żałośnym głoſem i uymuiącemi znakami, za iaką mnie karzą zbrodnię; uklękam znowu przed ſtarcem, ſerce

mi

mi powiada, że to iego tylko ſamego o łaſkę prośić powinienem; pokazuię mu, że moia krew, ktòrom dopiero rozlał, mieſza ſię na moim łonie z łzami ciekącemi z oczòw moich. Na *Julią* o nic ſię nie żalę: ona razem zemną pada do nóg Oycowſkich i przez ſwe proźby zniewala go dla mnie. Starzec odciąwſzy ſznur z śieci w ktòrą byłem wpadł, idzie mi wiązać ręce: ia mu ſię nie bronię; widzę w iego oczach że niechce mi ſzkodzić, ale tylko ſwemu beśpieczeńſtwu zaradza (Człowiek naturalny nigdy ſię nie myli w tym, co mu powiadaią oczy).

Po tey rozumney oſtròżności, ſtarzec poſzedł ſzukać lekarſtwa na zgoienie mych ran, a *Julia*, ktòra z nich krew ocierała, czyniła przygotowanie do ich obwiązania; zaczynała od tey co była na ramieniu.

„ Poczciwy ſtarcze, nie ſzu-
„ kay więcey lekarſtwa na ule-
cze-

„ czenie mych ran: ta co była „ naygłębszą naypierwiey zosta„ nie uleczoną. Co za balsam „ *Julia* na nią przyłożyła! Bez „ wątpienia przyłoży ona po„ dobnyż na drugą, ktòrom o„ debrał, i ia żałować będę żem „ ich nie odniosł więcey, iak „ dwie tylko „ Oto iest, cobymbył powiedział, gdybym był umiał mòwić. Nie wiedziałem, coby to mogło być ten balsam, ktòrego tak cudowny uczułem skutek; *Julia* wyznała mi potym, iż to było iey ust pocałowanie.

Patrzałem na *Julię*, płakałem, pochwyciłem iednę iey rękę i bez przestanku całowałem; nie mogłem iey trzymać iak tylko słabo, mogła mi ią wyrwać łatwo, ale możnaż na wyspie bezludney oprzeć się miłości? Starzec przyniosł iedno ziele, ktòre o kilka krokòw od nas wyrwał. Còrka iego pokazała mu, iak ia rękę iey trzymałem, zdawało się iakby go to zmiękczyło; powiedział iey słòw

żedwie; odebrała mi rękę i ſpóy-
rzawſzy na mnie miłośnie, zdawała
ſię iść do ſwoiey chaty. Ja tak przeraźliwie krzyczeć zacząłem,
że ſię wròciła; groziłem, że porwę me więzy i póydę gdzieby ona poſzła,
ponieważ ieſzcze nogi wolne miałem: widziałem iż upadłſzy u nòg Oyca, proſiła go.
Poſzedł ſam gdzie ią poſyłał. Zoſtawił nas: czyniłem *Julij* tyſiączne przymilenia,
ktòrebym był czynił z tąż otwartością w przytomności iey Oyca. Powròcił wkrótce,
przynioſł naczynie ſarſurowe wody dla omycia mych ran i płòtna na obwinienie.
Gdybym był mógł obrócić myśl moią na inny iaki przedmiot, pròcz tego co mòy cały
umyſł zaprzątnął, byłbym tkliwſzy na troſkliwe ſtarania *Eufemona*. (*) Spòyrzałbym
był

(*) Niewiedziałem nazwiſka ani Oyca, ani Córki, aż dopiero żyiąc z niemi przez czas nieiaki. Używam ich przed czasem, toż ſamo i innych ktòre mi ſię tu wyrażam.

był z nieiaką uwagą na naczynie farfurowe, ale nie widziałem tylko *Julię*. Miłość moia ku niey do ostatniego stopnia przychodziła: Nieszczęście to iest przepędzić całą swoią młodość nie widząc kobiet; kiedy się z nich ktòrą zobaczy, musi się przypłacić i wolnością i rozumem.

Widzę iedne dzieło sztuki.

Obwiązawszy me rany, chciano mnie prowadzić do chaty; dosyć było żeby tam była szła *Julia* pierwiey; poszła, ia za nią, a iey Oyciec szedł za mną. Przez ieden z tych miłych grymasòw, tak zwyczaynych kobietom, zaczeła się mocno śmiać, i bieżeć kilka krokòw oglądaiąc się, czy ia za nią biegnę. Trzebaż iey było te dla zabeśpieczenia się o mnie czynić doświadczenie? Nie widziałaż, że magnes nigdy nie rzuca swego żelaza? Dała mi po-

znać przez ieden swòy uśmiech, że przywiązanie moie do niey, podobało się iey, a ten uśmiech tak mi się zdał być pięknym, iak promienia poranku, na ktòre rozwiiaią się kwiaty.

Po puł kwadransa drogi, przychodziemy do iednego zakrętu lasu. Nic ieszcze nie oznaczało pomieszkania zrobionego ręką sztuki. *Eufemon* go rostropnie ukrył: gdyż nie zawsze iest beśpieczno na wyspie pustey. *Julia* wchodzi w las, nie idąc żadną drogą ubitą. (nie było żadney ścieszki i nie potrzeba iey było.) Szliśmy lasem iakby na strzelenie z fuzyi, gdy ona schyliwszy się weszła pod iakieś krzaki, które szczupły tylko miały otwor. Wchodzę za nią; iedna mała otwiera się altanka, aż oto my znayduiemy się wobszernym zagrodzie, które na około gęsto otoczone iest krzakami, cierniem i chròstem, tak, że nie można się tam było domyślić pomieszkania ludzkiego. Na srzodku

ku tego opaſania ſtała piękna chata, która w niczym nieuſtempowała chacie *Filemona* i *Bawki*, tylko w tym, że w niey nigdy nie mieſzkała miłość, ale iuż do niey ſzła w ślad za mną.

Była otoczona bogatą murawą, ktòrą zdobiła zieloność i kwiaty. Skakała po niey mała trzódka kóz, owiec i pſów, (*) gdyż pſy (było ich ſześć) razem z owcami i kozami pomieſzane igrały. *Euſemon* nieobawiał ſię, ni żeby te zwierzęta nie uciekały, bo zewnątrz dobrze łąkę ſwoię ogrodził płotem, ani żeby przez ſzczekanie iego pomieſzkanie odkryły. Pſy iego były ſpokoyne, nigdy nie ſzczekały, ani nawet za przybyciem moim. Jagnięta i koziołki zawſze dobrze karmione, zawſze przy ſwoich matkach, rzad-

(*) *Euſemon* miał inny folwark, gdzie były kury, kuropatwy, i bażanty, ale że te ptaſtwo czyni wiele hałaſu, trzymał go bardzo daleko od ſwego mieszkania, i nie chodził do nich tylko z wielką oſtròżnością, o ktòrey wkrótce powiem.

rzadko kiedy beczały, a do tego chróſty gęſte, któremi to mieyſce opaſane było, nie dopuſzczały żeby zdaleka ich głos był ſłyſzany.

Dom *Eufemona* był dobrze zbudowany; powiedział mi potym, że ia mogę poiąć ſztukę budowli. Nauczono go, bawiąc go tylko, wſzyſtkich umieiętności pożytecznych, to ieſt wſzyſtkich kunſztów, które umieiąc można ſkutecznie ſłużyć i ludziom i ſamemu ſobie, nawet w ten czas, kiedy ſię ludzkiey pozbawi pomocy. Pomieſzkanie iego było z gliny, wyſokie ſtop tylko dzieſięć, dach bardzo oſtry deſkami pokryty. Nie trzeba było, żeby ten dom przenoſił wyſokością ſwoią nayniżſze nawet otaczaiące go drzewka. Szczęśliwy, kogo właſny interes i beśpieczeńſtwo przymuſzaią do unikania okazałości! --- Jakże pięknym zdał mi ſię być pałac *Eufemona*! Wybielony był we wnątrz i zewnątrz: miał także ſzklane okna: widziałem w nim

dwa

dwa łòżka, ſtół, ſtołki, niektòre naczynia i inne drobne ſprzęty, ktôre mnie tym bardziey zadziwiały, że nie wiedziałem do iakiegoby mogły być użycia. Przyday, że moia kochana *Julia* mieſzkała w tey chacie, i poymiy ieśli możeſz, co to za wſpaniały muſiał być dla mnie pałac.

Nie doſtawało w nim do upodobania mego iedney rzeczy, ròwnie potrzebney iak i piękney; nie widziałem iey w tym domu, i pròżno iey na wkoło domu ſzukam; to ieſt ognia. Poſtrzegłem popioł w kominie, a nie maiąc rąk wolnych, ſzedłem rozgarnąć go nogą: *Julia* mnie zatrzymała; biedna dziewczyna lękała ſię, żebym ſię nie ſparzył. Odgarneła popioł kleſzczami, i pokazywała mi ſię być nie co markotną, że w nim nie znalazła ognia. Widziała, żem daleko ieſzcze był z tego nie kontentnieyſzy od niey, i dla uſpokoienia mnie wzieła krzeſiwo z kòrkiem, hubką i podnietą ſiarkową.

Spu-

Spuſzcza kórek, w tym momencie widzę dym, i prawie zaraz piękny płomień błękitny. Z początku trząſłem głową, gdy mnie zaleciał odrażaiący zapach ſiarki, alem ſię wkròtce pocieſzył. Mógłżem bowiem zbyt drogo przypłacić roſkoſz widzenia ognia, a ognia wychodzącego z rąk *Julii*? Roſpaliła gałęzie ſuche, ale nie myślała gotować obiadu, choć iuż czas gotowania obiadu minął. Bardzo ią zatrudniałem ia, zatrudniałem także iey Oyca, chociaż różnym ſpoſobem. Poglądali na ſiebie, rozmawiali, i nie wiedzieli co o mnie myśleć. Zobaczyli że ia znam ogień, ale prócz ognia nic więcey. Otwierałem oczy na wſzyſtko, które na to wſzyſtko pierwſzy raz patrzały. Wzieli mnie za człowieka dzikiego; ale iakim ſpoſobem znaydowałemſię na tey wyſpie? czym ſię na niey urodził? czy mnie tam przywieziono? czy żyłem ſam tylko ieden? wſzyſtkich tych wiadomości nie

mo-

można się było odemnie dowiedzieć. Zdanie było mey kochaney *Julij*, żeby dla ośmielenia mnie, uwolnić mi ręcę. Oyciec na to przystał i roskosz rozwiązania mnie iey zostawił. Te więzy nie wielką mi sprawowały przykrość; miałem ie za nieiaką rzecz potrzebną, i w ten czas ie tylko czułem, kiedy chciałem ściskać *Julią*, ależ wtedy zdawałami się być nie znośną.

Oboie mòwili ięzykiem francuskim: *Julia* rozrywaiąc mi węzły, te do mnie rzekła słowa, ktòre mi potym powtòrzyła „Mòy „przyiacielu, będzieszże zaw„sze pamiętać, co ia dla ciebie „czynię? będzieszże mnie ko„chać zawsze? Odpowiedziałem iey z przymileniem dwoie lub troie *dać mu pokoy*; z czego się mocno Oyciec i ona śmiać zaczeli, i ia śmiać się im dopomogłem. Naypierwiey użyłem wolności rąk moich na przyciśnienie *Julii* do mych piersi; ten iey pozwolony

dla

dla mnie udział, zdał mi się być naywyższą roskoszą.

Eufemon niechciał, żebym wolności swoiey mògł użyć na złe; przyszedł mi spętać nogi, ale tak, żebym nie mogąc biegać mògł chodzić. Kontent żem odzyskał ręce, biorę *Julią*, chodzę z nią po izbie, ruszam z mieysca wszystko, co mi tylko w oczy wpada, wszystko iey chcę dawać. Przyszedłszy do krzesiwa, zastanawiam się nad nim przez czas długi, obracam nim tysiącznemi sposobami, biorę go, trząsam, dmucham, chcę ognia wykrzesać - - - Nie będę książki moiey powiększać opisywaniem drobnych okoliczności, których czytelnik sam się łatwo może domyślić; przystempuię do innych, ktòre go bardziey będą obchodzić.

Zaczynam być zupełnie ſzczęśliwym.

Już prawie dni ośm żyłem z moiemi kochanemi *Julią i Eufemonem*. Moia niewinność i otwartość iednały mi ich ſerce. *Eufemon* ſam rozerznoł me pęta, ale mi zoſtawały do potargania inne, to ieſt te okrutne wędzidło, ktòre *Julia*, a naybardziey iey Oyciec, kładli na moie pragnienia. Już ſię rany moie zgoiły, ponieważ człowiek ſamemi tylko ziołami żyiący, łatwo ſię ulecza. Ale rana od miłości moiemu ſercu zadana, ſtawała ſię niebeśpieczną. Schnołem, więcey nie iadłem, oczy moie zapadły, twarz ſię oſuneła, ogień dopiekaiący biegał wżyłach moich.

Julia nie mniey odemnie była i zmieniona i nieſzczęśliwa. Pada do nòg Oyca ſwego, przekłada mu co cierpiemy ia i ona, choć żadna rozumna przeſzkoda uſzczęśliwieniu naſzemu nieſprzeciwia ſię - - -

Ja to czuię, oco go ona prosi; rzucam się mu także do nòg, płaczemy wszyscy troie, òn daie mi rękę *Julii*, i rzuca na nas wzrok Oycowski.

Od tego czasu widziałem *w Julii* oczach, że słabe tylko czyniła usiłowania, w nakazywaniu im milczenia. Miłość i wszystkie iey ognie w nich zgromadzone były. Nadto było tego do wzniecenia we mnie pożaru. Poprzysięgałem starca, żeby nas samych zostawił - - - Czułem, że miłòść ma upodobanie kryć się pod skrzydłami przyzwoitości i samotności. *Julia* zatrzymuie *Eufemona*, i przez pocałowanie pełne ognia ale razem z iednym westchnieniem, daie mi poznać, że choć ią ròwnie iak i mnie miłość dogrzewa, moc iednak iakaś ią wstrzymuie wyższa nad moc miłości - - - Niewiedziałem na ten czas, żeby immaginacya była mocnieysza niż serce. Byłem zanurzony w smutku i sam do siebie,

bie mòwiłem. Jzali ieſt prawo iakie, co głośniey woła, niżeli prawo natury? Tak zapewne, i muſi być te prawo ſprawiedliwe, kiedy ſię mu poddaie *Julia* - - - Jeſt ſprawiedliwe, i niemoże ſię długo prawu Natury ſprzeciwiać, a *Julia* nieomieſzka uczynić mnie ſzczęśliwym. Pocałowałem ią na wzaiem, oddałem iey na wzaiem weſtchnienie za weſtchnienie, i czule na nią ſpòyrzałem. Wkròtkim czaſie potym *Eufemon* oddawſzy mi znowu iey rękę wyſzedł, a ona iuż ſię temu więcey nie ſprzeciwiała.

Swięty związku natury, tyś nas w tym momencie z iednoczył! wſtyd i delikatność, nie oddzielni piękney roſkoſzy towarzyſze, roſkoſzy naſze żywſze i czulſze nam ſprawiły. Nic ieſzcze nie mogło zerwać związku tak ſzacownego i świętego. O gdybyśmy moia kochana *Julio* mogli umierać razem, być z iednoczonemi razem nawet w grobie, i

wſzy-

wſzyſtkim ſzczęśliwym małżonkom za wzòr ſłużyć.

Maiąc twarz zarumienioną ſkromnością, oczy iaśnieiące czyſtą radością, ktòrą ſamo tylko przeświadczenie o ſwey cnocie wzniecić może, idziemy do *Eufemono*; ón dzieli z nami naſzą ſzczęśliwość, widzi, że ſię w nas odradzą nadzieia iego potomſtwa, ſtaiemy ſię pociechą iego ſtarości: wyrok wiecznego bezżeńſtwa, ktòry na còrkę ſwoią wydanym być rozumiał, zoſtał uchylony. Ta wyſpa nie ieſt iuż dla niego wyſpą dziką, nie ieſt okropnym grobem, gdzie rozumiał że codzień umierał, ale ieſt miłym ſchronieniem, w ktòrym zdaiemu ſię iakby iuż widział, że ſię rodzą i żyią wpokoiu liczni iego wnukowie.

Kiedy uſpokoiło mnie odziedziczenie *Julij*, ſtałem ſię także dla niey powolnieyſzym, *Eufemon* umyślił nauczyć mnie ſwego ięzyka, to ieſt francuſkiego, ale wie-

leby

łeby pracy nadaremnie był podeymował, gdyby potrzeba, apodobno ieszcze bardziey miłość nienamówiły mnie, korzystać z iego nauk. Wołał òn czasem swey còrki, (*) i iak skoro wymówił *Julio*, ona odpowiadała *iestem*, te nowe słowa, tak mi się zdały być piękne, że prawie z pamięci mi wygluzowały moie *dać mu pokoy*. Co moment mawiałem głosem męskim *Julio*, i zaraz cichszym i łagodnym odpowiadałem, *iestem*. To niewymòwnie bawiło moią młodę małżonkę i iey sędziwego oyca. (**) Smiałem się widząc że się oni śmieią. Mawiali mi często potym, że

(*) Miał òn ostròżność nigdy iey niewołać zdaleka, ani mòwić głośno, toż samo i ona. Potrzeba im było zawsze strzedz się. Więcey ieszcze mieli niespokoyności mnie znalazłszy, bo mogłem być nie sam ieden.

(**) Ona miała lat 30. iey Oyciec 70. a ia 23.

że moia proſtota i otwartość mocno ſię im podobały.

Jednego dnia po obiedzie przyſzło do głowy *Julij* mieć ze mną iedną małą rozmowę, która ſię w krótce zobaczy. Dałby Bòg, żeby Małżonkowie nigdy nie umieli innych! więceyby to ważyło, niż wſzyſtkie ich wyſzukane rozmowy. Wziąwſzy mnie za ręce, całuie mnie i mòwi głoſem naśladuiącym głos Oyca ſwego, *Julio, ia cię kocham:* ia natychmiaſt powtarzam, *Julio, ia cię kocham.* Kładzie ſwą rękę na moie uſta i mówi, głoſem ſwoim zwyczaynym, *Aryſcie, ia cię kocham;* (*) i grubſzym głoſem wſpoſob pytania przydaie, *mocnoż mię kochaſz?* Zdeymuie z uſt moich rękę, a ia tym ſamym głoſem powtarzam, *mocnoż mnie kochaſz?*

(*) Oyciec iey chciał żeby mi dała te nazwiſko, ktòre znaczy, dobrze nauczony, ponieważ wziołem dobrą edukacią, bo ſama natura była moią nauczycielką.

chasz? Ona odpowiada, przeſzkadzaiąc mi znowu mòwić. *Tak ieſt mòy przyiacielu, tak ieſt, mocno, a ty?* - - - Potym oddaiąc mi wolność, męſkim znowu głoſem, *och mocno mocno!* a ia powtarzam, *och mocno mocno !*

W trzech lekciach, ktòre nietrwały razem iednego kwadransa, nauczyłem ſię tey rozmowy z miłym oneyże wymawianiem. Zapłaciłem mey Nauczycielce języka, całuiąc ią więcey niżelim liter wymòwił, i mòwiąc podług ściſley ſprawiedliwości, ieſzczem ſię iey tanio zapłacił. Z tym wſzyſtkim ona mi oddała całowania za całowania, właśnie iakby iey nienależały. Jak pięknež to ieſt ſpołeczeńſtwo miłości! Jakže ieſt wſpaniałe! - - -

Chętniem ſię nauczył tey krótkiey rozmowy, uczyłem ſię tak że ſłòw innych, ktòre mnie bawiły; ale nie byłem ciekawy umieć rozmowy długie, podług mnie bardzo nie pożyteczne, iakie mię-

dzy sobą często miewali *Eufemon* i *Julia*, którym ia miałem upodobanie przerywać moim, *ia cię mocno kocham, oh mocno*, i innemi podobnemi słowami.

Przedsię biorę nabyć iedney wiadomości.

Co innego są dzieci, co innego dorośli. Ci nie chcą sobie zadawać pracy, nie maiąc żadney pobudki, a ia niewidziałem nic, coby mnie pobudzało do uczenia się słòw bez końca, i do wymawiania ich tym lub innym tonem.

Eufemon daiąc mi chleba i kraiąc go, (po owey bowiem dwóch pałaszòw scenie, zawszem się lękał żelaza;) mawiał do mnie, i powtarzał *chleb*. Ja na niego poglądałem i smiałem się. Smieszmie mi się wydawało, że daiąc mi tę rzecz, przyłączano, właśnie iakby tego iaka była potrzeba, słowo, którego skutek nieczynił tey rzeczy ani smacznieyszey ani posilnieyszey. Miałem to na

ów czas za rzecz całe niepożyteczną. Darmo ſię gniewałem, nigdy on nie odmienił ſpoſobu, i gdy mu ia pokazuiąc chleb dawałem znak, aby mi go dał, on mi pokilkakrotnie powtarzał, i chciał koniecznie, żebym i ia powtarzał *chleb*. *Iulia* ſię także do tego mieſzała, i czaſem przez uſzanowanie dła iednego, a przez miłość dła drugiey, mówiłem im te ſłowo, ale tak niedbale, iż to znaczyło, *ch dobrze, chleb, kiedy tak koniecznie chcecie*. Niezadługo poznałem, że oni mieli przyczynę. Pewnego dnia zachowali reſztę chleba co mieli, i zoſtawili mnie głodnym. Otworzyłem ſzafę, ſzukałem, czyniłem im znaki, ktòrych oni udawali, że nierozumieią. Wzieła mię niecierpliwość. Może, mòwiłem do ſiebie ięzykiem wnętrznym, może potrzeba, żeby z rozumieli moię prożbę, powtòrzyć im ich głos: Wymówiłem ze złością *chleb*, własnie też oni tego czekali; przy-

nieśli mi go czym prędzey, a ia na òw czas poznałem dobrze, iż słòwne głosy może nie są potrzebne, kiedy przedmioty są przed oczyma, ale staią się mocno potrzebne, kiedy tych przedmiotòw nie widziemy; (*) i od tego czasu przedsięwziołem uczyć się mowy. Zywość, znaki iakieś interesu, ktòre widziałem w rozmowach *Eufemona* i *Iulij*, powiększały ieszcze bardziey wemnie ochotę, ktòrą mieć zaczo-łem

(*) Kiedy ia, albo *Julia* wołaliśmy *Eufemona*, òn odpowiadał i przychodził. Kiedy *Eufemon*, albo ia wołaliśmy *Julii* ona odpowiadała i przychodziła. Ja sam kiedym usłyszał ich wymawiaiących te imie *Aryst*, przychodziłem, i iak skoro *Julia*, albo *Eufemon*, moie wymòwił, bądź ostrzegaiąc mnie że mieli dać mi co do zrozumienia przez znaki, bądź że tylko z sobą o mnie rozmawiali, ia zaraz odpowiadałem, *iestem*. Z tego wszystkiego, i ztąd że *Eufemon* i *Julia* rozumieli się nieczyniąc sobie znakòw, wniosłem że mowa bardzo iest pożyteczna.

łem rozumienia ich, i rozmawiania tak iak oni. Poſtanowiłem od tego momentu, ſłuchać ich z uwagą, czegom ieſzcze nigdy do tych czas nie czynił; a dla wyrażenia im tego przedſięwzięcia, powtòrzyłem im po kilkokrotnie uważnie *chleb*, i to mòwiąc, chleb im pokazywałem.

Przechadzaliśmy ſię codzień w małym naſzym ale ſpokoynym Pańſtwie; zaprowadzono mnie iuż raz na folwark ptaſtwa. Były tam kury, kuropatwy, gołembie, ſynogarlice, bażanty. Niezamykano tego ptaſtwa. Folwarkiem ich była doſyć obſzerna murawa, na około ktòrey iedne gniezdziły ſię w krzakach, drugie na drzewach, i zgromadzały ſię na te mieyſce, kiedy ich wołano i ſypano im ziarno. (*)

Eu-

(*) Niepowiedziałem w opiſaniu mego życia ſamotnego, że znaydowałem gniazda; że widziałem z wielkim podziwie-

Eufemon i *Julia* ofwaiały ich od wylęgnienia do wylęgnienia co rok przez trzy łata, przez które znaydowali fię na tey wyfpie. (*) Ja co dzień dwa razy chodziłem ich odwiedzać, a *Julia* nie omiefzkiwała nigdy chodzić zemną. Było to naymilfzą moią zabawą; ale ani tam ani w inną ftronę nigdyśmy niechodzili, niewlazłfzy z nas które w przód w iedne drzewo fuche, w którym wewnątrz *Eufemon* zrobił fchodki kręte prowadzące aż do wierzchu: ztamtąd iak z iakiego *observatorium* widać było całę wyfpę, wyiąwfzy tylko część

wieniem, iak ptafzęta z iay wychodziły; że uważałem ich wdalfzym także czafie: że ich ofwaiałem. Ale małoż to innych rzeczy także opuścić mufiałem, dla fkrócenia mey Xiążki, i dla zapobieżenia, ieśliby można, aby nienudziła czytelnika.

(*) Niemieli oni z Okrętu, którym do tey wyfpy przybyli, tylko gołembie i kury; a zaś inne ptaki na wyfpie poznaydowali.

część zasłonioną górami, w ktòrey ia mieszkałem. A tak nim się wychodziło z ogrody domowey, w ktòrey znaydowało się i te drzewo, zapewnialiśmy się ile możności, ieżeli nie było nieprzyiaciòł, to iest ieżeli nie było ludzi na polu; mówię zapewnialiśmy się ile możności; ponieważ niemożna było widzieć ani w lesie, ani za gòrami.

Jednego dnia gdyśmy się przechadzali z *Eufemonem*, (gdyż ten zacny starzec nietylko od roskoszy niestronił, ale ieszcze wynaydował nam one;) *Julia* skierowała kroki nasze ku iedney małey skale sobie wiadomey. Gdyśmy byli w nieiakiey odległości od skały, *Julia* spòyrzawszy na mnie zawołała, *Aryście ia cię kocham.* Tknięty, iż odmieniła porządek rozmowy, czego niezwykła była czynić, ledwiem iey dał dokończyć, i głośniey od niey zawołałem *Julio ia cię kocham.* Głos iakiś podobny do mego, powtòrzył wyraźnie, *Julio ia cię kocham.* Spòy-

rza-

rzałem na około, pobiegłem kilka krokòw, i nic nie zobaczyłem. Przydałem z porufzenia niewiedząc fam com mówił *och mocno mocno.* Doznaię na ten czas naypierwfzego i naywiękfzego zbyt czułey miłości niefzczęścia małżeńfkiey zawiści. Choć niewiedziałem czyli pròcz mnie i *Eufemona* fą ludzie inni, biegłem gonić tego, co miał zuchwałość powtòrzyć moie fłowa. *Julia* zatrzymała mnie śmieiąc fię, i dla mego zafpokoienia, woła znowu, *Aryście ia cię kocham.* Głos iakiś kobiecy, którego pierwfzy raz niemiałem czafu fłyfzeć, woła po niey, *Aryście ia cię kocham.* Na te fłowa gniew fię mòy podwaia. Tak mnie prawie obraża to, że inna pròcz *Julij* kobieta, fmie do mnie mòwić, (*) iak obrażało, że inny prócz mnie

(*) Còżby było gdybym był rozumiał o czym to ta mniemana kobieta mòwiła do mnie, mòwiąc że mnie kocha? Ale fzczę-

mnie człowiek śmiał mòwić do *Julij* --- *Julia* łagodzi mnie, prowadzi pod iedną ſkałę, wprowadza do iedney iaſkini, ktòrą oboie razem na około obſzedłſzy, nieznalezliśmy nikogo. *Julia* rzekła ſłów kilka, ktòre odezwały ſię po wſzyſtkich ſtronach, po wſzyſtkich iaſkini zakątkach, i w niektòrych zoſtały powtòrzone. Poznaię na ten czas co to ieſt echo: poznaię że potwory nocne, co przed kilko laty pierwey tak bardzo mnie były przeſtraſzyły, i że inne potwory, co mnie dopiero w taką wprawiły złość i zawiść, nie ſą co innego tylko echo, i zoſtałem uſpokoiony.

Padam na twarz i oddaię cześć Bogu.

Eufemon i *Julia* z roſkoſzą ſłodką, z radością godną duſz tak pięknych

---

ſzczęściem dla mnie choć znałem miłość, nieznałem ieſzcze iey nazwiſka, tylkom ſię go domyślał.

knych patrzali, iak ia czasem podnosiłem ręce do Boga, czasem padłszy na ziemię twarzą, cześć mu oddawałem i pokazuiąc mu ich oboie, dziękowałem że mi dał ich wynaleść. Jedna ich tylko rzecz niespokoynemi czyniła; patrzałem zawsze słońca, obawiali się, żeby to nie iemu ia mòy hołd oddawał. Podczas swey modlitwy umyślnie obracali się tyłem do słońca, dla pomiarkowania, cobym ia o tym myślił. Ten ich postempek nie gorszył mnie, ale niechciałem go naśladować. Nakoniec poczciwy *Eufemon*, ktòry do tych czas nieśmiał mi ieszcze mòwić o Bogu, i nie wymieniał mi, tylko same (wskazuiąc na nie) iestestwa podpadaiące pod oczy, iako to Niebo, słońce, ziemię, morze, &c. &c. zaprowadził mię na gòrę bardzo wysoką. Tam obròciwszy się tyłem do słońca, bierze mnie za rękę, ściska ią ile może, pogląda na mnie mile, roni łzy, podnosi ku Niebu rękę, co mu została

wolna

wolna, i głosem, ktòrego nie podobna wyrazić, ale ktòry się dobrze daie rozumieć sercu, mòwi mi, Bòg---Czuię się być przeniknionym czcią, patrzę na *Eufemona*, łzy iego wyprowadzaią i mnie łzy z oczòw, zostaię przez nieiaki czas iak w zachwyceniu, zostaię iak wryty - - Nie iest to Niebo, co mi on wymienia, a iednak nie widzę tylko Niebo. Więc mi on wymienia wielkie iestestwo, ktòre wyższe iest nad same Niebo, iestestwo, ktòremu ia cześć oddaię - - - Tak, one to iest, wyczytuię imie iego w duszy mego oyca, w ten czas, gdy go usta iego wymawiaią - - Po tey rozmowie moiey wnętrzney, w świętym iakimsiś zapędzie, biorę *Eufemona* i *Julię*, i mòwię im pokazuiąc iestestwa, ktòre wymieniam, Eufemon - - - Julia - - - Aryst - - - morze - - - ziemia - - - drzewa - - - skały - - - Niebo - - - słońce - - - Bòg - - - Te wyznanie wiary było iasne; zrozumieli go bez trudności. Padliśmy twarzą na zie-

ziemię wſzyſcy razem w ſtronę przeciwną ſłońcu. Zgromadziłem na tym mieyſcu kamienie, ktòre ułożyłem na pamiątkę tego wyznania wiary, i błogoſławiąc Boga, powròciliśmy ſię do naſzego ſzczęśliwego i niewinnego pomieſzkania.

Jedne Wyobrażenie ſprawuie tkliwą ſcenę.

Euſemon i *Julia* urodzili ſię we Francij, byli katolikami, i łączyli intencie ſwoie z modlitwami kościoła. Mieli Kalendarz nieuſtawaiący; z niego wiedzieli wſzyſtkie ſwięta i pobożnie ie obchodzili. Tym tknięty, naśladowałem ich, uſiłowałem przeniknąć do ich duſzy, byłem iż tak rzekę Chrześcianinem. Czaſem *Euſemon* ukazywał mi, albo obrazy, (*) albo Kru-

(*) Za obaczeniem pierwſzy raz obrazòw i zwierciadła, ktòre mi były ukazane

Krucifix. Rozrzewniał ſię ſam, mianowicie Krucyfix mi ukazuiąc. Ale te wyobrażenie było ze ſrebra. Niewidziałem, ani ciała zkrwawionego, ani ran, ani żadnych znaków boleści, co małe we mnie czyniło wrażenie. Daleko żywiey i tkliwiey wzruſzyła mnie twarz naturalnie odmałowana --- Głowa ſkrwawiona, zſiniała, umieraiąca, czoło pełne niewinności i maieſtatu, twarz pełna łagodności, uſta nieco otwarte, z ktòrych widzieć zdawało ſię, iak oſtatni duch życia wychodził, oczy co nim ſię miały zamknąć, zdawały ſię ieſzcze rzucać wzrok Oycowſki --- Rozpływałem ſię we łzy, i iak dziecko, ktòre na wi-

zane, czyniłem wſzyſtkie małpie grymaſy, iak dziki Arlekin, ale pòtym wylewałem łzy radośne. Nakoniec przyzwyczaiłem ſię do widzenia tych widokòw. Poznałem zaraz *Julię* w portrecie, ktòry był wielki, ale *Eufemona* nie poznałem, bo iego portret był w miniaturze malowany.

widok trapiącego go przedmiotu, kryie się na łono swey Matki, rzucam się na łono *Julii*, potym pochwyciwszy chustę, w którą był zawinięty usiłuię otrzeć krew drogą - - - (*) Postrzegam się w błędzie, ale politowanie moie i żal mòy bynaymniey się nie umnieyszaią. *Eufemon* i *Julia* widokiem tym rozrzewnieni płaczą także. Mieszamy łzy nasze wespòł, a te nieustaią płynąć, aż mi z przed oczòw wzięto ten Boski obraz.

Doznaię nowey roskoszy.

Więcey iak od dwòch Miesięcy miałem szczęście żyć z *Eufemonem*

(*) Smierć Cezara, głowa Cycerona, wystawiona w rynku na widok, lub inny iaki podobny obraz sprawiłby był we mnie też same rozrzewnienie, ponieważ nie wiedziałem ieszcze historyi obrazu, który mi pokazywano. Jakże nie ròwnie głembszą w sercu moim sprawiłby był tkliwości ranę, gdybym był wiedział Historyą iego.

nem i *Julią*. Używałem wſzyſtkich ſpołeczeńſtwa roſkoſzy. Nic ieſzcze nie powiedziałem o iedney nayprzyiemnieyſzey. *Eufemon* grał na Wioli, a *Julia* śpiewała i grała na Klewicymbale. (*) Grali oni razem koncert za moim do nich przybyciem. Trzy lata było iak żyli dalekiemi od wſzelkiego roztargnienia. Mieli guſt, mieli talenta, duſze ich były nayczyſtſze, a zatym naytkliwſze. Złącz to wſzyſtko, i ſądź iakiey mocy, iakiey piękności była ich muzyka. Przypomni ſobie także, iż ia nieſłyſzałem nigdy ani inſtrumentu, ani głoſu; że głos ten pierwſzy raz odemnie uſłyſzany, był arcy miły, był głos kobiety, ktòrą ia kochałem --- Zaczeła ona od

(*) Gdyby była nawalność wyrzuciła *Julią* i iey Oyca na tę wyſpę, nie mieliby byli bez wątpienia inſtrumentòw muzycznych, obrazòw i wiele innych rzeczy mniey potrzebnych; ale to wſzyſtko nie zda ſię być rzeczą nie podobną, kiedy ſię dowie,iak ſię tam oni doſtali.

od tych słòw, (*) godnych Dawida, godnych samego Boga, *Niebiosa opowiadaią chwałę Boga:* &c. &c. Wlepiłem w nią oczy, słuchałem, skonałbym był, gdyby oczy iey troche ieszcze dłużey nie sprowadziły do serca mego ognia życia. Głos iey zdawałmi się być zawsze iednostaynie wdzięczny, iednostaynie tkliwy, ale powoli przyiemność iego przestała mi sprawować tego zachwycenia, ktòre odbierało mi władzę czucia roskoszy. Gdyby wszystkie moie siły, wszystkie mey duszy sprężyny nie natężyły się były, i powoli nieiako nie złączyły się z iey instrumentu głosem, musiałbym był umrzeć na niektòre przednieysze kawałki, w ktòrych sama siebie przewyższała. Po tey muzyce godney brzmieć w rozległościach

(*) Ułożyła ona Muzykę na ten text zaraz, kiedy się dostała na WYSPĘ POKOJU, kiedy się podniosła iey dusza, kiedy została uwolnioną od wszelkiego gatunku związku.

ściach wieczności, *Julia* chcąc mi uczynić mniey nagłe i czułe przeyście od Nieba do ziemi, ſkończyła na pioſnce Swiąt wieyſkich. *Iakże ia lubię odwiedzać ciebie moie ſłodkie uſtronie* &c &c.

Trudno mi było za pierwſzym koncertem poiąć, cobybył za związek między małemi punktami czarnemi na białym wyrażonemi papierze, a głoſem, który ſłyſzałem. Wyraziłem iak mogłem, nieſpokoyność moią *Julij*, która ſię iey łatwo domyśliła.

Spiewaiąc nóty, których ſię dotykała końcem ſzpilki, dała poznać, że ſię głos podwyżſzał lub zniżał, według położenia tych czarnych znaków. Nie przeſtawała mi codzień lekcij ſwoich dawać: podobały mi ſię one; miałem głos i zdatność, a miſtrzynią moią była miłość ſama. Nauczyłem ſię muzyki prędzey niż języka, przeto muzyka po ſpóyrzeniach i wzdychaniach, ieſt nayżywſzym wyrażeniem czucia,

a zatym duſza ieſzcze nowa, uczy ſię iey z naywiękſzą roſkoſzą. Przyday, że prawidła iey ſą daleko proſtſze, i niezawodnieyſze, niż prawidła iakiegokolwiek języka.

Raz gdy zamknowſzy drżwi *Eufemon* i *Julia* ſwòy koncert zakończyli, (zawſze bowiem mieli tę potrzebną oſtròżność) poſzliśmy na ſkałę Boſką. Tak nazywaliśmy tę, na którey wſzyſcy razem oddaliśmy cześć Bogu. Z gòry tey ſkały daleko ſię widok rościąga na wſzyſtkie ſtrony. *Eufemon* chcąc wiedzieć, czy ia ſam tylko mieſzkał na drugiey części wyſpy, użył tego ſrzodku, aby mi podał ſpoſob objaſnienia go w tey mierze. Kazał còrce ſwoiey ſtanąć przy ſobie, a mnie na kilka krokòw odſtompić, mòwiąc; *uważay*. (te ſłowo i niektòre inne rozumiałem.) Położył kamyk ieden przy ſobie, a drugi przy còrce, potym wziol ie obydwa, i pokazuiąc mi

część

część wyſpy, w ktòrey mieſzkaliśmy, rzucił ie razem ku ſwey chacie, i rzekł mi wſkazuiąc na ſiebie i na córkę: *Eufemon* - - *Julia* - - - Do tych czas nic go nierozumiałem, choć ſłuchałem z wielką pilnością. Położył także kamyk ieden przy mnie, tudzież pięć innych, pokazuiąc po ſobie, iakby nie widział wiele ich miał kłaść, wſzyſtkie w iednym rzędzie z pierwſzym i zemną .Wzioł ieſzcze kilka w ręce, i nadſtawił mi ie, w ſkazuiąc na część wyſpy, w ktòrey ia mieſzkałem. Zrozumiałem, że on mi daie poznać, iż on ſam tylko z *Julią* mieſzkał w tey wyſpy ſtronie, w którą dwa kamyki rzucił razem, i że ſię mię pyta z wielą ia oſobami żył w drugiey ſtronie. Łatwa była odpowiedź: wziołem kamyki z rąk iego i rzuciłem na ziemię, inne także pięć daley odemnie leżące po odtrącałem nogą, a ieden przy mnie leżący, rzuciłem w tę ſtronę, kędy mieſzka-

łem; potym iedną ręką pokazuiąc na ſiebie, a drugą na owę część wyſpy, rzekłem mu, *Aryſt ſam tylko.* Łzy mu ſię potoczyły z oczòw, ròwnie i *Julij;* uſciſkali mnie z radości, i powiedzieli potym, co za przyczyna tego była.

W początku ich na wyſpę przybycia, chęć dowiedzenia ſię, ieżeli na niey ludzie mieſzkali, zaprowadziła ich, że tak rzekę po omacku, manowcami, aż do mieyſca, na ktòrym ia zoſtawałem. Zobaczyli mnie nagiego, i nie wątpili żeby na tey wyśpie nie mieſzkali ludzie ludoiedzi, i to naybardziey przymuſiło ich, ſzukać dla ſiebie tak trudnego do odkrycia ſchronienia. Zaczeli mieć lepſzą nadzieię, kiedy od lat trzech pròcz mnie, więcey nikogo nie widzieli. Odpowiedź moia dopioro opiſana, zupełnie ich zaſpokoiła. Zoſtawało mi tylko dowiedzieć ſię, zkąd i iakim ſpoſobem na tę wyſpę przybyłem. Nazaiutrz dowiedzieli ſię, ile było

mo-

można, i lepiey niżeli ia ſam wiedziałem.

Po kilka razy odtąd iak z niemi zoſtawałem, chciałem ich prowadzić do mego dawnego mieſzkania, ale oni tam iść nie śmieli. Ja tam także ſam iść nie chciałem --- Mieyſca owe nie mogłyby mi były na myśl przywieść nic w przeſzłym życiu milſzego, nad los ſzczęśliwy, ktòregom w iſtocie używał. Wſzyſtkie momenta, w ktòrychbym nie widział *Julii*, zdawałyby mi ſię wiekami. Nadto podałbym ſię był w podeyrzenie Oycu i iey, gdybym ſię był od nich oddalił. Dla utrzymania mnie, te wſzyſtkie przeſzkody, były więcey niż doſtateczne. Nakoniec *Euſemon* i *Julia* uzbroiwſzy ſię dobrze, i dawſzy mnie także pałaſz, ktòrego nie wziołem, aż przez nie iaki czas boiaźnią moią dotknienia ſię go naśmieſzyłem ich do woli, *Euſemon* rzekł mi pokazuiąc chatę z ktòrey wyſzliśmy: tu u *Euſemona* --- *idziemy*

teraz

teraz do Aryſta, i to mòwiąc pokazywał mi drogę prowadzącą do mego dawnego pomieſzkania. Odpowiedziałem mu, iak człowiek który dobrze rozumie to co ſłyſzy: *tak ieſt, tak ieſt*, i puściliśmy ſię w podròż.

Eufemon wykopał w leſie iedne drzewko, i zaſadził go w ſwoiey zagrodzie pierwiey niżeliśmy z niey wyſzli. Chciał przy nim zoſtawić ſwòy rydel: proſiłem go uſilnie, żeby mi pozwolił wziąć go z ſobą. Poſtrzegłſzy łzy w oczach moich, nie mògł mi tego odmòwić. Widziałem iuż iak on drzewka ſadził, ktòre ſię przyieły i iuż zaczynały wypuſzczać nowe latorośle i liścia. Umyśliłem był ſobie także iedno poſadzić na mey wyſpie, na mieyſcu ktòre mi ukazywała miłość. Podałami ſię właśnie pora uſkutecznienia tego miłego zamyſłu; dla tey to przyczyny z tak wielką uſilnością proſiłem o rydel, dla tey przyczyny ſzedłem mężnie iak

Rzy-

Rzymianin, niosąc rydel i pałasz.

Przychodziemy do mego dawnego pomieszkania, witam go, całuię wchód do mey iaskini, ale upewniaiąc *Julię* że w niey więcey mieszkać niechcę. Niebawiąc prowadzę ią czym prędzey do *kamienia snu*, proszę, aby ten kamień tak bardzo mi ukochany, ucałowała i kwiatami go usypała. *Julia* za moim przykładem całuie go i kwiaty nań rzuca. Pamiątka mego smutku i wzdychania mogła być nie czułą i nie płodną, ale pamiątka mey miłości powinna być cale przeciwną. Idę wykopać w bliskim gaiku iedno drzewko, i sadzę go blisko kamienia, ażeby czasu swego okrywało swym cieniem tenże sam kamień, który ia tyle razy moiemi łzami skrapiałem.

Jelonki i wiele oswoionego ptastwa przyszły pieścić się zemną. Przychodziły one i do drugiey części wyspy, i wszystkie prawie taką miały śmiałość do *Eufemona*

i *Ju-*

i *Julij*, iak do mnie pierwiey ieſzcze, niźlim ia pomyślił, że ſię oni na wyſpie znayduią.

Od kamienia ſnu, poſzliśmy do mey klatki. *Eufemon* zgromadziwſzy niektòre oſtatki, obeyrzawſzy ich i złożywſzy iedne do drugich, domyślił ſię, iż to było więzienie z deſzczek, ktòre bez wątpienia okrętem przywieziono, i mnie z onego wypuſzczono. Na ten czas ściſkaiąc mnie za rękę rzekł do *Julij*. „Biedny Aryſt, „ zapewne tu przyprowadzony ieſt „ iak i my przez ludzi, ktòrzy „ go zgubić chcieli. Wkròtce zupełnie o tym zoſtał przeświadczony. Spòyrzał na ieden kamień cioſany i dobrze wygładzony, na ktòrym te przeczytał ſłowa, w ktòrych ia nigdy nie uważałem, tylko proſty iakiś zbiór znakòw; nie przyſzło mi do myśli, czy przypadkiem, czy umyślnie zrobionych, lecz całe mi niezrozumianych. Słowa zaś takie były; czytałem ich potym częſto, i do tych czas ieſzcze chowam ten kamień. *Dzie-*

Dziewiątego Maia M. D. - - - (*) *Mocą wyroku Krola Imci P. N. M. wyſadziliśmy na tę wyſpę niewolnika ſtanu, ktory nigdy nie widział świata, nigdy nie mowił, i nigdy nie ſłyſzał mowiących; był w Roku piętnaſtym wieku ſwego.* (**)

Kontenci z odkrycia tych wiadomości, powrociliśmy do domu *Eufemona*, i przekonani żeśmy ſami tylko na tey mieſzkali wyſpie, przechadzaliśmy ſię od tąd śmieley, ale iednak zawſze z oſtrożnością, gdyż co moment mogł iaki przypłynąć okręt, i czym ſzczęśliwśi byliśmy, tym więcey lęka-

(*) Ucinam koniec tey daty przez uſzanowanie *Krola*, za ktorego urodziłem ſię. Same mu tylko winienem pochwały; i ieśli względem mnie był nieſprawiedliwy, to dla tego, że nieſzczęściem, Krolowie nie mogą ſami widzieć wſzyſtkiego.

(**) Dowiedziałem ſię potym że ten napis na kamieniu był wyryty, przed moim odiazdem, i tylko daty za przybyciem moim na wyſpę dokończono.

kaliśmy ſię, żeby kto nie przyſzedł zepſuć, albo też nawet tylko pomieſzać nam naſzey ſzczęśliwości.

Chęć ſłodkiego towarzyſzenia we wſzyſtkim mey żonie i Oycu, powodowała mi do nauczenia ſię wkròtkim czaſie po Francuzku, po Łacinie, tudzież pięknych umieiętności, iakiemi ia nazywam czytanie, piſanie, ryſunki, muzykę, rachunki, Geometryą. (*)

Nowy

(*) Rolnictwo i nauka budownicza ſą także dwie umieiętności, iedna potrzebna druga pożyteczna, ale tylko w kraiach zaludnionych. *Eufemon* nauczył mnie także ich początków. i nieco doſwiadczenia, w ktòrym niemogłem ſię wydziwić mocy i obſzerności dowcipu ludzkiego.

Jeſt ieſzcze iedna ani ſzkodliwa, ani pogardy godna umieiętność, chiba kiedy ſię ſtaie, iak teraz ieſt poſpolicie u wielkich Panòw, ſztuka trucia, to ieſt kuchnia. Nauczyłem ſię chętnie przydawania do ſmakòw naturalnych, innych ſmakòw przyiemnych. Przyzwyczaiłem ſię także zabiiać, i ieść zwierzęta, ugo-

Nowy mnie węzeł łączy z Julią.

Nietrzeba ſię dziwować, żem tak ſzybki poſtempek uczynił w tych wſzyſtkich umieiętnościach: przyiaźń bowiem i miłość lekcie mi dawały. Niepotrzebowałem lekcij dla nauczenia ſię, powinienem był zadoſyć czynić obowiązkowi, ktòrego piianſtwo i beſtyalſtwo, choć mu tak wielką czynią zakałę, nie mogą znieważyć; obowiązkowi Swiętemu, ktòrego znaiomość ſam Bòg wyryſował na ſercach naſzych ogniſtym charakterem.

Od dziewięciu mieſięcy *Julia* zoſtawała w cięży, i powiła mi Syna. Zległa bez boleści; natura nie uchyla ſię od tego, kto ią tylko ſamą wziowſzy za wzòr i przewodniczkę, iey tylko ſamey pomocy wzywa... Na widok ſyna

towawſzy, albo upiekłſzy, alem ſię mocno ſtrzegł, żebym ſię przez to nie ſtał okrutnym, albo obżartym.

ſyna mego wnętrzności ſię moie wzruſzyły. Wziołem go na ręce i bez przeſtanku całowałem. Czułem w tym momencie, iak ſię dzielna duſza moia zdawała w tenczas troie ciał ożywiać... Rozumiałem zawſze, żem kochał *Julią* ile tylko można; alem ſię poſtrzegł na òw czas, żem ſię mylił. Iak nie równie ią więcey ukochałem, kiedy zobaczyłem pełniącą nayſłodſzy i nayświętſzy obowiązek matki! iak ią ukochałem, gdy zobaczyłem, że właſną ſwoią iſtnością karmi ſyna, ktòrego wydała na ſwiat; gdy zobaczyłem, że mòy ſyn rośnie piękny iak kwiatek na łonie ſwey matki, na łonie mey Małżonki!

Euſemon ſzczerze zemną dzielił moią radość. Widział ſię odradzać w ſwym wnuku, widział nowy między ſobą, mną i ſwoią córką węzeł. Uſiłowałem iak nayprędzey nauczyc ſię, co powinieniem był umieć dla uczenia mego ſyna, gdyż niewiedziałem,

żeby

żeby tak długi był wiek dziecinny; niewiedziałem i iedney ſzczęśliwości ludzkiey.

Nim móy ſyn ſkończył rok drugi, ia umiałem iuż mianowicie muzykę, ięzyk, czytać i piſać. W tym to czaſu przeciągu nauczył mnie *Euſemon* mierzyć rozległość i trwałość: nauczył mnie co ieſt rok, i że ia dwadzieścia lat wprzòdy urodziłem ſię przed moim ſynem; że rodząc ſię byłem tak iak on niemowlęciem, żem miał lat piętnaście, gdym z klatki wyſzedł, ktòrey mu ukazałem oſtatki; żem przepędził ſam na wyſpie lat ośim; że trzy lat iuż z nim żyłem; że wyſpa naſza naymnieyſzą tylko ieſt cząſtką ziemi; że tyle ieſt ludzi po ſwiecie rozproſzonych, ile liści na drzewach naſzey wyſpy. Gdy wemnie te i inne wiadomości wpoił, opowiedział mi uſiadłſzy pod chatą, hiſtoryę ſwoię bardzo

ob-

obſzernie. (*) Starość poſpolicie ieſt wielomòwna. Niemieliśmy żadnego zatrudnienia, a cokolwiek mi on opowiadał, wſzyſtko dla mnie było rzeczą nową. Wielką miałem roſkoſz ſłuchać go, ale tu nie opiſzę, tylko hiſtoryę od iego na wyſpę przybycia, i ſpoſob życia aż do tego czaſu, kiedy ia ſzczęśliwym przypadkiem z nim żyć zaczołem. Opiſzę opowiadanie iego prawie ſłowo w ſłowo. Tak mi ſię one w pamięć wraziło, żem go nic nie zapomniał. Nie trzeba wątpić żem go częſto przerywał przez moie pytania, ale ich nie będę powtarzał, żebym nie nudził czytelnika.

Euſe-

(*) Zeby *Julii* nie przypomniał ſmutnych przypadkòw, namòwił ią, aby przez czaſ opowiadania tey Hiſtoryi, bawiła ſię ſama w chacie.

Eufemon opowiada swoię Historyę.

Przyprowadziwszy mnie z wolna od ożenienia się swego Oyca z swoią matką, i od narodzenia swego aż do czasu kiedy przed się wzioł podròż, którą zakończył na wyspie, gdzieśmy mieszkali, w ten daley mòwił sposob. „ Słuchay mię teraz z większą „ uwagą mòy *Aryście*, moie ko„ chane dziecie; przystempuię „ do tey Historyi mey części, „ która ci naywięcey obchodzić „ powinna. Wyszedłem z iedne„ go portu morza srzòdziemne„ go, żebym przyszedł żyć z to„ bą na tey wyspie.

Moia żona, iakem ci powiedział, więcey roku iak umarła: z pięciorga dzieci ktòre miałem, została mi tylko iedna *Julia*. Pokoy oczekiwany od dawnego czasu, przez dwa straszne narody, czekaiąc go na wzaiem się niszczy

ſzczyły, zoſtał nakoniec ſzczęśliwie zawarty. Handel znowu żaczòł kwitnąć, w Jndyach można było przyiść do bogactw. Doſtatki moie były dosyć uczciwe; niepowinienem był więcey żądać, ale zachciałomi ſię albo ie powiękſzyć, albo ſtracić. Straciłem ie też: z początku rozumiałem ſię być biednym, a teraz zaczynam ſię mieć za nayſzczęśliwſzego z ludzi.

Kochałem mono *Julią* i ty widziſz iak ieſt ona warta kochania; chciałem żeby dzieliła zemną *w Peru* bogactwa, tam bowiem myśliłem oſieść. Nie miała ona tego co ia pragnienia bogactw, ale kochała mnie, i chętnie wſzędy ſzła za mną. Niebo iey za to nadgrodziło. Ach iak nieròwnie, ſzczęście ktòre tu iey czekało, ſzacownieyſze ieſt, nad wſzyſtkie bogactwa nowego świata.

Przybrałem w towarzyſtwo losòw i przypadkòw moich trzech innych kupcòw mniey odemnie

ma-

maiętnych, z których dway mieli, iak mówią, męſtwo, opuścić ſwe żony i dzieci. Jedziemy wſzyſtko uczyniwſzy, co przepiſuią prawa, ale te prawa żadney niedodaią pomocy w ten właśnie czas, kiedy ich naybardziey potrzeba, to ieſt: kiedy ludzie źli, mogą iednego tylko, które znaią prawa użyć, to ieſt prawa przemocy, które iak przyidzie koley, gubi ichże samych.

Towarzyſze moi prawie zawſze z ſobą ſię trzymali. Ja bawiłem ſię z *Julią*, czytaliśmy, graliśmy na inſtrumentach, rozrządzaliśmy zawczasu przyſzłemi bogactwy, i układaliśmy ſpoſoby używania ich ku uſzczęśliwieniu tego wſzyſtkiego, coby nas otaczało; lecz gdyśmy żyli w naywiękſzey ſpokoyności, burza powſtała nad głowami naſzemi.

Byliśmy bliſko tey wyſpy: naſi zdraycy towarzyſze, uieli ſobie część maytków, a pogrozili drugiey, która zapewnie była

ſłabſzą. Jeden z nich przyſzedł do nas z miną ſzyderſką i urągającą ſię, ktòrey zbrodniowie potrzebuią więcey dla ośmielenia ſiebie, niżeli dla przeſtraſzenia ofiar niewinnych. Spił ſię mocno punſzem, choć dopiero była ſzòſta z rana; ale wino i likwory ſą nową oſtrogą, ktòrey potrzebuią niezbożni dla zachęcenia ſię do zbrodni, „ Podróż waſza, rzekł „ do nas, prędzey ſię zakończy „ niż naſza, a zatym będziecie „ beſpiecznemi od wielu niebes- „ pieczeńſtw, których ſię nam „ ieſzcze obawiać będzie po- „ trzeba. Za miaſt pròżnych bo- „ gactw, których iedziemy ſzukać „ w kraiach pożeraiących ſwe „ mieſzkańce, znaydziecie na tey „ wyſpie puſtey ſpokoyność i po- „ koy ſerca. Będziecie ſię prze- „ chadzać, będziecie czytać, grać „ na inſtrumentach, ponieważ my „ chcemy zoſtawić wam dwie „ waſze wiole, klewicymbał, „ Xiążki i inne drobiazgi, w

„ ktò-

„ których macie upodobanie. A
„ ieżeli ſtaniecie ſię żyrem dzi-
„ kich zwierzy, albo ſamoiedów,
„ my za duſze waſze uczyniemy
„ ofiary i nieprzyiedziemy tu
„ brać po was ſpuściżny. - - -

Julia padła na moie łono i zemdlała. Ocuciłem ią ſpirytuſem, wyſadzono nas na ląd; dano nam żywności, broni, ſprzętów i narzędzi wielu kunſztow, które ſzczęściem umiałem. (To zawſze ieſt rzeczą pożyteczną, a czaſem i potrzebną.) Przyieliśmy z wdzięcznością te ſkarby iſtotne, niemaiąc im za złe, że nam odebrali te, co ſię dla nas ſtały niepożytecznemi. Zdaniem naſzym, dosyć oni zoſtali ukarani za nieſprawiedliwość, kiedy iey przed właſnym ſumieniem zataić nie mogli. Dano nam wſzyſtkiego czego było potrzeba, a nawet i nad potrzebę. Ten z towarzyſzów naſzych, który ſię z nas naurągał, wyſzedł, niemogąc zapewnie znieść zgryzoty: dwa

drudzy ledwie mogli naſze ſpòyrzenia wytrzymać. Doświadczyliśmy w tym momencie, iaka ieſt władza cnoty nad wyſtempkiem, chociaż ten nad nią tryumfować zdaie ſię.

Dla umnieyſzenia, ieśliby być mogło, w właſnych ſwych oczach ſzkaradności zbrodni, kazali przy nas na brzegu złożyć wſzyſtko, czegośmy tylko żądali. Jeden z nich uparł ſię, żeby nam dać trzy łóżka, chociaż trzeciego niechcieliśmy przyimować. Pewny piſarz któregom był przyiął na okręt, natrząſaiąc ſię zemnie rzekł, iż te łòżko przyda ſię, kiedy kto z przyiaciòł moich, przyidzie mnie odwiedzić. Prawdę mòwił òn, przydał poczciwy ſtarzec ſciſkaiąc mnie za rękę, i tyś to ieſt mòy kochany *Aryſcie* któryś miał być tym przyiacielem. Niewdzięcznik zawſze ieſt dowcipny, gdzie idzie o znieważenie ſwego Dobrodzieia. Piſarz wiedział, iak bardzo kocha-

łem

łem moią còrkę: rzucił iey nieco monety, mòwiąc ſzyderſko. „ „Niebędzieſz ſię na nas żalić, że„śmy zabrali wſzyſtkie waſze pie„niądze, o to maſz za co kupić „ſzpilek „ *Julia* chciała tę monetę rzucić w morze, alem ſię ia temu ſprzeciwił; a potym w naymilſzych naſzych rozmowach, często okoliczność tę przypominała.

Okręt odpływa i niknie nam z oczòw. Poglądamy iedno na drugie, łez potoki wylewamy, *Julia* pada mi na łono, ia ściſkam ią- - - - Uśmierz twòy żal, moie kochane dziecie, będziem żyć albo pomrzemy razem; ieſzcześmy nie ze wſzyſtkim nieſzczęśliwi. Ta wyſpa ieſt puſta, niezobaczemy na niey ludzi, a zobaczywſzy takich, od iakich ieſteśmy uwolnieni, możnaż żądać widzieć ich ieſzcze? Opatrzność, przypadkiem iakim, co ſię nam niepodobnym być zdaie, może tu przyprowadzić wartego ciebie małżonka; możeſz ſię ſtać

ma-

matką licznego ludu, i uczynić go szczęśliwym przez cnoty, które w pierwszym pokoleniu, które ma wyiść z ciebie będziesz mieć starańie głemboko zaszczepić. Nie-mamy tu nieprzyiaciół prócz drapieżnych zwierząt, ieżeli tylko i te się znayduią. Jeżeli są, mamy broń, mamy strzelbę, możemy ich wygubić. Weśnie nam tylko obawiać się potrzeba. Nie traćmy serca; noc nastempuiącą możemy bespiecznie przepędzić. Zaczniymy zaraz na to pracować. Przewoźmy, ciągniymy nasze sprzęty pod las, który niedaleki iest od nas, iak na sto kroków. Poszukamy potym na brzegu lasu tego, iakiego schronienia ukrytego, do któregoby trudny był przystemp, i tam sobie mieszkanie założemy.

Trzeba nam było sprzęty nasze przewozić przez ieden wzgórek piaszczysty, ale szczęściem, pochyłość iego niebyła przykra, a piasek zbity. Z trzech

na-

naſzych łóżek, dwa były na kòłkach, na nich przewieźliśmy klewicymbał, wiole, trzecie łòżko i i reſztę naſzego maiątku. Zeby tym wygodniey nam ſłużyły za przewozy, ſtawię ich bokiem, to ieſt w poprzek: do obydwòch nòg u dołu przywiązuię po iednym ſznurze, a trzeci przez ſam śrzodek. Poymuieſz dobrze, iż dwa ſznury do nóg uwiązane, miały ſłużyć do ciągnienia mnie i *Julij*, ale ci trzeciego zapewne trudno zgadnąć; otoż na co ſię òn przydał. Była na okręcie pewna liczba oślic, ktòre ia wiozłem moim koſztem, ponieważ chciałem przeieżdzaiąc przez mieyſca, gdzie ſą tak nieſzczęśliwi murzyni, zobowiązać panòw ich tak okrutnych, ażeby wzieli ku ich pomocy te bydlęta, którychby żywienie prawie ich nic nie koſztowało. Z tego wſzyſtkiego towarzyſze moi oddali mnie tylko oślicę z oślęciem, z innemi niektóremi bydlętami, ktòre w kròt-

ce wymienię. Sznur, który przywiązałem przez ſrzodek łòżka, obwiodłem koło pierſi oślicy, przywiązawſzy go, żeby nie opadł, drugim ſznurkiem po nadſzyię, i koniec drugi także przez ſrzodek łóżka przywiązałem, tak ze zamiaſt ſzlei mógł ſłużyć.

Obròciwſzy razy cztery, przewieźliſmy wſzyſtko co było potrzebnieyſzego, żywność, naczynia kuchenne, łòżka, klewicymbał, wiole, cztery kufry pełne bielizny i ſukień, dwa inne z papierami muzycznemi, kſiążkami, obrazami &c &c. deſki, ſtatki cieſielſkie, ſtolarſkie i ślosarſkie, ſznury, goździe &c &c.

Weſzliśmy oboie do laſu, bośmy nie ſmieli i na moment iedno drugiego odſtempować. Szukaliśmy iakiego mieyſca pewnego i wygodnego, gdziebyśmy mogli złożyć naſze bogactwa. Znaleźliśmy te ſame. Wſzyſtek naſz maiątek tu był ſprowadzony. Wyſtarcza i odwagi i mocy, kiedy

na

na cudzą pomoc ſpuſzczać ſię nie można. Buduię na prędce chatę z tarcic; używam piły, ſzlagi, ſwidra, dłuta, ale nie używam ieſzcze hibla, bo na òw czas bynaymniey niedbałem o kſztałt i piękność, ale tylko myślałem, iak uchronić od zwierząt drapieżnych.

Zoſtawiono mi z oślicą i osiołkiem dwie gęſi, ktòre zaraz pierwſzego dnia pozabiiałem, ponieważ mocno krzyczały, i mogły wydać naſze ſchronienie; iednego barana i trzy owce, z których oto dwa widziſz ſkaczących na łące między pięcio iagniętami, które mam z nich przypłodku; pſa i ſukę, z ktòrych ſię uchowały te co znami żyią; było ich więcey ale nie mogąc wyżywić, muſiałem pogubić: nakoniec ſześć kur, koguta i dwie par gołembi.

Sprowadziliśmy aż na te mieyſce wſzyſtkie te bydlęta i ptaſtwo, i wpędziliśmy w tę zagrodę, do ktòrey zrobiłem ſcieſzkę, po-

wy-

wyrywawſzy, niektóre drzewka, które natychmiaſt znowu pozaſadzałem, gdy iuż wſzyſtko weſzło, i zrobiłem fortkę iedną proſtą, którą ieſzcze widziſz, ale ta druga iuż lepiey ieſt zrobiona. Tamta nie podobałami ſię, dla czego wnoſzę że ſię nas nie puſzcza próżność, choć żyiemy ſami bez ſwiadków, ponieważ córka moia zapewnie nie była dla mnie ſwiadkiem ſtraſznym.

Te zakładanie pomieſzkania ſpoſobem tak nowym, mocno nas bawiło; nie pozwalało nam czaſu, ani co robić, ani tęſknić, ani myślić o nieſzczęściu, a zatym niebyliśmy nieſzczęśliwi. Nawet co raz bardziey utwierdzałem ſię w ſwym przeſwiadczeniu, iż to na tym mieyſcu czekała naſ prawdziwa ſzczęśliwość. Dnia iednego rzekłem do *Julij*, czaſ ieſt żebyśmy małemu naſzemu Państwu dali, nie mówię kſztałt rządu, ten który w czaſie, nieſtety! może aż nad to będzie porządny, ale

(*) ale przynaymniey tylko nazwiſko. Nazwiymy go *Wyſpą Pokoiu*. Mieliśmy oboie pokoy ſerca --- nie zdawało ſię, żeby tu znaydowały ſię zwierzęta żarłoczne, ktòreby żyły ſmiercią drugich zwierząt. Oto pobudki nadania wyſpie naſzey tego imienia, które ſtanie ſię dla nas i dla potomſtwa naſzego pamiątką i godłem.

O bodayby wnukowie naſi po upłynieniu wielu wieków, nigdy nie znieważyli tego ſwiętego nazwiſka! Bodayby bracia naſi, ktòrzy nie dawno odmienili okrutne pałaſze, w ſtatki i narzędzia rolnicze, nigdy im tego okropnego, co odebrali, nieprzywròcili kſztałtu! --- To mówiąc ſpóyrzałem na *Julią* widząc że płacze i ſpytałem

---

(*) *Eufemon* tłumaczył mi te ſłowa z uſmiechem, i iaſno dał mi poznać, że każde Państwo, gdy do navdoſkonalſzego zdaie ſię dążyć rządu, wten ſam czas zakłada dla ſiebie grunt upadku.

tałem ſię iey o przyczynę. Spodziewam ſię rzekła, iż lemieſze nie będą na broń przerabiane; zdaiemi ſię, iż ludzie zaczynaią przychodzić do rozumu, i czuć w ſercach ludzkość, a ta uwaga niewyciſka mi z oczu łez, tylko łzy ſłodkiego rozrzewnienia. Jeſteśmy tu ſami, iakże wnukowie naſi wynidą z nikczemności, do ktòrey zdaią ſię być wſkazani? ta to uwaga, co mnie pogrąża wſmutku i zabiia. Uſpokòy ſię, odpowiedziałem, uſpokóy ſię moie dziecie. Bòg temu zaradzi - - - Proroctwo ſię ſprawdziło, znaleźliśmy cię mòy kochany *Aryscie*.

Chcąc ci powiedzieć, dla czego tę wyſpę nazwaliśmy WYSPĄ POKOIU, przerwałem moię Hyſtoryę: wracam ſię do niey. Wprowadziliśmy dnia pierwſzego naſze kury w tę zagrodę, ale uważywſzy że gdakanie, a oſobliwie ſpiewanie koguta mogłoby naſ wydać, rzekłem nazaiutrz do *Julij*, iż niebeśpieczno ieſt trzymać ich przy

ſobie

ſobie, i że potrzeba ie oddalić, choćby ſtracić przyſzło. Oddalę ie, odpowiedziała *Julia*, i nieſtraciemy ich przeto. Zrobię, iak będę mogła, wielki kurnik z iednemi tylko drzwiczkami z boku, naſypię weń ziarna, poſtawię go na ziemi, zawołam kur kur - - ktòre do ziarnia wniydą we wnątrz, zanioſę ich z tąd opodal, dam im znowu ieść, będę co dzień o nich mieć też ſame ſtaranie, to one ulubią te mieysce, będą nieść iaia po krzakach na około, z kąd będę chodzić ie podbierać.

Przyprowadziła do ſkutku ten zamyſł. Stało ſię iak ona ſobie obiecywała, a ieſzcze i więcey, gdyż kuropatwy i bażanty, ktòre ſię oſwoiły z kurami, przyprowadzały co rok ſwoie ſtado, i tak mamy ptaſtwo i do ſtołu, i dla rozrywki.

Niemiałem ci ia w prawdzie zawſze ukontentowania patrzyć na nie, owſzem przez lat trzy dawa-

dawały mi pobudkę do ſmutnych uwag; Ale mòy przyiacielu, moie dziecie kochane, odtąd iak przyſzedłeś cieſzyć mnie w moiey ſtarości, iak ten widok odmieniony ieſt dla mnie! Niewidzę ia w nim tylko obraz Rzeczypoſpolitey ſzczęśliwey, ktòrey maſz być Oycem.

Było to na początku wioſny, gdyśmy ſię doſtali na tę wyſpę, a zatym był to czas nayſpoſobnieyſzy do budowy; chciałem z niego korzyſtać. Moia Còrko, rzekłem do *Julij*, może nam przyidzie długo zoſtawać na tey wyſpie, może też być, że tak na niey będziem ſzczęśliwi, iż nie zechcemy iey opuścić. Nie ſtraciłem mey ſpokoyności, kiedy ſłyſzałem, że wydawam wyrok na moie na tym mieyſcu dozgonne mieſzkanie. Owſzem przeciwnie, uſiłowałem wſzyſtko wcześnie przewidywać. Uważałem, że naypotrzebnieyſza rzecz do mieſzkania, ſą tafle do okien. Wiem że nie ieſt rzecz trudna

ſzkło

ſzkło zrobić, ale do tego potrzeba wiele zachodu, wiele przygotowania, co niepodobna żeby człowiek ieden wydołał. Znaydowało ſię na Okręcie wiele tafel, ktòre wieziono na Wyſpy Jndyiſkie; proſiłem żeby z nich mi co udzielono, dano mi dwanaście tuzinòw, przydaiąc niektóre żarty ſzyderſkie, ktòremi duſze podłe urągaią ſię z cnoty nieſzczęśliwey. Oto ſą te ſzkła zawinięte w ſzmatę ſtarą, zdadzomi ſię one do domu obſzernieyſzego, który budować zamyślam. Doſyć mi było tego, i niektórych naczyń, ktòre mi także dano. Natura obdarzyła mnie dowcipem i odwagą, zobaczyſz co ia porobię. *Julia* uſmiechneła ſię na tę mowę, uściſkała mnie i przyobiecała, iż mi będzie pomagać w czym tylko zmoże. Umyślilişmy zaraz naſtempuiącey nocy iść o iakie krokòw dwieście, ſzukać gliny i kamieni; ktòreśmy ſzſczęsliwie wynalezli. (to ſą prawdziwe ſkarby) Nieśmiałem

łem tam chodzić innego czasu, iak wnocy. Zobaczyłem cię idąc szukać kamieni, i z tąd wniosłem, że na drugiey części wyspy znaydowali się ludzie.

Resztę dnia obròciłem na robienie niby karòw, pod ktòremi uwiązałem dwa drągi do noszenia. Te kary były podługowate, a drągi po podniemi szły wpozdłuż; ponieważ fòrta do zagrody naszey była wązka, a potrzeba była tego, żeby niełatwo ią postrzedz. Przynosiliśmy co noc po pięć lub po sześć karòw kamieni i gliny, a resztę nocy przepędzaliśmy w naszey chacie zrobioney z tarcic.

Dla teyże samey przyczyny, dla ktòrey w nocy tylko nosiliśmy kamienie i glinę, dla tey mòwię samey przyczyny, obieraliśmy ściezki porosłe murawą, aby naszych niepostrzeżono śladòw; także wstawaliśmy bardzo rano nosić ieść naszemu ptastwu, a resztę dnia niewychodziliśmy

z na-

z naſzego zakąta. Mieliśmy doſyć, i bardzo mile czym ſię w naſzey odludności zabawiać. Czytanie i muzyka bawiły nas; mnie prace mey budowy, a *Julią* małe wprawdzie na pozor i drobne, ale pożyteczne roboty, któremi ſię w chacie zabawiała, czas mile zabierały. Im mniey bowiem ſpodziewaliśmy ſię pomocy i ſpoſobu do życia, tym bardziey mu ſieliśmy go ſzukać w naſzym właſnym przemyśle i pracy.

Niedaleko od naſzego pomieſzkania wykopałem ſtudnię: tę to ſamą, do którey z taką ochotą chodziſz z wiadrami i innemi ſtatkami po wodę, dla uięcia fatygi *Julij*. Oſadziłem na wkoło tę ſtudnię młodemi wierzbami, ktòre teraz tak ią zakrywaią cieniem; ale na òw czas ſłabo ią tylko broniły od upałów ſłonecznych. Tak maiąc wodę, kamienie i glinę, łatwo możeſz poiąć, żem mògł murować. Nieoſzczędzałem materyałòw na moię budowę; bo te

niekoſztowały mi, tylko pracy, ale też i nieużywałem ich nad potrzebę, bom na nie pracować muſiał. Wymurowałem ściany ſzeroko na oſimnaście całow, a przemurowania przedzielaiące izby po prawey i lewey ſtronie, na ſtopę. Wyſokości murow wynioſłem tylko do ſtop dziewięciu, a ſzczyt aż do wierzchu tylko do ſtop pięciu, tak dalece, że wyſokości domu aż do ſamego wierzchu niebyło więcey, nad ſtop czternaście, a zatym drzewa na około ſtoiące naymnieyſze, wyſokością go ſwoią przenoſzą.

Trzecią część domu mego budowałem na śnicernię i kuźnię. Skorom ią dokończył, zrobiłem ſtoł robotą ſtolarſką z dwoch tarcic dobrze ſpoionych i goździami zbitych, i poſtawiłem piec do grzania żelaza w wielkim ogniu z drew nanieconym, (ponieważ niemiałem ani miecha ani węgli.) Moie ſtatki, żelazo i część drzewa, zaymowały iak i teraz zaymuią reſztę izby. Dru-

Druga izba, to ieſt ſrzednia ſłużyła nam za piekarnią i kuchnią. Trzecia tey przyległa, była naſzym pokoiem ſypialnym, izbą ſtołową, ſalą do koncertu, gabinetem nauk; a potym prawie przez trzy lata, gdy mamy ſzczęście żyć z tobą, ſtała ſię ona także pokoiem do kompaniy.

Miałem czym zamknąć moie drżwi, okna i okiennice ktòrem dał wewnątrz. Miałem haki, zawiaſy, klamki, wrzeciądze, temi naybardziey były potrzebne ieżeliby kiedy przyſzło zoſtawać w oblężeniu: dla tey to ſamey przyczyny niedawałem okiennic zewnątrz: i że zamek zewnątrz dałem tylko dla pierwſzych drżwi, chciałem, żebym w przypadku mògł ſię w momencie zataraſować i niemieć czego ſię obawiać z dołu, gdy tym czaſem przez dziury w dachu umyślnie na ten koniec pozoſtawowane, dawałbym ognia z ſtrzelby.

Za pomocą ognia, młota i kamienia arcy twardego, ktòry mi ſłużył za kowadło, proſtowałem i kułem me gwoździe, iak mi było potrzeba. Dwòch tylko ieſzcze moiemu pomieſzkaniu rzeczy niedoſtawało, i wybielenia we wnątrz i zewnątrz, i poſadzki. Tenże piec mògł mi ſłużyć do palenia i poſadzki i wapna. Miałem kamienie; znalazłem od nieiakiego czaſu żyłę gliny ganczarſkiey; umiałem robić poſadzkę, a to takim ſpoſobem. Zyłem niegdyś we Francyi w iedney małey wioſce arcy roſkoſzney, ze wſząd otoczoney laſami niedaleko miaſt *Point sainte - - Maxence i Senlis* (*) zwanych, leżącey, w ktòrych ia miałem przyiaciòł, i z niemi

przy-

(*) Pokazano mi na iedney Mappie położenie tych miaſt i wioſek, o ktòrych była mowa. Od nieiakiego czasu nauczył mnie *Eufemon* iuż początkòw Geometryi, pokazawſzy mi że Wyſpanaſza była tylko punktem na ziemi, nauczył mię, ryſować ią dokładnie.

przyiemnie żyłem. Byłem zupełnie ſzczęśliwym, i żalby mi było tey ſzczęśliwości, gdybym nie zaczòł być ſzczęśliwym ieſzcze na tey wyſpie, niżlim był niegdyś w tamtym pięknym kraiu --- Nieprzykrz ſobie mòy ſynu, że czaſem hyſtoryę moię przerywam, wracaiąc ſię do czaſów dawnych: zwyczayna to ieſt wada ſtarości, człowiek ſzędziwy mimo chęci przypomina ſwe dawne lata, nad ktòremi ma czego ubolewać, ieżeli ich na złe użył; przeciwnie zaś ma roſkoſz, przywodzić ie ſobie na pamięć, ieżeli dobrze były użyte. Muſiſz, mòy przyiacielu, widzieć z pogody iaśnieiącey w twarzy moiey, iak przepędziłem czas przez ktòry żyłem w *Florynie*, tak ſię nazywa ta wioſka o ktòrey ci mòwię. Chcę, żebyś w niey kilka dni pomieſzkał, ieśli ſię poda okoliczność iachania aż do Francyi: ale bodaybyś tey okoliczności nigdy niedoznał, ieślibyś niemiał

miał powrócić do tey wyſpy, zaludniać ią i uſzczęśliwiać! Wracam ſię do mey hiſtoryi. Okolice Floryny, obfituią w glinę ganczarſką, prawie wſzyscy wieśniacy bawią ſię robieniem poſadzki; chodziłem częſto przypatrować ſię ich robocie i ſam z niemi pracowałem. Rzemioſło, ich iak widziſz, ſtało ſię dla mnie bardzo pożyteczne.

Miałem nieco trudności w wynalezieniu mieyſca na piec ſpoſobnego, chciałem, żeby go wyſokie otaczały góry, ażeby z żadney ſtrony niebyło widać dymu, i żeby na nich *Julia* ſtraż odprawowała: nakoniec znalazłem mieyſce, iakiegom żądał. Zwierzchołku gòr, co go otaczały, można było widzieć rościągłośc całey prawie wyſpy, i ieśli nie mołą chatę, cobym był sobie za nieſzczęście poczytał, to przynaymniey opaſuiące ią chruſty.

W dołe między témi gòrami, zrobiłem piec z gliny i kamieni;

a gdym

a gdym go ia murował, gdym drzewo rąbał, w uſtroniu od mey chaty odległym, gdym palił wapno i poſadzki, còrka moia przez ten czas, na iedney naywyżſzèy górze, ſtraż odprawowała. Jeśliby była zobaczyła co, czegoby ſię nam obawiać należało, powinna była głośno krzyknąć, pokazać mi z ktòrey ſtrony, i iak nayprędzey uciekać zemną do chaty. Prawie ſześć niedziel przeſzło na tych pracach trudnych, na tych nieſpokoynych ſtrażach, ktòrych tyś był nayſzczegulnieyſzym celem. Nareſzcie mieliśmy czym chatę naſzę pobielić, i w niey dać poſadzkę.

To com ci dopiero powiedział o naſzey boiaźni, mòy kochany *Aryście*, wroiło w myśli moiey iedną baieczkę, (*) względem tego

(*) Wiedziałem, co to ieſt bayka; czytywałem bayki *Fontaina* i prawie wſzyſtkiem rozumiał. *Eufemon* umiał tak dobrze wykładać, co ſię między ludźmi wſpo-

tego co tey boiaźni było przyczyną. Słuchayże. Małe ptaszęta siedząc na iednym drzewie, zobaczyły człowieka chodzącego prędko, ale krokiem ròwnym popolu, który ręką prawą machał, za kòżdym postompieniem nogi prawey. Ten człowiek ich przestraszył, uleciały. W kilka dni potym, zobaczyły go na tymże polu, i postrzegłszy że niosł ziarno, żałowały iż się ulękły człowieka, ktòry w rzeczy samey dawał im pokarm, a na rok nastempuiący gotował im ieszcze obfitszy. (*)

Tenże sam piec, ktòry mi służył do dwoiakiego użycia tak rożnego, przydał mi się wkròtce ieszcze na trzecie. Moia glina była biaława i delikatna, umysliłem więc narobić z niey garkòw, mis,

wspołeczeństwie dzieie, żem to poymował bez wielkiey trudności

(*) Zamiast uczynienia z tey bayki iakiego zimnego przystosowania, którego łatwo było można domyśleć, *Eufemon* serdecznie mnie uścisnął.

mis, talerzy &c. dano mi trochę tego naczynia wyrzucaiąc z okrętu, ale mogłem go przyſpoſobić więcey, i przez prace uniknąć tęſknoty. Gotuię więc wſzyſtko, co było potrzebne do tego nowego rzemiosła. Wśrodku iednego kloca zakopanego w ziemię, wywiercam dziurę, w którą wbijam czop mocny; biorę potym dwa drągi ktòre o podal od ſiebie łączę trzema czopami, między ktòremi w ſrzodku, w tym co miał być na ſpodzie, wywiercam dziurę obſzernieyſzą na wylot, a w wierzchnim dołek tylko wydrążam, ażeby naſadziwſzy te krągi na czop wbity w kloc wkopany w ziemię, za ruſzeniem nogą kręgu ſpodniego, mogły ſię razem łatwo obydwa obracać. Poſtanowiłem potym bliſko dwa kozły, i położyłem na nich tarcice, aby mi ſłużyły zamiaſt ſtołu, naktòrym bym kładł glinę, ſtawił wodę i zrobione naczynia... Ach mòy Synu! zawołał poczciwy ſtarzec,

mu-

musisz być bardzo dobry, że mi nie przerywasz, mówiąc, iż to wszystko wiesz tak dobrze iak i ia, i żeś ostatnią razą zrobił ieden bardzo piękny kubek, z ktòrego *Julia* ma wielkie upodobanie piiać.

Resztę pięknych roku pory ona i ia obròciliśmy na opatrzenie się przeciw zimnu, i na przysposobienie na ten czas żywności. Naywięcey nazbieraliśmy kasztanòw (*) i tatarki, która tu sama bez uprawy roli rośnie; nazbieraliśmy także innych ziarn dla ptastwa; zrobiliśmy siana dla owiec; nawyciskaliśmy z ròżnych owocòw przyiemnego soku, ktòrym napełniliśmy pięć wielkich wiader, umyślnie na to zrobionych, Swiatła zaś mieliśmy swiec około trzydziestu funtow.

Do

(*) Przez dziewięć lat kiedym żył sam, niemiałem pomocy z kasztanòw w mey żywności, w tey stronie wyspy, gdzie ia mieszkałem; także na niey i tatarki nie było.

Dopiero to, na nastempuiącą wiosnę, pokończywszy rożne moie rzemiosła, któremi bawić się musiałem, dla sporządzenia sobie wygodnego pomieszkania, zaczołem bawić sie uprawą ziemi. Otrzymałem od towaryszow moich kilka garści żyta Europeyskiego, lnu, konopi i wiele innych nasion ogrodowych. Posiałem tego wszystkiego na pretce w tym roku część iedną, a w nastempuiącym sto ziarn za iedno zebrałem; ale to aż dopiero na drugą wiosnę zaczołem używać wszystkich tych bogactw, samych prawdziwych, samych pożądanych, i dla zupełności uszczęśliwienia samych łatwych. Wtedy to dopiero także, owszem nieco ieszcze pòźniey, zobaczyliśmy, że nasz skarb, ktòryśmy posiadali od roku, pomnaża się. *Julia* w sześć prawie tygodni, po naszym na Wyspę przybyciu, usłyszała w bliskości tey zagrody huk pszczòł, i otym mi doniosła. Nadstawialiśmy

śmy ucha, i wysledzili ich ſiedliſko. Od tego czaſu codziennie pilnowała roiu; upletła właſnemi rękami ul z ſitowia, w ktòrymby go mogła oſadzić. Doczekała ſię nakoniec tey roſkoſzy, tak czyſtey i tak ſłodkiey, przynioſła do mnie ten ròy z tryumfem, ia zletka poſtawiłem go na płaſkim kamieniu, którymem przygotował, na ktòrym z przedniey ſtrony napiſałem te Wirgiliuſza ſłowa *CÆLESTIA DONA*, *dary Niebieſkie*. Z tego to roju rozmnożyły ſie cztery inne ule, te, co *Julia* tak wielkie ma upodobanie nazywać *ulami ſwemi*. Jey to winniſmy miòd, ten balſam Niebieſki, na ktòrym zawſze kończemy naſze uczty, iey winniśmy woſk, ktòry w poſrzòd ciemności, żywe nam i piękne daie swiatło.

Z lnu i konopi, ktòre w rok zbieramy, robię, iak widziſz ròżne rzeczy, płòtno, powrozy, ſieci.

Jednego poranku przededniem zobaczyłem zwierza grubego, ktò-

który mi się zdał być niedzwiedziem, ale mògł to być inny zwierz iaki nie drapieżny. W tey niepewności zachowałem pod iedną wielką sieć, czwartą część owiec (*) i wiązkę ziòł rożnych: przywiązałem do sieci dzwonek, abyśmy byli ostrzeżeni, kiedyby sieć upadła. Dzwonek zadzwonił, *Julia* bieży - - - Ty wiesz resztę historyi, od tego momentu tak szczęśliwego dla nas wszystkich.

Podziękowałem *Eufemonowi*, za rzeczy tak dziwne które mi opowiedział; nie przestawałem z nim o nich rozmawiać, a on powtarzał te, ktòre mu większe wrażenia czyniły.

Tym czasem Synek mòy włoczył się koło nas i bawił. Còż to za piękny wiek ta dziecinność, rzekł do mnie *Eufemon*! Przepędzi-

(*) Czwrta część owiec, o ktòrych tu mòwi *Eufemon*, były zawiązką ziela, a iam ich niewidział, ani wchodząc pod sieć ani z niey wychodząc.

dziliśmy więcey dwòch godzin, ia na opowiadaniu, ty na ſłuchaniu, a dla ſyna twego naywiękſze, o ktòrych tu mowiłem, rzeczy, ſą tylko fraſzkami. Nic on nie znayduie, coby było godnym bawić go, tylko roſkoſz, tak rzekę, rozwiiania ſię, ruſzania i rośnienia.

Dziwuymy ſię mądrości Boga, ktòry chciał, ażeby dzieci niewidzieli, tylko to, co ſię znayduie przed ich oczyma, i niepoznawali niebeśpieczeńſtw, tylko przytomne: nie maią one ani mocy, ani ſpoſobu uniknienia tych, co ſą dalekie. Potrzeba było, żeby takie my tylko poznawali, ktòrzy ſię możemy od nich, albo uchronić, albo odprowadzić. Uczmy dzieci mianowićie przez doſwiadczenia ktòre ich nieco koſztuią, poznawać niebeſpieczeńſtwa, i od nich unikać. Dopuśćmy niech padaią; nie upadną z wyſoka, upadki ich niebędą ſzkodliwe. Pozwòlmy im czaſem noża

ża, ieśli się zranią, rana ich niebędzie głemboka, a tym czasem dosyć tego będzie, dla uczynienia ich baczniéyszemi i ostróżnieyszemi nato, co im szkodzić może. Ale im bardziey powinniśmy się spieszyć nauczać ich tego, co im do ich zachowania służy, tym mniey powinniśmy zatrudniać ich wiadomościami dowcipnemi i pracowitemi; które tylko umysł osłabiaią, i wyniszczaią pierwiey nim zostanie uformowany. Nienależałoby, niechcąc natury gwałtem przymuszać, zasadzać pilnie do umieiętności i wyzwolonych nauk człowieka młodego, tylko aż kiedy iuż rość przestaie, to iest około lat dwudziestu.

Gniewałbym się, do tego roku młódź zostawować bez cwiczenia, bez nauk, i iak mówią bez edukacyi Chciałbym tylko, żeby różnemi czasy przy okolicznościach rozsądnie rządzonych, dawszy iey dobrze poznać potrzebę, lub pożyteczność rzeczy, którey chcemy

uczyć, uozono tylko prawdziwych początków, a zostawowano, żeby młódź sama szła daley. Chciałbym, ażeby dobrze wyrozumiawszy skłonności i zdatność młodzieży, raczey miarkowano i wstrzymowano nieco iey żywość, z którąby chciała lecieć za swoim gustem, i niedopuszczono iey nigdy unosić się za swym zapędem, bo byłaby zbyt żywa, i wyniszczyłaby się; poźniey tego lękać się nie trzeba; gorącość nie co ostygnie, żywość zwolnieie. Chciałbym także aby zawczasu w młódź wszczepiano początki religij, mówię żeby wszczepiano; ponieważ iey tylko wykłady i to dalsze nauczaią się, i są udziałem rozumu. Sercem to nie rozumem należy być Chrześcianinem, sercem potrzeba czytać Ewanegelią i wykonywać ią, iako sercem człowiek iest poczciwy, łagodny, dobroczynny, ludzki &c. *Umieiętność nas w pychę wprowadza, a miłość sama czyni nas godnemi zalety,* mówi Apostoł.

Ten

Ten ięzyk nie ieſt więcey dla ciebie niezrozumianym móy ſynu, czytanie *Xiąg* ſwiętych zaczyna ci być łatwe do zrozumienia, i ia z radością patrzę, że zawarty w nich duch Boży wchodzi do ſerca twego.

Na tymeśmy byli, kiedy *Julia* przyſzła nam oznaymić, że obiad gotowy. Ani *Eufemon*, ani ia niepomyśliliśmy żeby iuż była godzina obiadu. Byłem wſzyſtek zanurzony w tym, com ſłuchał, zapomniałem o wſzyſtkim, nawet prawie zapomniałem o *Julij*. Jey przytomność rozproſzyła te zachwycenie, które wſzyſtkie moie władzy w zachwyceniu trzymało. Starzec z początku ſpóyrzał na ſwoią Còrkę okiem roztargnionym, potym zaraz miłośnym; mòy ſyn tak ſię pilnie bawił, iak my pilnie rozmawiali; ale iak tylko zobaczył *Julię*, zaraz zawołał, *mama mama*, i porzuciwſzy dźbła, z ktòrych ſobie czynił igraſzkę,

pobiegł ią całować; myśmy ią ucałowali po nim, i poſzli do ſtołu.

Kochałem żonę moią miłością ſpokoyną, co ſzczęśliwość naſzą ſtanowi w naywyżſzym ſtopniu, Nieſtety niewierzyłem, żeby ta miłość potym, przynaymniey przez nieiaki czas, udręczenie mi ſprawowała.

Potym iak mi ſię urodził ſyn, zoſtałem Oycem iedney córki. *Julia* powiła mi ieſzcze córek trzy, i ſynow dwa przez lat dzieſięć, ktòre przepędziliśmy na wyſpie, bez innych przypadkòw wielkich, prócz tych, ktòre prawdziwie ſą wielkiemi dla ſerc zdolnych czuć, iak powinny im wielkiemi zdawać ſię nawet w Kraiu, którÿby iuż był zaludniony.

Jeden przypadek nas przeſtraſza.

Już upłyneło lat ſzeſnaście iak *Eufemon* i *Julia* wzaiemnie ſobie na WYSPIE POKOIU, ſprawowali-

walifmy ufzczęśliwienie, iuż trzynaście lat było, iak ia dzieliłem z niemi i powiękfzał im też fzczęśliwość. Dnia czwartego miefiąca Kwietnia M. D. - - - poftrzegliśmy z daleka iakiś przedmiot, ktòryśmy wzieli za drzewo pływaiące. Mnie zdał fię być tak tylko wielkim, iak pomierna gałęź, ale od dawnego czafu wiedziałem, i nawet bez nauczyciela, iak powiedziałem na innym mieyścu, nauczyłem fię pierwfzych *optyki* prawideł. Zobaczyłem że *Eufemon* i *Julia* przeftrafzeni bledniei, pogl daią na fiebie i na mnie, zobaczyłem łzy w ich oczach. Niewiedziałem co o tym myśleć... Szczęścieli to ieft, czy niefzczęście, które fię do nas zbliża, zawołał *Eufemon*? Co zaś, rzekłem mu, alboż to nie ieft drzewo? Ach! mòy Synu, nie drzewo to ieft ale cale rzecz inna! Ten przedmiot dwadzieścia razy od nas ieft oddalony, a przeto dwadzieścia razy ieft

większy, niżeli się tobie wydaie. W tym samym czasie dobywa perspektywy, ktòrą zawsze nosił przy sobie; daię mi ią, patrzę i widzę bat płynący ku nam z rospuszczonemi żaglami. Znowu on patrzy i po kilku minutach oddaie mi ią. Patrzę powtórnie, aż ten bat przynaymniey pięc razy pokazuie się większy, niż pierwiey; był to okręt. Nietraćmy czasu, rzekł na òw czas *Eufemon*. Prawda iest, że ta wyspa niema w sobie żadnego kruszcu, ani żadney inney rzeczy, ktòre drogiemi zowią; a tak możemy się spodziewać, iż nikt nie przyidzie mieszać nam spokoyności, ktòrey tu używamy. Potrzeba iednak mieć ostróżność. Idzcie do chaty oboie, i zatarasuycie się. Ty mòy Synu weź bròn, a ty moia córką, trzymay się przy nim z dziećmi, to on będzie niezwyciężony. Co do mnie, ia będę uważał wszystko, pòydę upatrywać co to iest, i ieśli zobaczę niebeśpieczeństwo, będę

usiło-

usiłować schronić się do chaty. Jeślibym do niey uciec niemògł, bez wystawienia was na niebeśpieczeństwo, udam się w inną stronę; pociągnę nieprzyiaciela za sobą, postompie tak, żebym tylko sam zginął, i będę się miał za szczęśliwego, tym sposobem umierać.... Ja z *Julią* podamy do nog iego, błagamy go, aby nas nieopuszczał, i nie podawał się na niebeśpieczeństwo tak, żebyśmy go my z nim niedzielili, i niepierwiey z stąpili ze skały iść bronić naszych dzieci, aż nam przyobiecał, że w kròtce przyidzie, albo się z nami bronic razem, albo razem umierać.

Niebawiąc przyszedł. Tylko cośmy nasze dzieci zgromadzili, tylko com, pozamykawszy okna i drżwi, wziął się do broni, na tychmiast słyszemy głos zadychany. *Cieszcie się, cieszcie, to są Francuzi.*

Wybiegamy czym prędzey przyimuiemy go i ściskamy: wszyscy iego wnukowie, nawet do naymłodszego, ktòry ieszcze i iedne-

iednego ſłowa wymawiać nieumiał, złączyli ſię znami, żeby go całować. Wyciąga ku niemu rączki, uśmiecha ſię i wydziera ſię z rąk matki, żeby go ucałował. Poczciwy ſtarzec ſkrapia łzami radości te dziecie, i mòwi do nas. Ach moie dzieci! iaka lubość w mym ſię ſercu rozpływa! doznaię iak was kocham; nigdym tey miłości tak żywo niedoznał; uczułem, że ſię wemnie cała moc, cała mey młodości ſiła odradza, iak ſkoro potrzeba było bronić życie waſze.

Szedłem otwarcie prawie aż do ſamego brzegu, wzrok mòy znagła ſię utwierdził; poſtrzegłem banderę białą, i rozpoznałem ią z daley, niżbym był mògł przed trzydzieſtą laty - - - Jdźmy ofiarować naſzym gościòm małą naſzą pomoc, idźmy, to ſą francuzi, to ſą naſi przyiaciele, naſi bracia - - - Nieſtety! czemu to nie wſzyſcy ludzie ſą ſobie przyiaciołmi i bracią?

Ja

Ja pierwſzy idę z taką radością, z takim poſpiechem, iak człowiek poczciwy, ktòry pierwſzy raz znalazł ſpoſobność ſtania ſię pożytecznym. Już część ekwipażu była na lądzie; wzywano mnie przez znaki, żebym ſię zbliżył, ale pròżnoby mi dawano znaki przeciwne, pròżnoby grożono, żebym nieprzyſtempował; tak kontent byłem z widzenia ludzi wielu razem, żebym ſię do nich przez ogień przedzierał. W tedy to ia poczułem, że my z natury lubiemy ſpołeczeńſtwo. Mòy Oyciec, żona, dzieci, ſzli za mną zdaleka; ſkoro ſię ukazali, wſzyſtek lud zaczòł ſpieſzyć ſię do brzegu. *Mòy Synu, mòy ſynu* zawołał ſtarzec, idź im powiedz, *niebòycie ſię, my ieſteśmy Francuzi, niema pròcz nas nikogo na tey wyſpie.* Zatrzymano ſię tym chętniey, że niechciano tylko ſię zabeſpieczyć przeciw napadnieniu. *Eufemon Julia* i naſze dzieci nadeſzli: zaczekano na nic.

nie

nie mnie to bowiem chciano wypytywać ſię, ponieważ z mego podziwienia i nieiakiego zachwycenia wnoſzono, że nie byłem przyzwyczaiony do widokow ſztuki, i że te wſzyſtkie, co były razem przed moiemi oczyma, odbierały mi władzę odpowiadania. Komendant okrętu ſpytał ſię *Eufemona*, ieśli to prawda, żeśmy byli ſami tylko mieſzkańcy tey wyſpy. *Eufemon* zapewnił go, że tylko ſami. Spytał go znowu przypatruiąc ſię mi pilnie, czyśmy wſzyſcy byli Francuzi? Odpowiedziałem mu, żem ia był Anglik. *Eufemon* mi to powiedział, dowiedziawſzy ſię z napiſu, (o którym wzmiankowałem wyżey,) Jeſtem Anglik, ale ściśle ſprzymierzony z Francyą (pokazuiąc na *Eufemona*, *Julią* i moie dzieci) a co ci bardziey ieſzcze powinno dogodzić, ieſtem obywatelem świata, iak kolwiek obſzerne ſłowu temu nadaſz znaczenie. Jeſteś Anglikiem, odpowiedział?

Może

Może to ten ſam ieſteś, ktòrego mi ſzukać zlecono. Od któregoż tu czasu zoſtaieſz, i iak tu żyieſz?

Niedobrze ieſt całą prawdę odkrywać: wygadałem ſię wiele, *Eufemon* drżał z boiaźni o mnie; zapomniałem wtym momencie nauk roſtropności, ktòre mi ón dawał, i nierozumieiąc żeby kiedy potrzeba było żałować zbytniey ſzczerości i otwartości, zaczòłem odpowiadać na iego pytania. Przez długi czas żyłem ſam na tey wyſpie; wczaſie znalazłem dwoie innych ludzi; oni mnie nauczyli mòwić, żyć wſpołeczeńſtwie; ſpołeczeńſtwo zniemi, oſobliwie z tą kobietą, zdałomi ſię być bardzo roſkoſzne. Ona i ia ieſteśmy rodzicami tych dzieci, ktòre około nas widziſz. Pytaſz ſię mnie, iak długo tu żyię? mam prawie lat trzydzieści ſiedm, a miałem piętnaście, gdy mnie tu przyprowadzono. Możeſz pòyść i zapewnić ſię o tym z iednego napiſu, ktòry

tam-

tam w dole znaydzieſz ¦---- Z napiſu, odpowiedział dobywaiąc z kieſzeni papieru, niezaczynaſz ſię ón od tych ſłòw? Dziewiątego maia M. D. *mocą wyroku Kròla Jmści P. N. M.*---Tak ieſt, tak, odtych ſię ón ſłów zaczyna, ktòreś dopiero przeczytał, a kończy naſtempuiącemi: *wyſadziliśmy na tę puſtą wyſpę niewolnika ſtanu, ktòry nigdy niewidział świata, nigdy niemówił i nigdy nieſłyſzał mòwiących. Był w roku piętnaſtym wieku ſwego.* Nie toż zawiera w ſobie twòy papier? Tak ieſt odpowiedział tonem ſurowym, na który poczuwałem ſię żem niezaſłużył, i ktòry dla tey przyczyny mnie obraził, tak ieſt, właśnie to mòy papier to zawiera, i ty ieſteś òw niewolnik ſtanu ktòrego ia ſzukam. Przykazuię ci imieniem Kròla Pana mego, ażebyś wſzedł na ten okręt, i płynoł ze mną do Anglij. Ty mi roſkazuieſz? - - - ze ſtrony iakiegoś Pana? - - - Jdź, ia nie znam

ża-

żadnego Pana pròcz BOGA ktòry mi nic nieroſkazuie. (*)

Boiąc ſię dalſzych ſkutkòw, ktòreby mogła pociągnąć moia odpowiedź, biegnę na bliſką ſkałę, ale bez żadnego umyſłu, nienamyśliwſzy ſię nawet, ieślibym miał iść bronić ſię wchacie, albo-li też uciekać i ſkryć wgłębi laſu, ponieważ to wſzyſtko zdawało mi ſię być rzeczą niepodobną. Nieocalałem w ſobie, tylko naymnieyſzą część mnie ſamego: zoſtawowałem w ręku moich nieprzyiaciòł *Euſemona*, *Julię* i moie dzieci. Patrzałem z okropną nieſpokoynością na to, co z tąd miało wyniknąć. *Euſemon* miał z Komendantem rozmowę doſyć kròtką, i bardzo ſpokoyną, po ktòrey On, *Euſemon*, *Julia* i moie dzieci weſzli do okrętu. Ledwie co z nich weſzło oſtatnie, iuż ia także ze ſka-

(*) Mòwiąc właściwie Bòg nam nie roſkazuie, wlał òn w ſerce naſze naſiono, jak mòwią i pragnienie tych rzeczy, ktòrych po nas wyciąga.

ſkały ſkoczyłem. „ Niegodni
„ mèy wolnosci i ſzczęścia mego
„ towarzyſze, więc wy upodlacie
„ ſię aż do tego ſtopnia, że chce-
„ cie mieć nad ſobą Panów? Pa-
„ nòw, ktòrzy roſkazuią? War-
„ ciście żebym was opuścił, z
„ tym wſzyſtkim idę za wami,
„ ponieważ was ieſzcze kocham;
„ ale nikomu nie będę ſłużyć,
„ nikomu nie będę podlegać.

Nazbyt prędko ſądziſz, mòy kochany *Aryście*, rzekł mi łagodnie *Eufemon*. Przypomni ſobie iak pod cienią tych bukòw, ktòre z tąd widziemy po prawey ſtronie ſkały BOSKIEY, przekładałem ci oſtatnią razą prawa ſpołeczności, i iak muſiałeś przyznać, iż nie ieſt to nieſzczęście mieć nad ſobą Pana, ale go potrzebować. Tyś mądrze wnioſł z tego zdania, iż człowiek poczciwy, mòwiąc właściwie, niepodlega poſłuſzeńſtwu, kiedy Pan iego wyciąga po nim iakiey rzeczy ſprawiedliwey, ponieważ on nawet bez ſwego Pana,

wło-

włożyłby na ſiebie te prawo, i że gdy Pan więcey od niego wyciąga, niżeli pozwala ſłuſzność, albo ſię uchyla bez buntu, i bez gwałtowności z pod iego władzy, albo, ieśli ſię nie może uchylić, to tylko potrzebie ulega, a zatym w iakim bądź z tych rozumieniu, zawſze poczciwy człowiek niema nad ſobą Pana. Widziſz móy przyiacielu, ia ci właſne twoie zdania przypominam użyiże ich dla umiarkowania ſwych zapędòw, a teraz mnie poſłuchay.

Jeśli *Williamſ* Komendant tego okrętu, mòwił do ciebie tonem ſurowym, to nie dla tego, żeby miał być twoim nieprzyiacielem: widział òn iakeś ſię rodził, był on tknięty twoią nieſzczęśliwością, ſzuka cię od dawnego czaſu, i mimo głębokiego ſekretu, ktòry ſię zachowuie względem twego loſu, wynalazł twoie ſchronienie. On cię tu przychodzi ſzukać, i ofiarować ci ſwą pomoc. Rozumiał, iż cię zobaczy takim, iakiś wyſzedł z

rąk natury; znayduie cię nauczonego, i mòwiącego mądrze z ſzlachetną ſmiałością; chce wiedzieć, iakbyś tak długo żyiąc wolnym, przyioł roſkazy, ktòreby ci dano grożno. Daie ci ie, ty mu odpowiadaſz tonem odważnym, ktòry go w podziwienie wprawuie, i natym kończy ſię komedya: powiem ci zaraz, cośmy z ſobą ułożyli, ieżeli nato przyſtanieſz.

Kròl Angielſki ani roſkazał, ani zabronił wyprowadzić cię z mieyſca tego: bez wątpienia ten Pan nie myśli więcey o tobie. Zoſtawił cię na ſtaranie Opatrznośći, i ſpokoyny zoſtaie względem ſwego ſzczęście. Z ſwoiey to właſney pobudki *Williams* uſiadł na okręt Francuſki, żebyć za prowadził do Francij, pokazał ci obyczaie ludzkie, i ieśli zechceſz owròcić odprowadził cię znowu ı tę wyſpę. Dwoie małżonkòw wielo dzieci, ktòrych widziſz

na

na pokładzie okrętowym, (*) różnych przeciwności doznali na wyspach; teraz bez wątpienia zacznie się ich szczęśliwość, gdyż sprzykrzywszy sobie obłudę, albo raczey dziwactwa fortuny, chcą z drugą familią, która za niemi przyiedzie, zaludnić iaką pustą wyspę, i z pomiędzy innych obiorą *WYSPĘ POKOIU.* Zapewniaią mię w tym co mówią, nie tylko *Williams*, który się zdaie być człowiekiem poczciwym, ale też ci dwa zacni i szczerzy moi w *Artezij* wspołziomkowie, (**) z swoiey poczciwości od dawnego czasu dobrze mi swiadomi. A tak mòy przyiacielu, możesz iachać z *Julią* i z niektòremi twemi dziećmi, te zaś które tu zostawisz, i ia, będziem drogim zakładem

(*) *Eufemon* rysował mi domy, miasta, fortece, okręty, i nauczył mnie architektury cywilney, militarney, hidrauliczney.

(**) *Eufemon* pokazuiąc mi na mappie Prowincyą Artezij, powiedział od dawnego czasu, że to była iego oyczy-

kładem, dla którego muſiſz powrócić; zrobiſz przymierze z dwòma familiami, które ſię znami maią złączyć, i ta wyſpa ſtanie ſię wyſpą pokoiu, niewinności, zaludnienia, ſzczęśliwości - - Ale radbym iak nayprędzey dowiedzieć ſię początku tey kiſtoryi, ktòrego ty niewieſz. *Williamſ* przyobiecał, że mi go opowie.

KONIEC CZĘSCI PIERWSZEY.

Wtòra częś́ć w druku